Najlepsza francuska powieść kryminalna 2019 roku

JÉRÔME LOUBRY

SCHRONIENIA

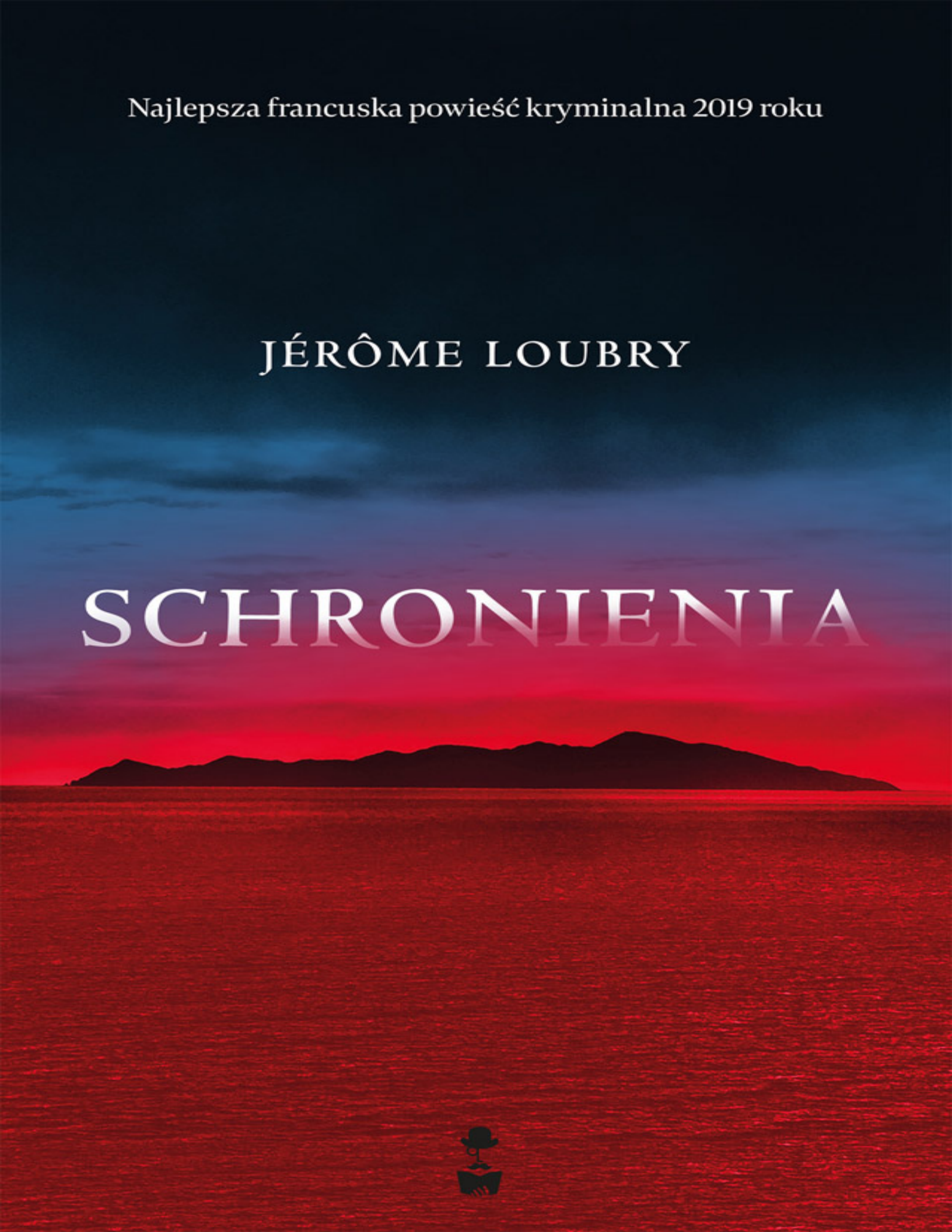

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

JÉRÔME LOUBRY

SCHRONIENIA

Z francuskiego przełożyła
Natalia Zmaczyńska

WYDAWNICTWO
STARA
SZKOŁA

Dla Loan

Mein Vater, mein Vater, und siehst du nicht dort
Erlkönigs Töchter am düstern Ort?
Mein Sohn, mein Sohn, ich seh es genau:
Es scheinen die alten Weiden so grau.

JOHANN WOLFGANG GOETHE, ERLKÖNIG

* * *

„Ojcze! czy widzisz śród ciemnych chmur
Groźne postacie olch króla cór?"
„Widzę, mój synu, to wierzby stare Tak dziwne kształty przybrały szare".

JOHANN WOLFGANG GOETHE, KRÓL OLCH

WRZESIEŃ 2019

François Villemin otworzył drzwi do sali wykładowej udostępnionej przez wydział w Tours i poprosił studentów, by usiedli w ławkach.

— Witajcie wszyscy — powiedział, kładąc laptop na biurku i podłączając go do tablicy interaktywnej.

Jego garnitur z beżowej wełny, smukła sylwetka, łysina i schludna biała broda sprawiały, że wyglądał jak pewien szkocki aktor. Oczywiście z racji młodego wieku mało osób obecnych w sali znało Seana Connery'ego. Ale wykładowca podtrzymywał to podobieństwo z niejaką złośliwością, bawił się ich ignorancją, tak jak uczony uśmiecha się, dostrzegając brak skojarzeń u praktykanta.

Poczekał, aż wszyscy zajmą miejsca, a potem, widząc, że słuchacze są już skupieni, przytłumił oświetlenie w pomieszczeniu i zaczął mówić:

— Tematem naszego drugiego wykładu będzie przypadek z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Nazwałem go „Schronienie Sandrine". Podobnie jak poprzednio, najpierw opowiem o faktach, a następnie przejdziemy do pytań. Ostrzegam: bezcelowe jest szukanie informacji w smartfonach lub sięganie do waszej młodej pamięci. Nie znajdziecie nic o tej sprawie, bo nigdzie nie ma o niej żadnej wzmianki. Pod koniec wykładu zrozumiecie dlaczego…

„Zajmij czymś umysł…
Recytuj na przykład poezję…
Będzie łatwiej…
Zobaczysz, jutro, gdy nauczycielka cię zapyta,
podziękujesz mi…
Chodź…
Podejdź bliżej…
Będzie łatwiej…"

PIERWSZY ZNAK

NAWIGACYJNY

WYSPA

1

1949

Valérie zamaszystym ruchem rzuciła kijek. Szybował łukiem, przeciął szare chmury, a następnie opadł z powrotem na piasek. Beżowy labrador natychmiast pobiegł za nim, chwycił go w pysk, radośnie machnął ogonem, po czym ruszył w stronę swojej pani, powoli kroczącej po plaży.

— No chodź! Przynieś!

Valérie pochyliła się, pochwaliła psa i ponownie cisnęła patyk. Wiał wczesny jesienny wiatr, lekka orzeźwiająca bryza. W powietrzu unosił się odurzający zapach soli i wodorostów wyrzucanych przez fale, a blade światło budzącego się słońca z trudem przebijało się przez warstwę niskich chmur.

Każdego ranka Valérie i Gus, jej dwuletni labrador, spacerowali wzdłuż oceanu. Niezmienny rytuał — czy padał deszcz, czy wiał wiatr. Ten codzienny spacer był nie tylko obietnicą wspólnych chwil. Przede wszystkim pozwalał młodej kobiecie zaczerpnąć pełną piersią wolności, na którą czekała zbyt wiele lat.

Valérie przestała na chwilę zwracać uwagę na psa, aby stanąć twarzą do fal czule obmywających jej stopy.

Zamknęła oczy i nasłuchiwała.

Nic.

Nic poza szumem fal i krzykiem mew.

Żadnego niemieckiego bombowca wyjącego z nieba.

Żadnej ciężkiej ciszy, jaka towarzyszy śmiertelnemu opadnięciu mięsożernej głowicy bojowej.

Żadnej syreny przeciwlotniczej zaganiającej mieszkańców do piwnic.

Żadnego pomruku rezygnacji ze strony ludzi skulonych w prowizorycznych schronieniach, nieśmiących nawet podnieść głowy, by jednym spojrzeniem pełnym strachu i śmierci nie przywołać straszliwej błyskawicy.

Valérie westchnęła, a na jej ustach pojawił się uśmiech. Otworzyła oczy, ujrzała maleńki zarys niedalekiej wyspy wtulonej w morską mgłę, po czym odwróciła się ku nadbrzeżnym budynkom. Jej twarz pociemniała. Zasłona bólu i wspomnień pokryła czoło kobiety zmarszczkami, ale Valérie obiecała sobie — powtarzała to godzinę temu, wkładając kurtkę — że nie będzie płakać. Po wyzwoleniu nie wszystkie blizny wojenne zniknęły. Wybite okna, wypatroszone fasady, okaleczone dachy… „Potrzeba dużo czasu, żeby naprawić nicość" — pomyślała, spoglądając na ruiny.

Kiedy poczuła, jak gula smutku rośnie jej w gardle, z zamyślenia wyrwało ją skomlenie. Kilka metrów dalej Gus leżał bez ruchu, najwyraźniej przestraszony chmarą mew, która unosiła się nad plażą, a potem opadła na piasek.

Valérie podeszła, przykucnęła u boku psa i zaczęła go głaskać.

— Boimy się stada ptaków? — szepnęła kpiąco.

A jednak było ich naprawdę dużo. Zaintrygował ją widok tak wielu mew wznoszących się ku niebu, a następnie lądujących z powrotem na piasku. Zazwyczaj te ptaki gromadziły się w małych grupach — po dziesięć, czasami dwadzieścia osobników, ale rzadko więcej. Przynajmniej

tak to pamiętała. Jednak w tamtej chwili założyłaby się, że ponad sto okazów wypełnia powietrze trzepotem skrzydeł i stukaniem dziobów.

„Co tam może być?" — zastanawiała się, wstając. „Zostań tu, jeśli chcesz, tchórzu. Przyjrzę się temu z bliska".

Młoda kobieta zostawiła psa, a on wydał żałosny skowyt, zagłuszony śmiechem mew. Podeszła do największego stada, znajdującego się około pięćdziesięciu metrów dalej, tuż przy brzegu. Z przyzwyczajenia, tak jak wtedy, gdy szła samotnie ulicami swojej dzielnicy z kartką żywnościową w ręce, żeby zdobyć coś, czym nakarmiłaby matkę i braci, rozejrzała się wokół, by sprawdzić, czy nic jej nie grozi.

Nie ujrzała żadnego innego człowieka.

Sceneria pozostała taka sama: z jednej strony ciche ruiny, z drugiej morze, zimne i leniwe, z ledwo dostrzegalną wyspą wyglądającą jak mały kamyk. Złowieszcze cienie dawno już się rozproszyły wraz z przybyciem Amerykanów. Spojrzenia, które wyczuwała na ulicach — wrogie lub przerażone, bardzo trudno było je rozróżnić — ciążyły jej wówczas na ramionach do tego stopnia, że jej ciało kurczyło się, aby jeszcze mniej rzucać się w oczy.

Obecnie wolność pozwalała kobiecie stać prosto i bez strachu spacerować po plaży. Ale nadal nie opuściły jej dawne odruchy wynikające z prześladowań.

Valérie znajdowała się około dziesięciu metrów od mew.

Ptaki poderwały się nagle, wyraźnie zaskoczone towarzystwem, którego wcześniej nie zauważyły. Następnie uznając, że ich łup jest wart stawienia czoła wszelkiemu ryzyku, ponownie rzuciły się hałaśliwie na piasek, płynnie i zdecydowanie. Ledwo usiadły na swoim tajemniczym skarbie (gdy odleciały, Valérie pomyślała, że to pień drzewa), zaczęły

podszczypywać się groźnymi dziobami, skrzeczeć wrogo, rozpościerać szeroko skrzydła i walczyć między sobą. Widząc, w jaki sposób się zachowują, można było pomyśleć, że ta furia ma na celu śmierć, a nie przetrwanie. Że w efekcie niewytłumaczalnej mimikry mewy naśladowały ludzi toczących ze sobą wojnę, tak jak robiły to dzieci, które Valérie spotykała na ulicach i które bawiły się w żołnierzy w bardziej typowej dla wojny scenografii.

„Czy ptaki też oszalały tak jak ludzie?"

Właścicielka Gusa, który wciąż leżał na piasku, śledząc ją przerażonym wzrokiem, w bezruchu obserwowała ten dziwny szał. Naraz prawie niedostrzegalny szczegół ukłuł ją lodowatym cierniem na końcu kręgosłupa. Chłód przeszył całe jej ciało aż do warg, a usta odrętwiałe z przerażenia, którego źródła Valérie nie potrafiła jeszcze określić, wyszeptały mimowolnie: „Niemożliwe".

— Niemożliwe.

Podczas wojny to zdanie straciło cały swój sens. Pojęcie niemożliwości zostało naruszone, okaleczone przez ludzką naturę. Bomby zrzucane na ludność. Ciała kobiet porzucane przez żołnierzy na gruzach popędów seksualnych. Dzieci wyciągające z głodu ramiona przez kraty wagonu…

Nic nie było już niemożliwe. Wojna zniszczyła również słowa.

A jednak Valérie powtórzyła mimowolnie ten wyraz, jakby to był odruch Pawłowa powiązany z prymitywnym cierpieniem.

Upuszczony kij leżał u jej stóp. Chwyciła go, drżąc, i zrobiła kilka kroków. Smród uderzył w jej nozdrza tak intensywnie, że pochyliła się, pozwalając żołądkowi wyrzucić całą zawartość. Ale skurcze uwolniły tylko żółć. Kiedy ból minął, Valérie wyprostowała się, otarła grzbietem dłoni łzy, które popłynęły podczas wymiotów, i ze złością spojrzała na znajdującą się przed nią armię.

— To tylko ptaki — mruknęła, żeby dodać sobie trochę odwagi. — Spotkałaś i przeżyłaś dużo gorsze rzeczy, śmiało, po prostu sprawdź…

Uniosła patyk nad głową i zaczęła biec w kierunku mew, krzycząc tak głośno, jak umiała.

Dziesiątki par skrzydeł zaszeleściły gwałtownie, gdy ptaki odleciały we wspólnej ucieczce i schroniły się na morzu, wydając z siebie niskie skrzeczenie przesycone niezadowoleniem. Kilka lekkomyślnych ptaszysk zadowoliło się ostrożnym wycofaniem i stojąc na smukłych nogach, z zaciekawieniem przypatrywało się kobiecie, będącej dwa lub trzy metry od ciała, z którego właśnie wzbił się w powietrze całun piór.

— Mój Boże — szepnęła Valérie.

Odkryła niekompletne zwłoki.

Brakowało ramienia i dolnej części nogi. Twarz była zwrócona w stronę piasku. Głowę otaczały długie lepkie włosy przypominające wodorosty. Przezroczystą skórę pokrywały liczne rany, bez wątpienia spowodowane dziobaniem ptaków lub apetytem drapieżnych ryb.

Młoda kobieta cofnęła się powoli. Spojrzała szybko w lewo, na budynki, wypatrując kogoś, kto mógłby jej udzielić schronienia. Chciała wołać o pomoc, ale nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku. Jej mózg ledwo był w stanie przesłać najważniejszą informację: uciekać od ciała tego dziecka.

Jej uwagę przykuł jednak szybki ruch z prawej strony. Pochodził z nieba.

I schodził do morza.

Potem się unosił.

Valérie nie miała ochoty się odwracać, aby zrozumieć genezę tego makabrycznego tańca. Pragnęła uciec z plaży i nie słyszeć ochrypłych krzyków zachęcających do spojrzenia w dal. Ale nie miała siły. Powoli

obróciła się więc w stronę kamienistej wyspy i przez łzy w kącikach oczu obserwowała ptaki.

Stado mew podzieliło się na kilka grup, które prezentowały ten sam balet w różnych miejscach. Nurkowały, aby się pożywić, niepokojone podczas uczty atakami fal miotających ich zdobyczą.

W ten sposób, czasem ukryte, czasem widoczne na powierzchni wody, unoszące się w kierunku plaży, dziobane przez głodne drapieżniki, pojawiły się inne szczątki. Pięć, sześć, dziewięć… Około dziesięciu fragmentów mięsa i kości wyłoniło się z zimnej toni, wszystkie nienaturalnie rozdęte od gazów z rozkładających się narządów, wszystkie częściowo zjedzone przez padlinożerców.

— Mój Boże…

Kiedy wypłynęło drugie ciało (to znaczy nie do końca ciało, raczej tułów bez nóg) i widmowa twarz z pustymi oczodołami pozbawionymi zawartości, Valérie, a za nią Gus zaczęli biec w kierunku nabrzeża.

A za nimi, niczym echo jej wewnętrznego krzyku, dziesiątki wygłodniałych dziobów przecinały ciszę drwiącymi piskami.

2

SANDRINE LISTOPAD 1986

„Po kostki w gównie, oto gdzie jestem".

Sandrine wpatrywała się z przykrością w swoje tenisówki, na wpół zatopione w błocie wymieszanym z krowim łajnem. Pamiętała, jak wkładała je rano, białe i nieskazitelne. A teraz, na środku pola, na które właśnie weszła, nie sprawdzając, gdzie stawia stopy, ledwo mogła dostrzec logo nadrukowane po bokach.

— Rozumie pani, nic nie słyszałem. Nic. Zrobili to w nocy.

Obserwowała chłopa, który stojąc kilka metrów przed nią, przezornie obuty w wysokie gumiaki, wskazał grubym palcem stado krów za ogrodzeniem z drutu kolczastego.

— Co powiedziała policja? — zapytała, robiąc zdjęcie zwierząt.

— Że to na pewno dzieciaki. Że dla zabawy… Ale co mam zrobić na targach?

— Targach?

— Tak, na targach bydła. Jest już za tydzień — powiedział z lekkim akcentem. — To krowy mleczne. Ale mógłbym je sprzedać na mięso, oczywiście taniej… Tyle że teraz nikt nie będzie ich chciał. Nie z tym ohydztwem na skórze… Kto mi za to zwróci?

„Nie z tym ohydztwem na skórze…"

Krzyże.

Namalowane sprayem na bokach kilkunastu zwierząt.

Hakenkreuze.

Pochylone swastyki.

Swastyki.

Dziennikarka poczuła na nadgarstku pieczenie skóry. Ukryte pod szeroką skórzaną bransoletą ślady się zaogniły. Przełknęła ślinę, by pozbyć się gorzkiego posmaku zatruwającego jej pamięć.

— Nie wiem, panie Wernst. Ubezpieczenie?

— Phi!… Nie oddadzą mi nawet jednej dziesiątej ich wartości. Chodźmy, wracajmy do domu — zasugerował chłop. — Zbierają się paskudne chmury. Ubłociła się pani, i to porządnie!

Sandrine wyginała kostki na wszystkie strony, pocierając butami o trawę, żeby usunąć jak najwięcej gówna. Przysięgła sobie, że od jutra będzie wozić w aucie parę kaloszy, na wypadek gdyby znowu wysłano ją do tak gorącego tematu jak ten…

„I pomyśleć, że zaledwie trzy tygodnie temu spacerowałam po ulicach stolicy, marząc o tym, by zostać dziennikarką w dużym dzienniku…"

Podstarzały mężczyzna (po sześćdziesiątce, a może i starszy, trudno było określić wiek twarzy zniszczonej pracą na roli) odkorkował butelkę białego wina, po czym wyjął z lodówki talerz z wędlinami i postawił go na solidnym dębowym stole. W pokoju unosiła się woń potu i mokrych ubrań, zmieszana z zapachem dymu z paleniska. Sandrine zdjęła tenisówki, pozostawiła je na zewnątrz na wycieraczce jak psa zbyt brudnego, by wpuścić go do domu, i ogrzewała się, stojąc przy kominku.

— Mój artykuł ukaże się jutro — powiedziała, słysząc dochodzący z kuchni brzęk naczyń. — Czy prenumeruje pan naszą gazetę?

— Nie. I nie mam czasu, żeby pójść po nią do miasteczka.

— W takim razie przywiozę ją panu — obiecała. — Mam nadzieję, że mój tekst rozwiąże języki.

— Naprawdę pani w to wierzy? — spytał ironicznie Frank Wernst, wracając do pokoju. W rękach niósł talerze, kieliszki, okrągły bochenek chleba i noże.

„Nie, oczywiście, że nie. Nie tutaj, nie w tym regionie. Nie pośród ruin i trupów" — przyznała w duchu Sandrine.

— Usiądźmy, proszę, to wino jest dobre.

Dziennikarka usiadła i przyjęła podany jej kieliszek. Miała dziwne wrażenie, że spotkała tego człowieka już wcześniej. Było to niemożliwe, ponieważ przebywała w Normandii dopiero od dwóch tygodni. „Może w wiejskiej piekarni albo… u rzeźnika" — pomyślała na widok stojącego przed nią talerza z kiełbaskami, pasztetami i *rillettes*[1].

— Trzeba mieć pełny żołądek, żeby mózg działał na najwyższych obrotach — wyjaśnił Frank, dostrzegając jej wahanie.

— Jest dopiero dziesiąta rano… — zauważyła Sandrine.

— Czas to pojęcie względne. Dla pani to dopiero dziesiąta. Ja, po pięciu godzinach pracy w polu, jestem w połowie dnia. A zatem nadszedł czas, żeby coś przekąsić.

Sandrine usłuchała. Przygotowała sobie niewielką kanapkę z plasterkiem pasztetu i z nieukrywaną przyjemnością napiła się wina. Frank ceremonialnie przeżuwał. Nalał sobie drugi kieliszek, zaproponował również dziennikarce, po czym z poważną miną odstawił butelkę.

— Wie pani, wojna nigdy nas nie opuszcza. Ona wciąż tu jest — powiedział, wskazując palcem prawą skroń. — Ci gówniarze nie muszą mi o niej przypominać, malując moje krowy. Śpi ze mną co noc. Nie ma wierniejszego towarzysza niż wojna. Kiedy się go poznaje, to na całe życie…

— Przykro mi, panie Wernst.

— Wiem, wiem. Wszystkim nam jest przykro.

— Co… co sprowadziło pana w te strony?

— To bardzo proste. Przyjechałem do Francji z najgorszego powodu: przez wojnę. I zostałem tu z najważniejszego powodu: z miłości.

— Naprawdę?

— Tak. Rok przed wyzwoleniem zakochałem się w paryżance. Ale musieliśmy się ukrywać. To nie było dobrze widziane, niemiecki żołnierz z Francuzką… Tułaliśmy się po świecie, a gdy historia zniknęła ze wspomnień, przyjechaliśmy i osiedliliśmy się tutaj. To było jakieś dziesięć lat temu.

— Mieszka pan sam?

— Tak — odparł bez dalszych wyjaśnień.

Sandrine rozejrzała się po pokoju. Stara sofa, meble z ciemnego drewna, obraz, wytarty dywan, stare oprawione zdjęcia. Żadnej telewizji ani telefonu. W prowizorycznej biblioteczce kilka książek z okresu międzywojennego. Farma sprawiała wrażenie zamrożonej w nieokreślonym czasie. Jak żołnierz czekający na zawieszenie broni, wydawała się nieruchoma, przestraszona, nie śmiała iść naprzód ani wstecz, odmawiała otwarcia się na swój czas, na muzykę, na niedzielne telenowele, na czytanie innej literatury, bardziej współczesnej, mniej wojennej, bojąc się zniszczenia przepowiedzianego przez krzyże na skórach krów.

Dziesięć minut później Sandrine podziękowała Frankowi i obiecała napisać wymowny artykuł, tak aby każdy czytelnik czuł dla tej sprawy tylko zrozumienie. Chciała jeszcze dodać coś bardziej osobistego, coś o obowiązku pamiętania, o horrorze wojny, o zakazanej miłości między żołnierzem a cywilką, ale nie miała odwagi. Po pierwsze dlatego, że nie czuła się uprawniona do poruszania tematów, które znała tylko z lekcji

historii. Po drugie wciąż nie opuszczało jej dziwne uczucie, że kiedyś już widziała tego mężczyznę. Nie wiedziała dlaczego, ale przeczuwała, że dopóki nie wyjdzie z tego domu, ten lekki dyskomfort jej nie opuści.

Zamknęła za sobą drzwi wejściowe i schyliła się, żeby włożyć tenisówki. Zatrzymała się w pół ruchu, gdy zauważyła, że zostały wyczyszczone przez gospodarza, pewnie wtedy, kiedy był w kuchni. Ta prosta oznaka sympatii sprawiła, że Sandrine się uśmiechnęła i chciała zawrócić, by mu podziękować.

Ale nagle w jej świadomości wystrzeliło déjà vu niczym ziarno popcornu w gorącym oleju. I pod wpływem tej myśli, choć głupiej i bezpodstawnej, schroniła się w swoim peugeocie 104, nie tracąc czasu na zawiązywanie sznurowadeł.

---

[1] *Rillettes* (fr.) — rodzaj przypominającego pasztet smarowidła z kawałeczków mięsa wolno duszonych w tłuszczu (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

3

SANDRINE LISTOPAD 1986

Sandrine weszła do maleńkiej redakcji lokalnej gazety, znajdującej się w centrum miasteczka, niedaleko rynku. Dzwonek na frontowych drzwiach ostrzegł Vincenta o jej przybyciu. Mężczyzna podniósł głowę znad maszyny do pisania, zaciągnął się papierosem, po czym zgniótł go w popielniczce i wstał, aby powitać koleżankę.

— I jak tam ten gorący temat? — Uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, że wyjazd na wieś po anonimowym telefonie brzmiał bardziej jak żart niż jak możliwość napisania artykułu roku.

Sandrine zadbała jednak przed wyjazdem o sprawdzenie informacji w żandarmerii.

— Bardzo zabawne — westchnęła, zdejmując kurtkę. — Przynajmniej dostałam porządne śniadanie! I wyczyszczono mi buty!

Kiedy dwa tygodnie wcześniej Vincent zobaczył, jak Sandrine przekracza próg biura, trzymając walizkę i kartkę z zapisanym adresem, poczuł eksplozję w żołądku. Przeżył wielki szok, podstępny wstrząs sejsmiczny, którego fale docierały aż do serca. Jego pierwsze słowa były tylko szkicami zdań w trakcie budowy, słowami bez związku, ponieważ fale w tym momencie unosiły również jego mózg. Uśmiechnął się (przynajmniej sądził, że się uśmiecha, gdyż stojąc sparaliżowany, nie miał

pewności, czy jego mięśnie mimiczne reagują prawidłowo), po czym wyciągnął rękę i się przedstawił, uważając, by własnego imienia nie wybełkotać. Sandrine była wzruszona nieporadnością Vincenta i rumieńcami na jego twarzy.

W Paryżu nikt nie witałby jej z takim entuzjazmem…

Odtąd Vincent otaczał ją dyskretnymi gestami i starał się zwrócić na siebie uwagę paryżanki (tak egzotycznej dla każdego, kto spędził całe życie w zapadłej mieścinie).

Najpierw z przyjemnością wyjaśnił, jak działa gazeta (temat szybko się wyczerpał, ponieważ w redakcji pracowały tylko dwie osoby: on i Pierre, kierownik), a następnie opisał wieś oraz jej mieszkańców. Opowiedział o różnych aspektach życia codziennego: o ludziach, których należy słuchać, o tych, których należy unikać, o najlepszych knajpkach, o fajnych miejscach na drinka…

W jego kawalerskiej rutynie zaszły nagłe zmiany. Poranne szykowanie się do pracy zaczęło zajmować więcej czasu. Przyglądał się sobie w lustrze w swojej łazience nowymi, bardziej uważnymi oczami. Malutkie wynajęte mieszkanie nad sklepem z włóczkami stało się świadkiem fizycznej przemiany lokatora. Widziało wychodzącego do pracy dokładniej ogolonego, staranniej uczesanego Vincenta, za którym ciągnęły się smugi nieznanego zapachu. Słyszało, jak nuci, przyłapywało go na uśmiechu bez wyraźnego powodu.

Ubrania gromadzące się od dawna na wielkiej stercie trafiły do kosza na brudną bieliznę. Rozrzucone tu i ówdzie butelki po piwie zniknęły, jak gdyby w ciągu tego długiego roku, gdy Vincent nie zapraszał nikogo do swojego dwupokojowego mieszkania, nigdy się tam nie pojawiły. Żelazko wróciło do łask, podobnie jak odkurzacz, który został zmuszony do wyjścia

ze stanu hibernacji i do połykania rozrzuconych niegdyś na wykładzinie okruchów chipsów oraz resztek tytoniu do skręcania papierosów.

W redakcji odmieniony Vincent nieustannie obserwował Sandrine. Udawał, że pisze na maszynie lub zastanawia się nad pierwszym, chwytliwym zdaniem artykułu, ale jednocześnie przyglądał się dyskretnie temu deus ex machina, który pojawił się, by rozwikłać tragedię jego romantycznego życia. Dziś rano, gdy patrzył, jak Sandrine wyjeżdża na farmę Wernsta, przyznał sam przed sobą, że wciąż niewiele wie o swojej współpracowniczce. Grzeczne wymiany zdań, nieszkodliwe ciekawostki… Jeszcze nie odważył się na zaproszenie, na: „Przyjdź do mnie, będziemy się całować i kochać na czystej wygodnej wykładzinie…", o którym marzył wieczorami przed snem.

Jego wiedzę na temat Sandrine można było podsumować w kilku zdaniach: pochodziła z Paryża, gdzie trudno było znaleźć pracę w branży dziennikarskiej. Jedynaczka. Lubiła samotność. Skórzana bransoleta na lewym nadgarstku była swego rodzaju pamiątką (nigdy nie odpowiedziała na pytanie po czym). I owszem, może któregoś wieczoru, kiedy Sandrine już się zaaklimatyzuje, zgodzi się pójść z nim po pracy na drinka.

Reszta pochodziła z jego uważnych obserwacji: Sandrine była dość wysoka — mierzyła mniej więcej metr siedemdziesiąt, miała delikatne brązowe włosy obcięte na boba, kościstą twarz o harmonijnych rysach, hipnotyzujące brązowo-zielone oczy, a piersi, jak się domyślał pomimo noszonych przez nią grubych swetrów, jędrne i krągłe niczym najpiękniejsze jabłka z Normandii. Zauważył też coś jeszcze: jej usta. Zza biurka widział, jak poruszają się regularnie, nie wydając żadnego dźwięku. Sandrine spędzała czas na wypowiadaniu niemych zdań, jakby jej myśli nie mogły pozostać zamknięte w umyśle i musiały za wszelką cenę uciec za pomocą tych cichych, ledwo dostrzegalnych ruchów. I za każdym razem (to

znaczy dość często) ten prosty cielesny taniec budził w nim pragnienie zbliżenia się i pocałunku…

— A co poza tym? — Zebrał się w sobie, gdy zdał sobie sprawę, że wpatruje się w usta Sandrine jak dziecko stojące przed wystawą ze słodyczami.

— Poza tym krowy ze swastykami namalowanymi na skórze, pasące się na błotnistym polu. Policja myśli, że sprawcami są dzieciaki.

— Spójrz na to z jaśniejszej strony: nie zobaczyłabyś tego w Paryżu!

Zdanie „nie zobaczyłabyś tego w Paryżu" wydawało się jego ulubionym. Wypowiadał je, gdy tylko nadarzała się okazja: gdy poruszali temat najbliższych targów bydła, chaotycznych dróg biegnących przez okolicę, przestarzałego i ciasnego budynku poczty, kiepskich manier gburowatych wieśniaków… Głównym celem tej mantry było przekonanie nowej koleżanki, żeby nigdy nie opuściła tego regionu, a przede wszystkim by nigdy nie oddaliła się od Vincenta.

— Nie, na pewno nie… — przyznała.

— Sandrine?

„Cholera" — pomyślała. „Zrobi to. Zaprosi mnie na drinka i tym razem nie będę miała wystarczająco dobrej wymówki. Dlaczego nie rozumie, że chcę być sama? Ponieważ nie może, idiotko. Nic o tobie nie wie. A przynajmniej nie tyle, żeby się czegoś domyślać". Nadgarstek znów ją piekł. Jak poprzednio, gdy stała przed tymi nazistowskimi symbolami. Dyskretnie potarła ręką o kieszeń dżinsów, jakby to było zwykłe swędzące ugryzienie komara.

— Tak?

— Pierre chce z tobą porozmawiać. Zdaje się, że to coś ważnego… — oznajmił Vincent.

Pierre, szef. To on zaoferował jej pracę. Usłyszał o Sandrine od znajomego ze stolicy. Nie wahał się ani przez chwilę — prawdziwi dziennikarze należą w tej okolicy do rzadkości.

Młoda kobieta zapukała nerwowo do drzwi biura.

„To, co piszesz, jest dobre, ale nie tutaj…"

Coś takiego spodziewała się usłyszeć, siadając naprzeciwko Pierre'a, mężczyzny po pięćdziesiątce, z kręconymi włosami i okularami w czerwono-niebieskich metalowych oprawkach. Miał minę oznaczającą zły dzień. Oczami wyobraźni widziała już siebie, jak wraca do Paryża i znów chodzi po redakcjach z nadzieją na podpisanie umowy, choćby jako niezależna dziennikarka…

— Jak się masz, Sandrine? — zapytał bez wstępów Pierre.

W biurze unosił się słaby zapach cynamonu, ale nie potrafiła określić, skąd pochodził.

— Dobrze, dziękuję.

— Podoba ci się tutaj? — Wyjął z szuflady talerz ciastek. — Wiem, że to nie Paryż, jesteśmy jednak poważną i cenioną w regionie gazetą. Nasze zwyczaje mogą być dla ciebie dziwne, prawie pogańskie, ale tutejsi ludzie są prości, a ta prostota bywa pokrzepiająca, zwłaszcza gdy się pochodzi z dużego miasta.

— Wszystko jest w porządku. Przyzwyczaiłam się do targów cebuli i obchodów nocy świętojańskiej — przyznała Sandrine, chociaż zdawała sobie sprawę, że to nie do końca prawda. — Choć zajmie mi jeszcze kilka lat, zanim przebiorę się za wieśniaczkę, żeby tańczyć wokół świętego ognia…

— Nie bądź tego taka pewna! Przegapiłaś tegoroczne świętowanie, ale uwierz mi, że obchody są naprawdę wspaniałe!

Sandrine wyobraziła sobie, jak szef zrzuca tweedową marynarkę i golf, by ubrany tylko w tradycyjną przepaskę biodrową, wmieszać się w gromadkę fałszywych dziewic.

— Proszę — zaproponował, podsuwając w jej stronę talerz. — Spróbuj tych ciastek. Żona od dwóch miesięcy myśli, że słodkie wypieki to przyszłość ludzkości. Codziennie nowy przepis. Mój poziom cukru we krwi jest rekordowo wysoki. Wydaje mi się, że za każdym razem, gdy idę do toalety, sikam syropem glukozowym.

— To miłe, ale dopiero co jadłam regionalne specjały u pana Wernsta. Może później.

Pierre odstawił talerz, westchnął, by dodać sobie odwagi, i spojrzał na młodą kobietę.

— Sandrine, cóż… Nie wiem, jak zacząć. To delikatna sprawa.

Oto nadeszła ta chwila. Przeskok czasowy załamujący teraźniejszość i przenoszący z powrotem w przeszłość. Kolejna przeprowadzka. Opuszczenie jednego miejsca i szukanie schronienia w innym. Ponowna ucieczka pod szarym baldachimem kapryśnego nieba. Ból blizny na nadgarstku. Recytowanie starego wiersza, aby zapomnieć.

— Co się dzieje? — zapytała Sandrine, domyślając się dalszego ciągu, ponieważ przeżyła to już wielokrotnie.

„Za bardzo się dystansujesz. Ta praca nie jest dla ciebie. Powinnaś się bardziej otworzyć. Twoi koledzy się martwią. Jesteś dobrą pracownicą, ale…" Po części to dlatego nigdy nie zaaklimatyzowała się w dużym mieście. Znajomi zbyt często zarzucali jej, że nie wychodzi z nimi wieczorami i woli być sama. Niektórzy uznawali to za pogardę, inni za nieprzystosowanie społeczne, a nawet mizantropię. Bez względu na to, jak długo im tłumaczyła, że tak czuje się lepiej — skulona w samotności, czytająca książkę, a nie uganiająca się po barach i klubach nocnych —

niewielu to rozumiało. W końcu Sandrine przyznała sama przed sobą, że najlepszym rozwiązaniem może być jeszcze większe odizolowanie się, nawet jeśli oznaczałoby to przeprowadzkę.

— Wybacz, jeśli będę niezbyt taktowny — powiedział ostrożnie Pierre. — Rano dzwonił notariusz.

— Notariusz?

— Tak, notariusz. Kilka tygodni temu wysłał ci list, ale przesyłka do niego wróciła, ponieważ nie zastano cię pod poprzednim adresem. W końcu dowiedział się, że pracujesz u nas, i wysłał pismo ponownie. Zadzwonił też do mnie dziś rano, aby mnie uprzedzić, że to pilne.

— Uprzedzić cię o czym?

— O twojej babci.

Sandrine osunęła się na krzesło i przez chwilę milczała.

„O twojej babci". Czy miał na myśli „babcię Suzanne" ze strony matki? Osobę, której nigdy nie widziała, ponieważ ta szalona kobieta, jak twierdziła matka, mieszkała na wyspie i nigdy jej nie opuszczała.

Pierre wstał, obszedł biurko i stanął obok Sandrine, po czym wręczył jej list.

— Proszę. Obawiam się, że to zła wiadomość. Zostawię cię, żebyś mogła spokojnie… no wiesz. Gdybyś czegoś potrzebowała, daj znać.

Sandrine zaczekała, aż drzwi się zamkną, i otworzyła kopertę.

Szanowna Pani,

z przykrością informuję o śmierci pani Suzanne Vaudrier, lat siedemdziesiąt trzy, urodzonej jako Suzanne Hurteau 10 grudnia 1912 roku, żony pana Jeana Vaudriera i matki pani Monique Vaudrier.

Karta zgonu została wystawiona 27 października 1986 roku przez obecnych na miejscu lekarza i żandarma. Ustalono wówczas, że zadbam

o poinformowanie Pani i prześlę akt zgonu na Pani ostatni adres zamieszkania znany jednostkom pocztowym, tj. ulica des Halles numer 56 w Paryżu.

Po otrzymaniu zwrotu mojego poprzedniego pisma i po ponownych poszukiwaniach niniejszym drugim pismem informuję Panią o istnieniu testamentu sporządzonego własnoręcznie przez zmarłą i złożonego w mojej kancelarii notarialnej dnia 25 października 1986 roku.

Dlatego też proszę Panią o przybycie pod adres wskazany w nagłówku niniejszego pisma, aby mogła Pani poznać ostatnią wolę Pani babci, pani Suzanne Vaudrier.

Oczekując Pani wizyty, składam najszczersze kondolencje.

Pozdrawiam serdecznie

Jean-Baptiste Béguenau

Sandrine przeczytała list po raz drugi.

Nie poczuła więcej emocji.

Z ust mimowolnie wyrwały się jej pierwsze zdania jej ulubionej powieści Alberta Camusa: „Dzisiaj umarła mama. Albo wczoraj, nie wiem" [2]. Przez długi czas, kiedy przyjaciele krytykowali jej samotność i brak entuzjazmu dla nocnego życia, czuła bliską więź z Meursaultem. Zresztą to w jego obecności sama w łóżku, przewracając strony *Obcego*, odpierała wszystkie te wyrzuty. A teraz, kiedy poinformowano ją o śmierci członka rodziny, stwierdziła, podobnie jak on, że smutek, który powinna odczuwać, jest jej obcy. Pewne poczucie winy skłoniło ją do przejrzenia pamięci w poszukiwaniu czegoś, dzięki czemu mogłaby odzyskać krewną. Lecz niczego nie znalazła. Żaden obraz Suzanne nie przedostał się do jej mózgu. Jedyny raz, kiedy rozmawiała na ten temat z matką, jej ciekawość została rozwiana przez proste zdania, równie zdumiewające, jak ostateczne:

— Jest szalona. Wolała zostać na tej swojej wyspie, niż poznać ciebie, swoją jedyną wnuczkę. Nigdy jej nie widziałaś i uwierz mi, nigdy nie zobaczysz.

Koniec dyskusji, koniec historii.

W ten sposób istnienie Suzanne zostało wymazane z pamięci zbiorowej oraz z drzewa genealogicznego, a jej imię usunięte z rodzinnego słownika. W kilku zdaniach stała się tematem tabu, do tej chwili całkowicie zapomnianym.

— Cholera — westchnęła dziennikarka.

Przeczytała list po raz trzeci, jakby chciała się przekonać, że jest adresowany do niej, że nie pomylono adresata. Ale nie, jej matka miała na imię Monique.

„Pieprzyć to" — postanowiła, wychodząc z biura szefa. Pierre czekał na nią tuż za drzwiami. Gdy pojawiła się w pomieszczeniu, palce Vincenta przestały znęcać się nad maszyną do pisania.

— To nic ważnego — powiedziała.

— A jednak notariusz wydawał się dość… zmartwiony — zauważył Pierre.

— No cóż… Nigdy jej nie znałam… Nie wolno tak wchodzić w ludzkie życie, zwłaszcza po śmierci.

Sandrine nie zdawała sobie z tego sprawy, ale jej głos przybrał inną, niemal dziecięcą barwę. Gdy podniosła list, aby podkreślić swoje słowa, jej ręce lekko drżały, a oczy zaszły mgłą.

— Myślę, że powinnaś tam pojechać. Weź tydzień urlopu.

— Ale… dzień lub dwa wystarczą — wymamrotała. — Chodzi tylko o zabranie rzeczy po nieznajomej osobie, o nic więcej.

— W pewnym momencie ta „nieznajoma osoba" przyczyniła się do tego, że istniejesz, Sandrine — stwierdził Pierre. — Mniejsza o resztę. Nie

mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale wiem, że jest w tobie jej cząstka i nie możesz temu zaprzeczyć. Niektóre cywilizacje twierdziły, że kiedy umiera przodek, jego potomkowie tracą część siebie. Nie tylko z punktu widzenia genealogicznego czy pamięciowego, ale także fizycznego. Atomy pochodzące od naszych rodziców, obecne w naszych ciałach, obumierają, co wywołuje w nas organiczny smutek. Cywilizacje te uważały, że to jest przyczyną zmęczenia odczuwanego podczas żałoby.

— Nie sądzę, żeby…

— Tydzień — nalegał szef. — Do targów rolniczych nie wydarzy się tu nic wyjątkowego. Najwyżej dzieciaki znów pomalują jakąś krowę lub świnię… Poradzimy sobie bez ciebie. Jedź na tę wyspę, załatw wszystko, co masz do załatwienia, i wróć do nas w dobrej formie. Tylko o to cię proszę.

---

[2] A. Camus, *Obcy*, tłum. M. Bińczyk, PIW, Warszawa 2021.

4

Więc dziecko recytowało sobie poezję.

Kogo tam w nocy unosi koń?

Na początku z wahaniem.

Ojca, na pierś mu syn schyla skroń.

Potem z wytrwałością.

Trwożnego chłopca trzyma przy łonie.

Żeby uciec, żeby uciec.

Tuli do piersi, objąwszy w dłonie.

Żeby odizolować się bardzo daleko na swojej wyspie.

5

SUZANNE 1949

— Oto jest.

Suzanne zobaczyła zielony stateczek zbliżający się powoli do pomostu. Jeszcze chwilę tańczył na falach, a potem został przycumowany, zataczając się na boki jak pijany marynarz. Hałaśliwy silnik zakaszlał, buchając gęstym czarnym dymem, po czym zupełnie ucichł.

Ktoś ścisnął jej rękę: to była Françoise, która podobnie jak Suzanne pełniła funkcję wychowawczyni.

Suzanne patrzyła na jej twarz zarumienioną od lodowatego wiatru. Głowę Françoise zakrywał wełniany kaptur, ale kilka jasnych kosmyków włosów uciekło spod niego i wiło się na skroniach. Françoise zrobiła też sobie makijaż. To był wyjątkowy dzień. Przyszli także wyprostowany jak struna ogrodnik Maurice, lekarz Claude, zagadkowy człowiek z monoklem, oraz konserwator Simon. Reszta personelu znajdowała się już na miejscu i dopinała wszystko na ostatni guzik.

Wszyscy byli przekonani, że czuwają nad dobrostanem Wszechświata. Dyrektor, który stał teraz najbliżej statku, pomimo zimna odziany tylko w garnitur, w ten sposób zdefiniował ich pracę na tej wyspie. Czuwać nad dobrostanem Wszechświata. Wszyscy się uśmiechnęli, gdy usłyszeli to

zdanie. Mogło wydawać się przesadzone, wyolbrzymione i pretensjonalne. Ale niosło w sobie wiele nadziei.

* * *

Mężczyźni złapali cumy i założyli je na polery. Drewniany trap został ostrożnie umieszczony ponad powierzchnią wody i przyczepiony do pokładu. Dyrektor zrobił krok naprzód na pomoście, świadomy, że zbliża się ten moment. Czekał na tę chwilę, wszyscy na nią czekali od kilku tygodni. Znał już te dzieci, spotkał wszystkie na kontynencie, ale Suzanne poznała jego zdenerwowanie po sposobie, w jaki zaciągał się papierosem. Nie było się czym martwić. Obóz był gotowy. Przez trzy miesiące dzieci mogły zapomnieć o wystrzałach. Wyrzeczeniach. Strachu. Smrodzie zwłok. Mogły dojść do siebie.

„Dobrostan Wszechświata.

On ma rację, tak to wygląda".

Z ładowni wysunęła się pierwsza głowa. A potem kolejna. Szybko uformowała się grupa dzieci, która przeszła przez pomost.

Suzanne je policzyła.

Dziesięcioro.

Nie brakowało żadnego.

Znała imiona, choć na żywo widziała teraz te dzieci po raz pierwszy. Kartoteki zostały przekazane na tydzień przed ich przybyciem, aby nie tracić cennego czasu. Dyrektor pomyślał o wszystkim.

Właśnie przytulał pierwsze dziecko. Każde miało prawo do uścisku.

Następnie dzieci weszły na wyspę. Zbliżyły się do Suzanne, wbijając wzrok w ziemię. Jej uśmiech nie znalazł odbicia w ich twarzach, jednak nie

miała im tego za złe. Wojna nauczyła je patrzenia tylko na swoje stopy i wystrzegania się uśmiechów dorosłego. Ale Suzanne była pełna nadziei.

Wszyscy razem ruszyli w drogę. Pochód otwierał dyrektor. Szedł i mówił. Jego słowa były pełne pewności i pocieszenia. Podążali ścieżką prowadzącą z portu do lasu. Dzieci, podobnie jak personel, milczały. Lecz jedno zdanie sprawiło, że podniosły głowy.

— Gdy dotrzemy na miejsce, będzie gorąca czekolada!

Suzanne zobaczyła zaskoczenie w ich oczach. Ich usta lekko się rozluźniły. Dzieci spoglądały teraz na dyrektora, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Być może niektórzy z nowych podopiecznych nigdy wcześniej nie pili czekolady. Ale te proste słowa dawały im poczucie bezpieczeństwa, zwłaszcza gdy jeden z najstarszych, Fabien, zapytał:

— Naprawdę?

— O tak, Fabienie, naprawdę. Pod warunkiem że nasz drogi kucharz wszystkiego nie wypił!

— Dziękuję panu!

— Nie musisz dziękować, żadne z was nie musi. Jesteście moimi gośćmi. Wojna się skończyła, dzieciaki, i czas, żebyście przestały zbyt szybko dorastać.

Po zaledwie dziesięciu minutach marszu opuścili malutki lasek. Przed nimi pojawiły się betonowe ściany starego blokhauzu. Kilkoro dzieci zachwycił widok boiska sportowego przygotowanego przez Simona. Konserwator skosił nisko trawę i postawił dwie bramki, używając starych drewnianych słupów z pomostu. Udało mu się nawet do masztu znalezionego na kontynencie przyczepić obręcz do koszykówki. Ale najpiękniejszym dziełem był niewątpliwie stworzony przez Maurice'a ogród. Maurice posadził tam wszystko: warzywa, drzewa owocowe, aromatyczne rośliny… Było tego na tyle dużo, by zadowolić kucharza

Victora. Założono też hodowlę kur oraz — nieco dalej — świń. Dyrektor wszystko zaplanował. Były krowy mleczne oraz kilka osłów do przejażdżek po wyspie. Suzanne uśmiechnęła się na myśl, że niektóre dzieci widziały takie zwierzęta po raz pierwszy.

Gdy zbliżali się do pierwszego budynku, przywitał ich delikatny zapach gorącej czekolady.

„Wkrótce dzieci znajdą się w swoich pokojach — ucieszyła się — i na nowo odkryją część swojego dzieciństwa, dmuchając na gorące filiżanki…

Dobrostan Wszechświata".

6

SANDRINE LISTOPAD 1986

O czternastej trzydzieści Sandrine opuściła stację i pojechała taksówką do centrum miasta.

Przez długi czas się wahała. Jej babcia nigdy nie zadała sobie trudu, by skontaktować się z jedyną wnuczką, zainteresować się nią, wysłać jej kartkę z życzeniami lub do niej zadzwonić. Więc po co tam jechać? Co miała nadzieję znaleźć na tej wyspie? Młoda kobieta wiedziała, że matka zabroniłaby jej wyjazdu. Próbowałaby ją odwieść od tego pomysłu, przekonywałaby, że przeszłość należy zapomnieć. Ale przecież matka też nie umiała zastosować się do własnej rady. Nigdy nie była na tyle silna, by pozbyć się złości i obrzydzenia, jakie czuła wobec ojca Sandrine. Zatem czy warto jej słuchać?

Sandrine zrozumiała, że wyprawa na wyspę będzie ostatnią okazją, by dowiedzieć się czegoś więcej, by umieścić jako epitafium na grobie Suzanne słowa inne niż szaleństwo. A poza tym Pierre nalegał. Nie chciał jej widzieć przed upływem tygodnia…

Szare niebo patrzyło, jak przybyszka błąka się apatycznie po ulicach, a mewy drwią z jej obecności. W tle za kakofonią samochodów i rozmów czaił się cichy szum oceanu. Trzask fałów o maszty odbijał się echem zdanym na kaprysy wiatru, który co jakiś czas nadymał z całych sił żagle

łodzi rekreacyjnych. Sandrine z radością przyjęła to wszechobecne poruszenie. Odkąd przybyła do wioski, najbardziej brakowało jej hałasu. Nie ludzi, lecz hałasu. Przyzwyczajona do zgiełku stolicy, nie potrafiła zadomowić się w miejscu, w którym odstęp między przejazdami dwóch samochodów liczony był nie w sekundach, ale w dziesiątkach minut. Kiedy szła do redakcji, nieraz nie spotykała nikogo przez całą drogę, a nawet nie słyszała innego dźwięku niż własny oddech. Właśnie dlatego spacer po centrum Villers-sur-Mer poprawił jej samopoczucie, jak gdyby hałas ją uspokajał.

Po dziesięciu minutach wędrówki Sandrine postanowiła zapytać o drogę. Przechodzień wskazał jej ulicę nad brzegiem morza, niedaleko przystani.

Chwilę później młoda kobieta pchnęła drzwi biura notarialnego.

— Panna Vaudrier!

Jean-Baptiste Béguenau był krępym mężczyzną z rzadkimi włosami. Powitał ją w swojej kancelarii z taką powagą, jakby wszystkie minione i przyszłe wojny były efektem jego decyzji i działań. Sandrine przyjęła kondolencje, spostrzegła, że notariusz ma lekkiego zeza, co spróbowała na próżno zignorować, po czym ruszyła za mężczyzną do gabinetu. Pomieszczenie pachniało porządkiem i terpentyną. Duży regał, wypełniony starannie ułożonymi teczkami, zajmował sporą część ściany naprzeciw okna z widokiem na ocean. Biuro nie było zagracone — żadnych rodzinnych zdjęć, filiżanek z zimną kawą ani porozrzucanych dokumentów. Jedyną ekscentryczność tego miejsca stanowiła ogromna roślina doniczkowa umieszczona w kącie na podłodze, jak gdyby osoba, która ją tu przyniosła, nie wiedziała, co z nią począć. Sandrine miała nieprzyjemne uczucie przebywania w domu pokazowym.

— Proszę usiąść! Dziękuję, że przebyła pani tak długą podróż, panno Vaudrier. Nie będę pani długo zatrzymywał. Dwa lub trzy podpisy do złożenia, to wszystko — zapewnił Béguenau, wyjmując z szuflady brązowe akta.

Skórzany fotel zaskrzypiał pod ruchami notariusza. Mężczyzna położył dokumenty przed sobą, po raz ostatni przejrzał ich zawartość, pomrukując z aprobatą, po czym podał je Sandrine.

— Podpis tutaj i drugi w tym miejscu wystarczą. Proszę spokojnie przeczytać wszystkie linijki. Nie ma tu żadnych kruczków! — zażartował.

Jego stłumiony śmiech rozbrzmiewał przez kilka sekund, po czym się urwał. „Rozsądnie dawkowany, aby nie wydał się niestosowny w takich okolicznościach" — pomyślała Sandrine. „Niewątpliwie wyćwiczony przed lustrem, chociaż bardziej przypomina mi fajerwerki, które nie wybuchły, niż szczerą i krzepiącą reakcję na żart".

Szybko przeczytała testament i podpisała we wskazanych miejscach. Nie chciała siedzieć tam w nieskończoność, a poza tym było w nim niewiele informacji. Rzeczy osobiste do odbioru z domu zmarłej, pieniądze odłożone w banku bez podania konkretnej kwoty. Nic więcej.

— Co teraz? — zapytała, odsuwając papiery.

— Pani statek odpływa za mniej więcej trzydzieści minut — poinformował ją notariusz. — Będzie pani potrzebny ten dokument.

— Co to jest?

— Przepustka. Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku wyspa stanowi rezerwat ptaków morskich, niedostępny dla turystów.

— Chce pan powiedzieć, że jest… bezludna? — zaniepokoiła się Sandrine.

Błąkanie się po skałach w towarzystwie ptaków przypominało raczej dreszczowiec Hitchcocka niż wizytę pełną zadumy nad sprawami

rodzinnymi. Pomyślała, że samotne życie wiedzione tylko przy akompaniamencie fal i dziobów setek ptaków może częściowo tłumaczyć szaleństwo jej babci.

— Nie, nie do końca — zapewnił ją Béguenau. — Nadal mieszka tam garstka osób. Pani babcia była jedną z nich. Ci ludzie osiedlili się tam kilka lat po wojnie, a właściciel wyspy nie miał serca ich wyeksmitować. Mają prawo tam pozostać, ale żaden nowy mieszkaniec nie może się sprowadzić. Z wyjątkiem przypadku… śmierci, na czas odebrania rzeczy zmarłego i ostatniego pożegnania.

Sandrine zauważyła lekkie zmieszanie w głosie notariusza. Odwracając wzrok, żeby nie napotkać jego zeza, zdała sobie sprawę, że jedyny zegar w pokoju nie działa. Wskazówki zatrzymały się na godzinie dwudziestej trzydzieści siedem, choć była dopiero piętnasta trzydzieści. Wahadło nie wykonywało żadnego ruchu. Nie wiedziała dlaczego, ale ten zatrzymany czas przeszkadzał jej bardziej, niż mogłaby się spodziewać. Zdziwiła się, że Béguenau toleruje tę anomalię we wnętrzu uporządkowanym z precyzją aptekarza. Pomyślała o słowach rolnika usłyszanych poprzedniego dnia: „Czas to pojęcie względne".

— Pański zegar jest zepsuty. — Nie mogła się powstrzymać przed tą uwagą.

— Ach, rzeczywiście, nie zauważyłem. Zawsze zapominam go nakręcić. Tak więc — ciągnął Béguenau profesjonalnym tonem — będzie pani musiała okazać właścicielowi statku tę przepustkę. Bez niej nie wpuści pani na pokład. W razie kontroli kapitan miałby poważne kłopoty.

— Co zastanę… tam, na wyspie?

— Niestety, nie potrafię dokładnie powiedzieć, co posiadała pani babcia. Tak naprawdę nie opisała tego w testamencie. Dom nie należał do

niej, wynajmowała go. Myślę, że będą to tylko rzeczy osobiste, może stare zdjęcia, biżuteria, coś w tym stylu…

Prawnik rozłożył mapkę narysowaną czarnym pisakiem. Wyspa miała kształt gruszki. U jej podstawy znajdował się wysunięty w ocean pomost. Powyżej widniało około dwudziestu małych kwadracików, bez wątpienia domów. Jedyna istniejąca ścieżka zaczynała się przy pomoście i rozwidlała na dwie części: lewa prowadziła w stronę domów, a prawa — w kierunku lasu, w którym znikała. Dom wynajmowany przez babkę Sandrine, zaznaczony krzyżykiem, i budynek gospodarczy, oznaczony jako kwadrat, były jedynymi budynkami po tej stronie wyspy. Tuż za nimi ścieżka niknęła w lesie.

— Przyznaję, że mapa jest dość ogólnikowa, ale powinna wystarczyć — stwierdził prawnik. — Wyspa nie jest zbyt duża, ma zaledwie około trzydziestu hektarów, ale teren jest dość pofałdowany, szczególnie w północnej części. Proszę uważać, jeśli zdecyduje się pani na spacer.

— Czy to moja babcia przekazała panu tę mapkę? — zapytała Sandrine.

— Tak. Panią Suzanne Vaudrier widziałem tylko raz, dwa dni przed jej śmiercią, kiedy przyszła złożyć testament.

— Jak wyglądała?

— To znaczy?

— Czy wydawała się normalna, to znaczy zdrowa na umyśle?

— Proszę pani, gdybym choć przez chwilę wątpił w jej sprawność umysłową, nie przyjąłbym testamentu. Przede wszystkim poprosiłbym, żeby wróciła z zaświadczeniem lekarskim potwierdzającym jej… dobry stan. W naszej branży obowiązują zasady. Zegar wskazujący nieprawidłową godzinę może się znaleźć w moim gabinecie, ale klient przejawiający „nieprawidłowości" zdecydowanie nie.

— Przepraszam, nie chciałam kwestionować pańskiego profesjonalizmu, po prostu…

— Pani transport czeka, panno Vaudrier — przerwał jej, wstając. — Innego dziś już nie będzie.

Notariusz odprowadził ją do wyjścia i wskazał dziesięciometrowy statek, którego szmaragdowa zieleń wyblakła od słońca i niepogody.

— Przeprawa nie zajmie więcej niż godzinę — zapewnił. — Morze jest spokojne. Do zobaczenia wkrótce, panno Vaudrier, proszę koniecznie odwiedzić mnie po powrocie!

7

SANDRINE LISTOPAD 1986

Wychodząc od notariusza Béguenau, Sandrine odniosła nieprzyjemne wrażenie, że spotkanie trwało kilka godzin, a ona nie zdawała sobie z tego sprawy. Niebo pociemniało, dogasające promienie słońca sprawiały, że świat wyglądał, jakby było późne popołudnie. A przecież Sandrine dobrze pamiętała, że weszła do biura około piętnastej.

„Cholera, rozmowa trwała przecież tylko godzinę…"

Tak jakby niewidzialna zasłona właśnie wylądowała na każdym obiekcie w zasięgu jej wzroku, aby zmatowić naturalny blask. Tak jakby ktoś obniżył poziom świetlistości Wszechświata.

Sandrine podeszła do końca pomostu i do statku wskazanego przed chwilą przez notariusza. Zdecydowana jak najszybciej powrócić z wyspy, już sobie wyobrażała, jak pozbywa się rzeczy babci: nic nie zabierze na kontynent. Co tylko się da, rozda tamtejszym mieszkańcom, organizując spotkanie, podczas którego każdy będzie mógł sobie wziąć, co zechce. Sandrine ani przez chwilę nie wątpiła, że dzięki temu pomysłowi opróżni dom w bardzo krótkim czasie, a to pozwoli jej odpłynąć już następnego popołudnia i powrócić do normalnego życia.

Zobaczyła dwóch mężczyzn ładujących torby i pudła na pokład. Jeden z nich, młodszy, zamarł, kiedy zobaczył, że kobieta się zbliża.

— Szuka pani czegoś?

Miał ciemne oczy. Sandrine nie mogła nie zauważyć muskularnych ramion. Wydawało się jej, że dostrzegła iskierkę poczucia winy w jego skupionym spojrzeniu, jakby przyłapała go na jakiejś kradzieży.

— Panowie płyną na wyspę, prawda? — zapytała niepewnym głosem.

— Zgadza się.

— Notariusz powiedział, żebym to panu dała — wyjaśniła, wyjmując przepustkę.

Młody człowiek odstawił drewnianą skrzynię, którą trzymał, i przeczytał dokument. Nagle jego spojrzenie się zmieniło. Brązowe oczy stały się łagodniejsze, spojrzenie pojednawcze. Sandrine początkowo sądziła, że zaszła pomyłka, a notariusz Béguenau się pomylił, i że ten statek — Lazarus, jak wskazywała nazwa wymalowana na biało na kadłubie — nie zmierza w kierunku upragnionego celu. Ale marynarz zwrócił jej kartkę i posłał zawstydzony uśmiech.

— Pani jest wnuczką Suzanne?

— Tak.

— Przykro mi z powodu tego, co się stało, proszę przyjąć moje kondolencje. Bardzo lubiłem Suzanne. Była dobrym człowiekiem. Naprawdę… — powiedział, spuszczając wzrok.

— Dziękuję panu, nie znałam jej… Mam na imię Sandrine. — Wyciągnęła rękę w jego stronę.

— Och, ja jestem Paul, regularnie przemierzam tę trasę z Simonem. Odpłyniemy, gdy tylko wszystko załadujemy. Simon jest tam — powiedział, wskazując dziób statku. — To jemu musi pani pokazać przepustkę. Proszę się nie przejmować jego wyglądem starego niedźwiedzia, to prawdziwy marynarz. Śmiało, proszę wejść na pokład i usiąść, przeprawa nie potrwa długo.

Przeszła przez trap i skierowała się w stronę mostka.

Sposób, w jaki Paul wychwalał jej babcię, wydał się Sandrine dziwny. Może marynarz robił to z grzeczności, bo bez wątpienia nie wiedział o szaleństwie Suzanne i odwiecznym braku zainteresowania rodziną…

— Mogę w czymś pomóc?

Nagle wyrosła przed nią potężna postać w czapce. Mężczyzna po sześćdziesiątce czekał na jej odpowiedź, marszcząc krzaczaste brwi. Pachniał olejem silnikowym i świeżo wypalonym tytoniem. Był tak wielki, że Sandrine musiała podnieść głowę, żeby na niego spojrzeć. Potrzebowała kilku sekund, aby otrząsnąć się ze strachu, a Simon nie poruszył się w tym czasie ani o milimetr. Stał z zaciśniętymi ustami i pięściami, gotów wyrzucić ją za burtę, jeśli jej słowa go nie usatysfakcjonują.

— Ja… ja… — zająknęła się Sandrine.

— W porządku, Simonie — zaśmiał się Paul, pojawiając się na pokładzie. — To wnuczka Suzanne! Możesz się rozluźnić.

Simon wyciągnął otwartą dłoń, nie porzucając swojej postawy starego wilka morskiego. Sandrine wręczyła mu przepustkę.

— Kondolencje — mruknął, wkładając kartkę do tylnej kieszeni dżinsowego kombinezonu. — Ma pani tylko tę walizkę? — Uniósł brwi.

— Tak. Czy myśli pan, że powinnam…

— Nie jest pani jedną z tych cholernych dziennikarek, które za wszelką cenę chcą odwiedzić wyspę, prawda? — zapytał, podchodząc trochę bliżej. — Ostatnim razem, gdy jedna z nich próbowała, zachowywałem się jakby nigdy nic, a w połowie drogi wrzuciłem ją do wody.

Stanowczość jego głosu w połączeniu ze świdrującym spojrzeniem sprawiła, że Sandrine zadrżała. Czy wiedział, że naprawdę jest dziennikarką, chociaż praca nie miała nic wspólnego z jej obecnością na tym statku? Czy powinna to po prostu doprecyzować?

— W porządku, tylko żartuję, dziewczyno — przyznał w końcu, posyłając jej zadowolony uśmiech bez jednego siekacza. — Notariusz nas uprzedził, spokojnie, zaraz wypływamy. Paul! Ruszaj się! Chcę dopłynąć przed zmrokiem! Może pani usiąść na pokładzie, są drewniane ławki. Temperatura jest przyjemna, nie zmarznie pani. W razie nudności proszę nie wychylać się za bardzo przez nadburcie, nie lubię zatrzymywać silnika. A poza tym proszę pamiętać o kamizelce ratunkowej. Jest obowiązkowa.

Sandrine usiadła z tyłu i włożyła kapok.

Paul ustawił ostatnie skrzynie, rozwiązał węzły cumownicze, a następnie wciągnął trap na pokład, po czym zniknął w sterówce, aby rozpocząć razem z Simonem manewr odbijania od brzegu.

Lazarus ruszył, ale najwyraźniej nie chciał opuścić swojego stanowiska. Wreszcie, po kilku przekleństwach wypowiedzianych przez Simona, jego korpus powoli odsunął się od pływającego pomostu, jakby z żalem i ciężarem nieuzasadnionego strachu.

8

SANDRINE LISTOPAD 1986

— Wszystko dobrze?

Lekka fala ożywiła morze, a Lazarus płynął w niezłym tempie. Paul właśnie wyszedł ze sterówki. Sandrine siedziała na pokładzie, opierając się plecami o wielką torbę o nieznanej zawartości. Jej żołądek się trzymał, co było dla niej pierwszą niespodzianką tej podróży, ale unikała spoglądania w kierunku kołyszącego się horyzontu.

— Proszę nie dać się zwieść pozorom — ostrzegł marynarz, podnosząc głos, by zagłuszyć warkot silnika. — Gdyby wpadła pani do wody, Simon jako pierwszy zanurkowałby, żeby panią wyciągnąć.

— Proszę mnie nie kusić. — Uśmiechnęła się.

— Nie jest pani zimno?

— Nie, ale dziękuję za troskę. Paul, czy mogę zadać panu pytanie?

— Tak, oczywiście.

— Dlaczego powiedział pan, że moja babcia była dobrym człowiekiem?

To pytanie dręczyło ją, odkąd weszła na pokład Lazarusa. Ani przez chwilę nie wątpiła w szczerość Paula. I to najbardziej ją martwiło. Nie były to tylko uprzejme słowa związane z niedawną śmiercią Suzanne. Sandrine była przekonana, że pochodzą z serca i że mógłby je wypowiedzieć również za życia jej babci.

„Dobry człowiek…"

Nie pasowało jej to do obrazu kobiety porzucającej rodzinę, żeby zamieszkać na wyspie.

— Ponieważ to prawda — zapewnił młody człowiek, siadając. — Zacząłem pracować na wyspie, kiedy miałem szesnaście lat. Teraz mam dwadzieścia osiem. Gdy popłynąłem tam po raz pierwszy, Suzanne przyjęła mnie z sympatią. Pozostali trzymali się raczej na dystans i rozmowy ze mną ograniczali tylko do złożenia zamówienia. Suzanne wyznała mi nawet, że jest szczęśliwa, mogąc spotkać kogoś „z zewnątrz".

— Zamówienia?

— Tak, Simon i ja jesteśmy intendentami. Regularnie pływamy tam i z powrotem między wyspą a kontynentem, zaopatrując mieszkańców w lekarstwa, różne artykuły spożywcze… Jesteśmy też odpowiedzialni za niektóre prace niezbędne do prawidłowego funkcjonowania ich domostw. Niezależnie od tego, czy chodzi o naprawę dachu, czy o wymianę bezpiecznika, zajmujemy się tym. Można nas nazwać złotymi rączkami!

— Musicie mieć z tym mnóstwo pracy!

— Dużo mniej niż na początku, bo na wyspie mieszka już tylko pięć osób… Przepraszam, cztery osoby.

— Tylko cztery? — zdziwiła się Sandrine. — Cztery osoby na całej wyspie?

— Tak. Przez większość czasu są tam tylko Maurice, Victor, Claude i Françoise. Wie pani, wyspa nie jest zbyt duża. Można ją obejść pieszo w jeden dzień. Raz na dwa miesiące przyjeżdża zespół naukowców, który zajmuje się liczeniem i identyfikacją ptaków. To wprowadza trochę ożywienia i pozwala Victorowi rozpalić w piecach w karczmie. Ale przez resztę czasu przebywają tam tylko oni.

— Co robią na tej wyspie?

— Czekają… w pewnym sensie na koniec życia. To właśnie obiecał im właściciel wyspy, decydując się na wykorzystanie jej jako rezerwatu przyrody: że nie zmusi ich do wyjazdu i poczeka, aż ostatnie z nich umrze. To hojna propozycja, ponieważ wyspy nie można nazwać ścisłym rezerwatem przyrody, dopóki mieszka na niej człowiek. Obecnie naukowcy poprzestają na przygotowaniu obiektów i identyfikacji lokalnej fauny.

— Ale dlaczego oni chcą tam zostać? — zirytowała się Sandrine.

To pytanie, wypowiedziane głosem bardziej stanowczym, niż zamierzała, było skierowane nie tylko do Paula, ale także do babci, która nigdy nie raczyła odwiedzić swojej wnuczki.

— Nie wiem…

Paul urwał i pochylił się nad nią zaintrygowany.

— Sandrine — szepnął. — Pani nie wie nic o tej wyspie?

— Nie — przyznała.

Chciała dodać, że nie wiedziała nawet nic o babci, do której jechała teraz po raz pierwszy i ostatni. Ale jakoś wstydziła się do tego przyznać.

— Dobra — powiedział, prostując się. — Wobec tego przedstawię pani krótką historię tego miejsca. Ale pod jednym warunkiem…

— Jakim?

— Że zje pani ze mną kolację w karczmie dziś wieczorem.

— Jest otwarta? — zdumiała się Sandrine.

— Proszę sobie wyobrazić garstkę mieszkańców na wyspie. Czego potrzeba, żeby samotność nie doprowadzała ich do szaleństwa?

— Miejsca spotkań. Z alkoholem — odpowiedziała, rozbawiona tą oczywistością.

— Zgadza się! A kiedy przyjeżdżają naukowcy, proszę mi wierzyć, oni też chętnie siadają w ciepłym miejscu, żeby wypić drinka! Victor, kucharz,

otwiera codziennie. Zwykle piece są wyłączone i Victor podaje tylko kilka piw… Ale za każdym razem, gdy przypływamy, czeka na nas świeżo ugotowany posiłek. Myślę, że daje to Victorowi zajęcie, powód do wstawania co rano…

— Brzmi nieźle — przytaknęła z przyjemnością. — Ciepło, dobre piwo, niezbyt dużo ludzi. Myślę, że przeżyję… Został pan oficjalnie moim przewodnikiem! Słucham!

— Okej — zaczął Paul, przysuwając się bliżej do Sandrine. — Wracamy do czasów drugiej wojny światowej. W okresie okupacji miejsce to służyło jako placówka niemieckiej marynarki wojennej. Niemcy zbudowali tam blokhauz i domy dla personelu. Ale po wyzwoleniu personel został ewakuowany i wyspa całkowicie opustoszała. Państwo francuskie postanowiło wówczas ją sprzedać, podobnie jak wiele innych wysepek używanych przez Niemców. W ten sposób planowano pozyskać pieniądze na odbudowę kraju. Wtedy wkroczył obecny właściciel. Prawdopodobnie chciał, aby to miejsce znów zaczęło żyć w zgodzie z naturą. Nie zniszczył jednak niemieckich budynków, bo kiedy przybył na miejsce, wpadł na inny pomysł: obóz letni.

— Obóz letni? — zdziwiła się Sandrine, podnosząc kołnierz płaszcza.

— Coś w rodzaju obozu wakacyjnego dla dzieci wojennych. Został otwarty późnym latem tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku. Nie za daleko od wybrzeża, a więc od rodzin, ale na tyle daleko, aby zapomnieć o cierpieniu i nędzy. Do uruchomienia tego projektu niezbędna była rekrutacja personelu: kucharza, lekarzy, wychowawczyń, ogrodnika… Tak przybyli na wyspę jej obecni mieszkańcy.

— Chce pan powiedzieć, że moja babcia pracowała w tym obozie?

— Zgadza się.

Sandrine dokonała w myślach szybkich obliczeń. Jej babcia urodziła się w 1912 roku, jak stwierdzono w akcie notarialnym, a więc w momencie otwarcia obozu miała trzydzieści siedem lat. Czyli matka Sandrine musiała mieć dwadzieścia lat, kiedy Suzanne po raz pierwszy postawiła stopę na tym kawałku ziemi.

— Dlatego przez te wszystkie lata nie mogła opuścić wyspy. Nie ma to nic wspólnego z…

— To nie takie proste — powiedział, krzywiąc się, Paul.

— Jak to?

— Obóz nie pozostał długo otwarty.

— Co się stało?

— Pod koniec października czterdziestego dziewiątego roku doszło do strasznej tragedii. Zaplanowano wycieczkę na kontynent. Personel martwił się nagłym smutkiem dzieci, a kiedy lekarze stwierdzili, że nie jest to bynajmniej problem fizyczny, ale po prostu tęsknota za rodziną, właściciel zrozumiał, że dzień na kontynencie dobrze dzieciom zrobi. Pozwoliłoby im to nasycić się czułością, tak ważną w ich wieku, a rodzicom ocenić zdrowie fizyczne potomstwa. Bo obóz oferował nie tylko oderwanie się od ruin i chaotycznej odbudowy kraju, ale także regularne i urozmaicone posiłki, środowisko sprzyjające leczeniu wojennych ran. Obozowicze mogli uprawiać sport, jeździć konno, odkrywać faunę i florę wyspy, spać w prawdziwych łóżkach, słuchać radia w ogrzewanym pomieszczeniu… Była nawet sala lekcyjna. Krótko mówiąc, wyspa dawała każdemu dziecku szansę na powrót do dzieciństwa tam, gdzie przerwali je Niemcy. A rodzicom wyjazd dzieci dawał możliwość spokojnej odbudowy domów w oczekiwaniu na koniec trzymiesięcznych wakacji na wyspie. Ale wycieczka nie poszła zgodnie z planem. Ledwie statek opuścił wybrzeże,

został uszkodzony: zatonął w lodowatych wodach, zabierając ze sobą dzieci. Większość z nich nie umiała pływać.

— To straszne!

— Żadne nie przeżyło. Dorosłym udało się dotrzeć do brzegu. Niektórzy w desperackim geście natychmiast wracali do wody, żeby ratować dzieci, ale ich wysiłki poszły na marne. Prąd już zbyt daleko zniósł małe ciała.

Sandrine milczała przez kilka minut. Wyobraziła sobie dzieci walczące we wzburzonym morzu, tym samym, po którym płynęła. Trzydzieści siedem lat dzieliło ją od tej katastrofy, ale wydawało jej się, że słyszy krystaliczne głosiki proszące o pomoc. Pomyślała też o cierpieniu odczuwanym zapewne przez babcię. Takie cierpienie mogłoby każdego pogrążyć w szaleństwie…

— Myślę, że mieszkańcy nie chcą opuścić wyspy, aby uczcić pamięć tych wszystkich dzieci. Rzadko o tym mówią, ale wystarczy spojrzeć im w oczy, by zdać sobie sprawę, że niosą w sobie ciężar tej tragedii.

— Co stało się potem? — wydusiła z trudem Sandrine.

— Właściciel podjął decyzję o zamknięciu ośrodka na stałe. Wrócił na kontynent i tam zamieszkał, nigdy więcej się tu nie pojawił. Nadal wypłaca rentę ostatnim mieszkańcom i nasze miesięczne pensje, Simona i moją, abyśmy zaopiekowali się ostatnimi świadkami tych wydarzeń. Zawsze kontaktowałem się tylko z Béguenau, jego notariuszem, w sprawie mojej umowy i różnych kwestii administracyjnych…

— Był pan tam? — przerwała Sandrine.

— Kiedy?

— Kiedy znaleźli Suzanne.

— Nie. Mieszkam na kontynencie. Dowiedziałem się, kiedy wróciłem na wyspę.

— Kto ją znalazł? — zapytała, spuszczając wzrok.

— Bez wątpienia ktoś z nich. Czytała pani oświadczenie Claude'a, lekarza mieszkającego na wyspie?

— Tak, zatrzymanie akcji serca. Co robią ze zwłokami?

— Czekają, aż rodzina, gdy zostanie o tym poinformowana, udzieli im instrukcji. Czasami krewni chcą zabrać ciało, ale większość zmarłych życzy sobie być pochowana na cmentarzu.

— Jest tam nawet cmentarz? — zdziwiła się Sandrine.

— Tak — odparł z żalem młody człowiek. — Miejsce usiane zbyt wieloma małymi symbolicznymi grobami…

— Paul, przestań gadać i przygotuj się do cumowania!

Lazarus zwolnił, ale ani Sandrine, ani Paul tego nie zauważyli, zbyt pochłonięci rozmową. Oboje podnieśli się, gdy usłyszeli głos Simona.

— Idę na dziób, aby pokierować manewrem — wyjaśnił Paul, podczas gdy dziennikarka patrzyła, jak wyspa powoli się przybliża.

Zobaczyła drewniany pomost i przypomniała sobie mapę, którą pokazał jej notariusz. Następnie odwróciła głowę w lewo i rzuciła okiem na domki. Ich dachy widniały między skałami i sosnami morskimi. Po przeciwnej stronie, po prawej, Sandrine ujrzała gęsty las, zgodnie z rysunkiem przylegający do miejsca zamieszkania jej babci. Z tej odległości całość wydawała się śmieszna i malutka jak miniatura rzeczywistości. Ale w miarę jak podpływali bliżej, wyspa pokazała swoje prawdziwe rozmiary. Jej ciemne lśniące skaliste klify wznosiły się teraz nieco wyżej, jakby przesuwane bezgłośnym ruchem płyt tektonicznych. Drzewa w lesie również wyglądały na grubsze i sięgały aż do groźnych chmur. Natomiast morze się obudziło. Do tej pory sprawiało spokojne i pokrzepiające wrażenie, ale nagle jakby zaczęły je drążyć wewnętrzne wiry, przez co

manewry Simona stały się niepewne i zmusiły Sandrine do trzymania się relingu.

— Prądy wokół wyspy są silne i kapryśne — krzyknął kapitan Lazarusa. — Ale proszę się nie martwić, zaraz z nich wypłyniemy!

Młoda kobieta pomyślała, jak musiały być poobijane ciała dzieci przy tych licznych skałach wystających z wody.

Dziesięć minut później statek zacumował. Sandrine z ulgą postawiła stopę na pomoście. Stała nieruchomo przez kilka chwil, wdychając pełną piersią słone powietrze i starając się uciszyć delikatne bujanie w żołądku. Przed nią rozciągało się wąskie wybrzeże, nazywane przez marynarzy „cmentarzem fal". Piasek był szary, tak bardzo niepodobny do jasnego i przyjemnego piasku plaż na Pacyfiku. Na jego powierzchni rysowały się girlandy wodorostów niczym pozostałości morskiego potwora z powieści Lovecrafta.

„Cholera, babciu, nie mogłaś umrzeć na Seszelach…"

Paul uśmiechnął się, podchodząc do niej. Nie wydawał się cierpieć z powodu jakichkolwiek następstw żeglugi, a jego chód wydawał się mniej pewny na lądzie niż na morzu, odwrotnie niż u Sandrine.

— Do zobaczenia w karczmie — powiedział, ładując na wózek drewnianą skrzynię.

— Dobrze… ale najpierw muszę iść do Suzanne, żeby zostawić swoje rzeczy.

— Nie dzisiaj, Sandrine. Niedługo zapadnie zmrok i proszę mi wierzyć: spanie w pobliżu lasu nie jest dobrym pomysłem po przybyciu na wyspę. Począwszy od tego wieczoru, niech pani przeznaczy ten tydzień na poznanie mieszkańców. Chętnie się z panią spotkają i opowiedzą o Suzanne. W karczmie znajdzie się dla pani pokój, chyba że naprawdę woli pani być sama w nieznanym domu, tuż przy nawiedzonym lesie…

— Nawiedzonym? Nie mam już dziesięciu lat i… Chwileczkę, jak to tydzień? Co pan…

— Tak, to jest nasz cykl pracy. Zostajemy tydzień, naprawiamy to, co trzeba naprawić, a potem wyjeżdżamy na siedem dni na kontynent.

— Słucham? Chce pan powiedzieć, że utknęłam tu na tydzień?!

— Zgadza się. Ten notariusz jest bezużyteczny, skoro nie wyjaśnia wszystkiego… — mruknął Paul.

— Ale ja nie mogę tu zostać tak długo! Cholera!

— Niech pani posłucha, muszę wyładować wszystkie zapasy, zajmie mi to godzinę lub dwie. Spotkajmy się w karczmie i proszę się nie martwić, tutaj czas szybko leci.

Paul poszedł w kierunku statku. Sandrine nie mogła uwierzyć własnym uszom. Tydzień odosobnienia na tej skale! Owszem, tyle narzucił jej Pierre, ale nawet jej się nie śniło, że utknie na wyspie na tak długo. Zrobiła w pamięci krótki przegląd swojej walizki: będzie miała w co się ubrać. Nadal jednak nie mogła się pogodzić z tym, jak długo ma tu zostać. „Jutro albo najwyżej za dwa dni poproszę Simona, żeby popłynął tam i z powrotem. Zapłacę, jeśli będę musiała, ale nie mogę zostać na tej wyspie, oszaleję!"

Zaczęła wspinać się polną drogą, ignorując pierwsze krople spadające z nieba.

9

SUZANNE 1949

Gdyby ktoś zapytał Suzanne o synonim dzieciństwa, wypowiedziałaby słowo „cud".

Bo właśnie to odczytywała w oczach dzieci.

Kiedy grupa zbliżyła się do dawnego blokhauzu, Suzanne obawiała się, że wszystko się ulotni. Że obozowicze przestraszą się tego betonowego budynku, prawdziwego stracha na wróble beztroski. Bała się, że zapomną o coraz intensywniejszym aromacie czekolady, że ogarnie ich zwątpienie tak jak w te noce, kiedy w półmroku kruchych budynków mogli odgadnąć lęk w oczach rodziców. I w pewnym sensie tak się stało. W ledwo zauważalny sposób, ale jednak.

Najpierw dzieci zwolniły, gdy tylko zobaczyły główny budynek obozu. Z pewnością nigdy go nie widziały, ale bez wątpienia o nim słyszały, podobnie jak o obozach śmierci, obozach koncentracyjnych, Dachau, Auschwitz… Te nowe pojęcia rozkwitły w dyskusjach dorosłych od czasu wyzwolenia. Słowa wypowiadane przez rodziców z grobową maską na twarzach, tak inną od półuśmiechów, jakie pojawiają się, gdy mowa o tęczy lub Bożym Narodzeniu.

Następnie odruchowo ich oczy przestały patrzeć w ziemię, a zaczęły sprawdzać otoczenie. Dzieci szukały powodów do zwątpienia, aby

usprawiedliwić obecność tych betonowych ścian, nienaruszonych, jakby obcych właśnie zakończonej wojnie lub gotowych do stawienia czoła nowej.

Wreszcie — a Suzanne zajęło kilka sekund, zanim zdała sobie z tego sprawę — rządek się skrócił. Dzieci przysunęły się do siebie, jak gdyby chciały się chronić przed niezidentyfikowanym jeszcze niebezpieczeństwem.

Dyrektor domyślił się, że są zdezorientowane, więc przemówił spokojnym i zdecydowanym głosem, stając między nimi a blokhauzem:

— Macie rację, to niemiecka konstrukcja. A poza tym bardzo brzydka! Ale wierzcie mi, gdyby oni wiedzieli, co z niej zrobiliśmy, nie byliby zadowoleni! Chodźcie za mną, a zobaczycie…

Po prostu. W kilku zdaniach.

Dzieci ruszyły gęsiego naprzód i dotarły do głównego wejścia. Mała dziewczynka o imieniu Louise mocno ścisnęła rękę Suzanne, gdy cała grupa weszła do budynku, którego ściany zdawały się nasiąknięte zapachem czekolady. Duży wilgotny korytarz prowadził do pokoju o zaskakujących rozmiarach. Wychowawczyni Françoise pomyślała, że te cholerne szwaby znają się na budownictwie. Chciała splunąć na ziemię, żeby ich przekląć, ale w ostatniej chwili się powstrzymała, uznając, że będzie to zły przykład dla dzieci.

Po dawnej funkcji budynku nie było śladu.

Zamiast sprzętu wojskowego, szarych ścian i map zaminowania stała tam długa ława pod aureolą sufitu z namalowanym słonecznym niebem. Na czterech ścianach ogromnego pomieszczenia bladość cementu i świata skazanego na zagładę została zastąpiona farbami w wesołych kolorach. Kwiecista łąka, gigantyczna tęcza, morze pełne ryb i góra z wszelkiego rodzaju zwierzętami. Dzieci wydawały ciche okrzyki zachwytu. Podeszły

do ścian, by ich dotknąć i upewnić się, że nie był to słodki sen oszukańczej rzeczywistości. W tym właśnie momencie pojawił się kucharz Victor niczym magik wchodzący na scenę. Na twarzy miał szeroki uśmiech — można by pomyśleć, że również namalowany, tak bardzo był promienny — i pchał wózek pełen kubków gorącej czekolady.

— Obiecane, dotrzymane! — oznajmił dyrektor, zachęcając dzieci, by się częstowały.

Grupa rozproszyła się bez strachu i wszystkie drżące jeszcze przed chwilą ręce chwyciły kubki. Nastąpiło niemal religijne milczenie. Potem powoli nakrapiane pianką kakaowe usta zaokrągliły się nieco, by w końcu się uśmiechnąć.

Kiedy dzieci wypiły czekoladę, dyrektor poprowadził je kolejnym korytarzem, z wieloma otwartymi drzwiami.

— Oto wasze pokoje. Imiona są wypisane na drzwiach. Pozwolimy wam spokojnie się rozgościć, a kiedy już to zrobicie, spotkamy się w sali, którą właśnie opuściliśmy, aby przedstawić wam program wakacji. Te pokoje są teraz wasze, możecie swobodnie przesuwać meble, jeśli układ wam nie odpowiada. Nie śpieszcie się, poznajcie się wzajemnie. Dla chętnych następna tura czekolady będzie za godzinę, ale nic na siłę. Tam na końcu korytarza jest zegar. Do zobaczenia później.

Obozowicze jeden po drugim znikali w swoich pokojach. Z korytarza słychać było ich śmiechy i okrzyki. Bo zamiast zniszczonego cementu tu również czekały na nich radosne barwy: namalowani klauni, bujne zielone łąki, grupy dzieci trzymających się za ręce, ich imiona wymalowane wielkimi wielobarwnymi literami…

Suzanne poczuła, jak łza spływa jej po policzku. „Na szczęście nie umalowałam się jak Françoise" — powiedziała do siebie z uśmiechem.

Potem odwróciła się i zostawiła dzieci same z ich zachwytem.

10

SANDRINE LISTOPAD 1986

Sandrine szybko dotarła do wioski. Zdziwiła się, że naliczyła około dwudziestu domów. Myślała, że będzie ich mniej, ale przypomniała sobie historię opowiedzianą przez Paula: o obecności nazistów, o byłych pracownikach i o zespole naukowców regularnie odwiedzających wyspę. Zbudowane z litego kamienia, wszystkie według tego samego projektu, proste i surowe, bardziej przypominały stele niż przytulne mieszkania.

Skierowała się w stronę największego budynku, jedynego posiadającego dwa piętra, z wieloma oświetlonymi oknami, ponieważ, jak przypuszczała, była to karczma. Dochodził z niej przyjemny zapach gotowanego mięsa, a z komina unosił się gęsty dym. Sandrine otworzyła drzwi. Przywitała ją fala przyjemnego ciepła, która sprawiła, że zniknęły dreszcze spowodowane mżawką.

W kominku trzaskał ogień, w sali stało kilkanaście pustych stołów i krzeseł. Na końcu pomieszczenia widać było długie schody prowadzące na piętro. U ich stóp małe biurko wyznaczało granicę między częścią przeznaczoną dla właściciela a tą dla klientów. Sandrine pociągnęła walizkę po licznych dywanach rozłożonych na podłodze w stronę prowizorycznej recepcji. Zauważyła bar i dystrybutory piwa, a także świecącą, ale zamilkłą szafę grającą.

— Kurczę, rozumiem, że to jest serce wioski — szepnęła, wyobrażając już sobie, jak siedząc przy kominku, popija zimny napój przy kołyszących dźwiękach klasycznego jazzu.

Potrząsnęła dzwonkiem na biurku i czekała. Nie trwało to długo. Męski głos odbił się echem za drzwiami i kilka sekund później Sandrine stanęła twarzą w twarz z Victorem. Od razu go polubiła. Był średniego wzrostu, a jego duże oczy nadawały mu wygląd człowieka będącego w ciągłym zachwycie. Gdy do niej podszedł, zauważyła, że lekko utyka.

— Sandrine, cieszę się, że w końcu panią poznaję! Oczywiście wolałbym, żeby nastąpiło to w innych okolicznościach, ale Suzanne nie cierpiała, Claude nas o tym zapewnił — wyjaśnił, wycierając ręce w długi fartuch.

Ku zaskoczeniu Sandrine Victor obszedł biurko i wziął ją w ramiona.

— Moje najszczersze kondolencje. Mogę tylko dzielić pani ból. Pani babcia była tu bardzo cenioną osobą — szepnął jej do ucha.

Młoda kobieta poczekała, aż Victor ją puści, po czym się uśmiechnęła. Nie wiedziała, jak zareagować na jego słowa, więc powiedziała skromne „dziękuję".

— Mam dla pani pokój — kontynuował. — Notariusz powiadomił mnie o pani przybyciu. Ale przede wszystkim proszę usiąść przy stole, po podróży zawsze jest się spragnionym. Piwo?

— Z przyjemnością — ucieszyła się Sandrine.

— Poznała pani Simona i Paula?

— Tak, trochę rozmawialiśmy… Bardziej z Paulem — uściśliła.

— Ach, Simon… Tego starego piernika nie można nazwać przyjaznym — zaśmiał się karczmarz, schylając się za barem. — Ale to dobry człowiek.

Victor włączył pompę do piwa, napełnił dwa duże kufle i obserwował, jak kobieta spaceruje po sali.

— Wspomnienia z przeszłości — skrzywił się, gdy zobaczył Sandrine pochylającą się ku drewnianym ramkom wiszącym na ścianie obok kominka.

Sandrine zachwyciła się zdjęciami. Większość z nich była czarno-biała. Fotografie pokazywały, jak wyglądało życie na wyspie w pierwszych latach. Na jednym ze zdjęć kilkanaście osób pozowało dumnie niczym drużyna piłkarska, stojąc plecami do wielkiego blokhauzu. Rozpoznała Victora po jego stroju kucharza, miała jednak wątpliwości, czy był tam Simon. Wysoki wzrost pasował, ale uśmiech młodego wówczas mężczyzny stanowił wyraźny kontrast, jeśli zestawić go ze spotkanym wcześniej marynarzem. Sandrine szukała babci; nie mając żadnego odniesienia, wahała się między dwiema kobietami. Jedna była dość niska, z makijażem, druga, drobniejsza, odwracała wzrok od obiektywu. Średnia jakość zdjęć nie ułatwiała wyboru…

Kilka fotografii przedstawiało tych samych ludzi w różnych sytuacjach: jak pracują w ogrodzie, siedzą w pomieszczeniu z różnobarwnymi ścianami, grają w koszykówkę, palą papierosy, stojąc na skale, a na horyzoncie widać tylko morze… „Nawet wyspa lśni" — powiedziała do siebie Sandrine, przyglądając się zdjęciom. Domyślała się, że zostały zrobione na kliszy Kodachrome. Miała wrażenie, że przez lata tragedia obozu letniego zniszczyła florę wyspy. W tamtym czasie domki mieszkańców były udekorowane skrzynkami z kwiatami, morze też wydawało się bardziej niebieskie, a niebo dalekie od groźnej szarości, ciążącej obecnie nad sylwetką wyspy.

Ale to nie ta chromatyczna dychotomia sprawiła, że dziennikarka poczuła się nieswojo.

Przesuwając się w prawo, odkryła inny zbiór fotografii: dzieci. Historia opowiedziana przez Paula nagle odbiła się w niej echem jak tajemnicza opowieść gwizdana przez wiatr. Obozowicze również pozowali przed blokhauzem. Wydawało się, że są w tym samym wieku, a na wszystkich twarzach malowała się nieśmiała radość. Sfotografowano ich wykonujących różne czynności. Jedni siedzieli na koniach, inni zbierali owoce lub rzucali do siebie piłkę. Sandrine dotarła do ostatniego zdjęcia. Dzieci siedziały przed tablicą z wypisanymi ćwiczeniami matematycznymi, plecami do obiektywu. Na jednej ze ścian wisiały mapa Francji, okrągły zegar z wahadłem i wieszaki.

„Sala lekcyjna".

Po tym ujęciu nie było już śladu życia dzieci. Żadnych zdjęć. Brutalność tej nagłej pustki odpowiadała brutalności ich śmierci. Sandrine naraz zrobiło się zimno, jakby wciąż była na zewnątrz, w lodowatej mżawce.

— Proszę, to pani dobrze zrobi — odezwał się Victor, podając jej piwo.

Położył jej przyjaźnie dłoń na ramieniu.

— Z pani smutku na widok zdjęć wnioskuję, że zna pani historię tych dzieci.

— Rzeczywiście, Paul opowiedział mi ją podczas podróży. To straszne.

— Tak, to była ogromna strata, mająca wiele konsekwencji. Ale dość o tym. Proszę usiąść i się rozgrzać, pozostali powinni wkrótce się zjawić.

Sandrine zajęła miejsce przy stole najbliżej ognia, tuż pod fotografiami.

— Pozostali?

— Tak, znam przynajmniej jedną osobę, która nie może się doczekać, żeby panią uściskać: Françoise! Ona i pani babcia były nierozłączne. To ta z makijażem…

— Więc ta druga to moja babcia?

— Tak… Suzanne.

— Nie sądziłam, że była taka piękna…

— Piękna, inteligentna i niezwykle miła. Bardzo nam jej brakuje — wyszeptał Victor, stojąc nieruchomo przed zdjęciem.

— Dlaczego wszyscy pozostajecie na wyspie? Czemu nie wrócicie na kontynent? — zapytała Sandrine i wypiła łyk piwa.

— Ponieważ jesteśmy więźniami, młoda damo. Po prostu. — Victor wciąż patrzył na zdjęcie.

Czekała na kontynuację tej enigmatycznej wypowiedzi, ale dalsze słowa nie padły. Po raz pierwszy od ich spotkania karczmarz stracił uśmiech i wydawał się nieobecny, jakby jego uwaga opuściła ciało i schroniła się w innym miejscu, w innym czasie.

— Jak to… więźniami? — odważyła się spytać Sandrine.

— Och… przepraszam, gadam od rzeczy… — powiedział, jakby wracając do życia. — Widok pani tutaj przypomina mi Suzanne i… proszę mi wybaczyć, mój stary mózg czasami wymyka się spod kontroli… Proszę odpocząć, a ja przygotuję kolację. Paul je za czterech, a pani też musi porządnie się posilić. Przepraszam, do zobaczenia później.

Następnie odszedł cicho w stronę kuchni, lekko utykając.

W milczeniu dopiła piwo. Obserwowała zmierzch przez okna sali. Morska bryza uderzała w sosnowe gałęzie, a Sandrine, wytężając słuch, słyszała jej widmowy świst śpiewający ponurą litanię. Ciemność pogłębiła się i zatopiła krajobraz. Lśniące skały zamieniły się w groźne cienie, które przypominały żołnierzy czekających na atak. Paul dobrze jej doradził nocleg tutaj. Zobaczyła oczami wyobraźni siebie w surowym domu swojej babci, samotną pośród tej mrocznej i przerażającej natury, mebli i wspomnień. „Że nie wspomnę o nawiedzonym lesie" — pomyślała z uśmiechem o słowach młodego intendenta.

W tym momencie drzwi karczmy się otworzyły i pojawiła się w nich stara kobieta, pochylona, by osłonić się przed wiatrem. Wichura wykorzystała to, aby wedrzeć się do środka, a drobne krople deszczu spadły na dywan przy wejściu.

Odkładając parasolkę, kobieta rzuciła dyskretne spojrzenie w kierunku Sandrine, po czym ignorując dziennikarkę, podeszła do szafy grającej. Sięgnęła do kieszeni kurtki, stuknęła w przyciski, pochyliła się i włożyła monetę do maszyny. Natychmiast rozległy się dźwięki fortepianu, a początkowe słowa piosenki z okresu międzywojennego ubarwiły klimat karczmy.

Parlez-moi d'amour,
Redites-moi des choses tendres,
Votre beau discours,
Mon coeur n'est pas las de l'entendre[3].

Sandrine poczuła, jak jej serce zamiera. „Ta piosenka…"

Dziwne wrażenie ogarnęło jej zmysły.

Poczucie niebezpieczeństwa rozpaliło niepokój, którego zaznała już wcześniej, chociaż nie pamiętała gdzie i kiedy. Wpatrywała się w zbliżającą się do stołu nieznajomą, odczuwając na całym ciele nieprzyjemne mrowienie. W chwili, gdy stara kobieta otworzyła usta, obficie pokryte błyszczącą szminką, Sandrine przypomniała sobie sytuację, w której doświadczyła tego samego uczucia: było to wówczas, kiedy wyszła z domu na farmie z krowami oznaczonymi swastykami i zobaczyła na ganku swoje starannie wyczyszczone tenisówki…

Votre voix aux sons caressants,
Qui le murmure en frémissant,

Me berce de sa belle histoire,

Et malgré moi je veux y croire.

Parlez-moi d'amour,

Redites-moi des choses tendres…[4]

— Witaj, moje dziecko — oznajmiła Françoise, odgarniając na bok kosmyk siwych włosów. — Cieszę się, że cię widzę. Mam ci tak wiele do opowiedzenia…

---

[3] Piosenka *Parlez-moi de l'amour* z 1930 roku, wyk. Lucienne Boyer: „Mów mi o miłości, / Powtórz czułe słowa, / Twoja piękna mowa, / Me serce nie nuży się jej słuchaniem".

[4] „Twój pieszczotliwy głos, / Który to mruczy, drżąc, / Kołysze mnie swoją piękną historią, / I wbrew sobie chcę w to uwierzyć. / Mów mi o miłości, / Powtórz czułe słowa…"

11

SUZANNE 1949

— Françoise!

— Ja tylko spróbowałam sosu!

— Masz chociaż czyste ręce? — zapytał Victor, ubijając zawartość rondla.

Françoise mrugnęła porozumiewawczo do Suzanne, która stała uśmiechnięta przy blacie i obierała marchewki, uważając, by nie zabrudzić bluzki.

— Mój bardzo drogi Victorze. — Françoise zbliżyła się do kucharza. — Tak zręczne dłonie powinny zająć się czymś innym niż skubanie drobiu albo przygotowywanie czekolady… Wojna się skończyła, jedyny członek stojący na baczność to…

— Françoise! — Suzanne udała oburzenie i zachichotała jak naiwna panienka.

— Co? Jeśli nie chce mnie pocałować, to niech przynajmniej pocałuje moją szminkę. Na początek wystarczy…

— No już, proszę pozwolić mi spokojnie pracować. Dzieci niedługo wyjdą z lekcji dyrektora, posiłek sam się nie zrobi…

— Do zobaczenia wkrótce — rzuciła Françoise, trzymając koleżankę za ramię. — Myślę, że mu się podobam — mruknęła i opuściła kuchnię.

Minął tydzień od przybycia obozowiczów. Pracownicy poczuli się pewnie w drobiazgowej organizacji wdrożonej przez dyrektora. Jako pierwsza wychowawczyni (tytuł raczej honorowy niż rzeczywisty) Suzanne mieszkała najbliżej obozu, w domu tuż za lasem prowadzącym do blokhauzu. Reszta zespołu zajmowała budynki położone dalej, w zachodniej części wyspy. Karczma powstała w czasie wojny, aby pomieścić nadwyżkę żołnierzy, i była wykorzystywana dokładnie w tym samym celu przez pracowników, a wieczorem po pracy mogli się tam swobodnie napić. W nocy dyżur zaczynał drugi zespół, głównie lekarze i pielęgniarka, zajmujący się leczeniem gorączki czy nagłych bólów głowy. Pracownicy ci rzadko spotykali się z pozostałymi, z wyjątkiem chwil, kiedy ekipy się wymieniały.

Obie wychowawczynie udały się teraz do pokoi, żeby sprawdzić, czy w każdym jest pościelone łóżko i czy panuje porządek. To była część wytycznych: zapewnić dzieciom właściwe zarządzanie przestrzenią życiową. „Przez długi czas nie mogły tego robić, ponieważ większość z nich mieszkała w ruderach. Naszym celem jest sprawić, aby ich zachowanie odpowiadało zachowaniu dzieci swoich rodziców, a nie dzieci wojny. Muszą na nowo nauczyć się dyscypliny, wstawać o określonych porach, brać udział w lekcjach, myć ręce przed jedzeniem… Muszą również odzyskać swobodę reagowania jak wolne i beztroskie dzieci. Do tego celu najlepsze będą zajęcia sportowe oraz manualne, takie jak ogrodnictwo czy budowanie chat, a także po prostu prawo do bezczynności. Dajemy im możliwość spędzania czasu według ich własnego uznania. To luksus, o którym zapomniały" — powiedział dyrektor.

— Suzanne, masz dzieci?

— Tak, córkę. Wyszła za mąż i postanowiła z nim wyjechać. Od tamtego czasu nie miałam od niej wiadomości. Proszę, nie mów o tym

nikomu, w innym wypadku będę musiała opuścić wyspę. A ty masz dziecko?

— Ja? Phi… Nie potrafiłabym właściwie go wychować…

— A jednak bardzo dobrze opiekujesz się obozowiczami.

— Może kiedyś… Kiedy Victor się zdecyduje — zażartowała Françoise.

— A podczas wojny?

Françoise wiedziała, co mówią o niej ludzie w mieście. Dlatego opuściła kontynent i schroniła się na wyspie. Uważała tę pracę za najlepszy sposób na ucieczkę od plotek. Kusiło ją, żeby nie odpowiadać. Ale chociaż znała Suzanne dopiero od dziesięciu dni, od początku domyślała się, że może jej zaufać. Może dlatego, że podczas wojny Françoise nie ufała nigdy nikomu. Trzeba było analizować każde słowo, każdy gest, aby nie wzbudzać podejrzeń. „Zaufanie jest jak miłość" — powiedziała sobie. „Nikt nie może żyć bez tego w nieskończoność".

— Sypiałam z Niemcami — przyznała z wielką ulgą.

Gdy inni szeptali za jej plecami, czuła się jeszcze bardziej winna. Ale wyznanie tego bez strachu, własnymi słowami, uwolniło ją od długo odczuwanego bólu. Suzanne zamarła i spojrzała na koleżankę.

— Z iloma?

— Czterema lub pięcioma — odpowiedziała wymijająco Françoise, spuszczając wzrok.

— Mój Boże… Wiesz, co robią z takimi kobietami…

— Tak. Przeprowadziłam się długo przed wyzwoleniem. Gdybym została w swojej dzielnicy, ja też miałabym obcięte włosy… Nie wszyscy Niemcy byli demonami — usprawiedliwiła się. — I musieliśmy przeżyć.

— Wiem… Wiem.

— Ty nigdy…

— Nie — szepnęła Suzanne. — Nigdy. Mój mąż zginął w pierwszym roku wojny. Czułam się samotna, rozumiesz, bez silnego ramienia, na którym mogłabym się oprzeć. Ale miałam córkę, więc…

— Ja byłam sama, Suzie, bez żadnych dzieci — wyjaśniła Françoise. — Nikogo…

Makijaż i nagły przypływ melancholii nadały jej wygląd smutnego klauna.

— To wszystko już za nami — powiedziała Suzanne, posyłając jej uśmiech pełen tłumionego bólu. — Daleko za nami.

Wychowawczynie sprawdzały pokoje jeden po drugim. Nie zauważyły nic szczególnego poza kocami, częściej pośpiesznie odłożonymi niż porządnie rozścielonymi na łóżkach.

Dopiero w ostatnim pokoju Suzanne dostrzegła zmianę.

Nie wspomniała o tym koleżance, ale ten drobny szczegół zajmował jej uwagę przez cały dzień. W pokoju ośmioletniego Fabiena na głównej ścianie, tuż pod promienistą tęczą, pojawił się rysunek mężczyzny stojącego na dwóch długich patykowatych nogach (Suzanne przypuszczała, że to mężczyzna, ponieważ narysowana brązową kredą głowa była bez włosów). Brzuch i ramiona również nie miały żadnych krągłości, były pociągnięte jednolitą kreską i podobne do szkieletu z gry w wisielca. Jej uwagę zwróciły dwa słowa obok rysunku: *Der Erlkönig*.

Suzanne rozpoznała język, ale nie była w stanie zrozumieć znaczenia. Znała tylko kilka niemieckich zwrotów, niezbędnych w codziennym życiu podczas okupacji, nic więcej.

Wyszła z pokoju, zostawiając rysunek. Ostatecznie mogły to być tylko bazgroły dziecka. Jak wyjaśnił dyrektor tydzień wcześniej, maluchy miały prawo kształtować otoczenie według własnego uznania, oczywiście

w rozsądnym zakresie. Rysunek nie stanowił więc złamania dość elastycznych zasad obozu wakacyjnego…

Reszta dnia minęła bez żadnego ważnego wydarzenia.

Po obiedzie personel wraz z obozowiczami brał udział w zajęciach fizycznych. Simon, konserwator o niegasnącym uśmiechu, zabrał grupę czworga dzieci na przejażdżkę konną po wyspie. Trwała nieco ponad dwie godziny.

Lekarz Claude zbadał całą grupę tak jak co weekend. Porozmawiał z dziećmi, poczynił zwykłe obserwacje i zajął się kilkoma drobnymi dolegliwościami, takimi jak skaleczenia czy zadrapania kolan. Pogratulował sobie, że każdy z obozowiczów pozostaje w dobrym zdrowiu, zarówno fizycznym, jak i psychicznym. Sporo z nich przytyło po kilka kilogramów, ale nadal nie ważyło ponad normę, a wszystkie dzieci czuły się na wyspie szczęśliwe i bezpieczne.

Około siedemnastej Victor przygotował czekoladę, co sprawiło, że porzucono piłki, drewniane karabiny maszynowe i rowery tak nagle, jakby się zapaliły. Następnie Suzanne i Françoise zorganizowały zajęcia: gry karciane, gry planszowe, kolorowanie… Obie wychowawczynie były zachwycone tym, jak szybko w byłym blokhauzie zapanowała rodzinna atmosfera. Ich wcześniejsze wątpliwości oraz przyjazd dzieci wydawały się im teraz bardzo odległe.

— Czas to pojęcie względne — mruknęła Suzanne, obserwując maluchy. Obozowicze nie bali się już biegać i śmiać w tej niemieckiej budowli, gdzie zostało zapewne zaplanowanych wiele zbrodni.

Następnie pogrążyła się na chwilę we własnym blokhauzie swej bolesnej historii. Tydzień na wyspie wymazał wspomnienia z wojny i zastąpił je zapomnianymi kolorami. To schronienie zaciemniło jej pamięć i podsunęło inną rzeczywistość, równoległą do horroru, jaki jej mózg

zarejestrował w latach okupacji. Tutaj niemieckie czołgi zniknęły, by zrobić miejsce dla postaci biegnących za piłką. Alarmy przeciwlotnicze ucichły i pozwoliły krystalicznie czystym radosnym głosom przejąć ciszę. Spojrzenia podejrzliwych żołnierzy wypełniły się kolorowymi tęczami.

W tym miejscu niesamowicie zakotwiczonym w rzeczywistości, ale też jakby ze snu, zastanawiała się, czy obóz może wyleczyć również ją. Czy stanowiła część dobrostanu Wszechświata, czy to wszystko było tylko złudzeniem?

Suzanne pomyślała o swojej córce, o innej rzeczywistości.

Córka poznała miłość w ramionach żołnierza na kilka miesięcy przed oficjalnym zakończeniem wojny. Suzanne nie odważyła się przyznać Françoise, że ten żołnierz był członkiem Wehrmachtu, tak jak dawni kochankowie jej przyjaciółki. Wiadomość była bardzo trudna do przyjęcia. Córka zapewniała, że on nie był jednym z tych, którzy wykorzystywali sytuację i ludzi, że był inny. Ale Suzanne w to nie wierzyła. Nastąpiło rozstanie, brutalne i milczące. List zostawiony na kuchennym stole zestroił się z pozbawionym wszelkiej obecności pokojem.

Miłość porzucona na rzecz utopijnego uczucia.

Czasami przychodziła poczta z południa Francji. Monique pisała do matki o tym, jak dobrze jej się powodzi, i o swoich planach. Jej charakter pisma stał się charakterem zdeterminowanej młodej kobiety. Jej mąż („więc wyszła za mąż, nie informując mnie") chciał mieć dziecko. Monique liczyła na to szczęście następnego lata.

Suzanne odpowiadała jej niezgrabnie. Pomyślała, że zdecydowanym tonem rodzica może wyleczyć urojenia córki. Skończyło się na tym, że napisała do Monique, iż opowieści o jej szczęściu są dla niej zbyt bolesne, aby mogła je dalej czytać. Kocha córkę, ale trudno byłoby jej pocałować mężczyznę, który mógłby, gdyby dostał taki rozkaz, zabić jej męża. *To*

znaczy Twojego ojca. Pozwalał Ci skakać na swoich kolanach i tłumaczył, że gwiazdy istnieją tylko po to, by rozświetlić Twój uśmiech.

Minęły miesiące i chociaż miała nadzieję na zmianę sytuacji, czasami przyznawała sama przed sobą, nigdy tego nie mówiąc ani nie pisząc, że może posunęła się za daleko…

Ale zerwania żywią się upływającym czasem i ciszą.

Pożerają nasze wyrzuty sumienia i trawią je, aż stają się niesłyszalne.

Dlatego żaden inny list nie został już nigdy wysłany.

Z kilkuletnim opóźnieniem wojna pochłonęła dwie nowe ofiary.

12

SANDRINE LISTOPAD 1986

Parlez-moi d'amour,

Redites-moi des choses tendres…

Sandrine z uwagą słuchała, jak Françoise opisuje jej babcię.

Stara kobieta mówiła o jej dobroci, o nieustannej trosce, o zawsze dobrym słowie, zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych. Wspominała pierwszy dzień, kiedy stojąc na pomoście, czekali na przybycie obozowiczów. Opowiadała anegdoty z wieczorów po całym dniu pracy, spędzanych w karczmie przy kieliszkach sznapsa, rzucanych po opróżnieniu o ścianę niczym ostateczna zniewaga starej niemieckiej utopii.

— To była jej ulubiona piosenka — wyjaśniła Françoise, kiwając głową w stronę szafy grającej.

— Naprawdę?

— Tak. Miała w domu gramofon i każdego ranka, kiedy przychodziłam po nią w drodze do blokhauzu, słyszałam głos Lucienne Boyer, gdy tylko przekraczałam bramę.

— Czy miała tutaj kochanka? — zapytała Sandrine.

— Z tego, co wiem, to nie. Twój dziadek jest jedynym mężczyzną, o jakim mi opowiadała.

— A pani?

— Podobał mi się Victor… Uwierzysz, że ten dziwak nigdy nie zadał sobie trudu, żeby mnie pocałować? Więc przerzuciłam się na Simona! — wyznała Françoise, wzruszając ramionami.

— Simona? Intendenta? — zdziwiła się Sandrine, myśląc o swoim spotkaniu ze starym wilkiem morskim.

— Wówczas był konserwatorem. Wykwalifikowany robotnik ze zwinnymi rękami — podkreśliła Françoise i puściła oczko.

— Wiedziała pani, że Suzanne miała córkę?

— Oczywiście, to nie była tajemnica.

— A czy babcia opowiadała pani o mnie? — zaryzykowała pytanie młoda kobieta.

— Jak mogło być inaczej, moja mała? Domyślała się, że jesteś bardzo piękna i inteligentna. Chciała cię poznać… Ale czasami życie jest skomplikowane i nie zawsze podejmuje się właściwe decyzje.

— Mogła do mnie napisać — odparła Sandrine.

— Wiem, że trudno to zrozumieć… Ale ona niewątpliwie cię kochała. Po prostu nie mogła opuścić wyspy… ani komunikować się z tobą.

— Dlaczego, do diaska?

— Bo się bała — szepnęła Françoise, jakby mówiła o tabu.

— Bała?

— Tak. To strach, jakiego nigdy nie będziesz w stanie poczuć — powiedziała poważnym tonem. — I ten strach, jak wyznała mi później, poczuła po raz pierwszy, kiedy sprawdzałyśmy pokoje dzieci. Wiesz, twoja babcia nie była gadatliwa, prawdopodobnie z powodu wojny. Nigdy nie zajmowała się błahostkami, dlatego od razu jej zaufałam.

— Ale czego się bała?

— Króla Olch.

Słysząc te słowa, Sandrine zaczęła wątpić w poczytalność Françoise. Zauważyła, że staruszka rozgląda się wokół siebie, jakby się obawiała, że zostanie usłyszana. Czy była w pełni świadoma rzeczywistości? Przecież były same w sali jadalnej. W dodatku wydawało się, że jej twarz zastygła w wiecznym wyrazie zachwytu. Rozciągnięte w uśmiechu usta, poszerzone brwi i wysokie kości policzkowe przywodziły na myśl zamarzniętego na wieczność klauna.

— Jesteśmy tu przykuci — ciągnęła Françoise. — Każde z nas się boi, nawet jeśli nikt nie odważy się do tego przyznać. Ponieważ na tej wyspie żyje istota spotykana tylko w koszmarach. Tyle że ta jest prawdziwa. Obserwuje nas w dzień i w nocy. Nie pozwala nam odejść.

„Okej, rozmowa przybiera całkowicie inny obrót" — pomyślała Sandrine, udając, że koncentruje się na tych słowach.

— Nie jestem pewna, czy rozumiem — odparła z niepokojem, przypominając sobie termin „więźniowie" użyty wcześniej przez Victora.

— Ludzie chowają się za słowem *szaleństwo*, kiedy nie mogą lub nie chcą stawić czoła dziwnej rzeczywistości. Nie popełnij tego błędu. Twoja babcia nigdy nie była szalona, moje dziecko. Po prostu domyśliła się tego jako pierwsza i dlatego ją zabił. Nie zatrzymuj się na tej wyspie, moja mała. W przeciwnym razie nigdy nie będziesz mogła odejść…

— Co chce pani przez to powiedzieć?

Kiedy staruszka pochyliła się, żeby wyjaśnić, drzwi karczmy otworzyły się gwałtownie. Pojawił się w nich Paul obładowany torbami z żywnością.

— Victorze, potrzebuję pomocy! — zawołał potężnym głosem.

Karczmarz zjawił się natychmiast, jak gdyby czaił się przez cały czas, niczym aktor wyczekujący na sygnał do wejścia na scenę.

— Idę, już idę… Cześć, Françoise — rzucił, przechodząc obok stołu kobiet.

— Cześć, przystojniaku — odpowiedziała, nawet na niego nie patrząc. — Muszę już iść, Sandrine, miło było cię poznać.

Wtargnięcie Paula wyraźnie zepsuło jej nastrój. Wstała z niedostępnością wymalowaną na twarzy i westchnęła, przygryzając wargę (co pozostawiło wąską smugę szminki na jej górnych zębach).

Sandrine spróbowała ją zatrzymać.

— Proszę poczekać, miała mi pani wyjaśnić…

— Nie mogę zrobić tego tutaj. Przyjdź do mnie jutro po południu. Mój dom to ten najbliżej wybrzeża. Będziemy mogły spokojnie porozmawiać.

— Ale…

— Sandrine, nie powinnaś być tutaj, na tej wyspie.

Potem Françoise odwróciła się, podeszła do szafy grającej i bez słowa wyszła z karczmy. Kilka sekund po tym, jak drzwi się zamknęły, słowa piosenki znów przejęły władzę nad ciszą.

Parlez-moi d'amour,

Redites-moi des choses tendres…

„Mój Boże, co to za miejsce?" — zastanawiała się Sandrine, rozważając tę nieprawdopodobną rozmowę. „Co ta kobieta miała na myśli?" Nagle poczuła chęć ucieczki. Nie wiedziała dlaczego, ale wewnętrzny alarm rozbrzmiewał głęboko w jej duszy, od kiedy postawiła stopę na Lazarusie. Dziwne i niezrozumiałe uczucie nasilało się z każdym kolejnym tutejszym spotkaniem.

Simon. Victor. Françoise.

W tej chwili nikt z tych wyspiarzy nie wydawał się jej godny zaufania. Każda z tych osób na swój sposób wyzwalała w niej coś, co podsycało poczucie obcości. Tylko Paul stanowił wyjątek. Ale co dokładnie o nim wiedziała? Mieszkał na kontynencie, przyjeżdżał raz na dwa tygodnie, aby zaopatrzyć mieszkańców i zaspokoić ich potrzeby. Całkiem przystojny chłopak, zgoda, ale co poza tym?

— Mogę?

Pojawił się jak nagła materializacja myśli Sandrine. Uśmiechnęła się krzywo. Zauważyła, że Paul trzyma dwa kufle piwa, i ukryła swoje zmieszanie, zakładając kosmyk włosów za ucho.

— Tak… tak, oczywiście!

— Wszystko w porządku? Wygląda pani na zmartwioną.

— Nie, wszystko… wszystko w porządku — wyjąkała, gdy postawił przed nią jeden z kufli.

— Przepraszam, przecież znalazła się tu pani z powodu śmierci Suzanne…

— Nie o to chodzi — rzekła Sandrine.

— Więc o co?

— Rozmawiałam trochę z Françoise…

— Rozumiem… Powinienem był panią uprzedzić — przyznał Paul.

— Uprzedzić?

— Tak. Françoise jest trochę… Powiedzmy, że ma nie całkiem dobrze w głowie. Może przez to odizolowanie… A poza tym Claude sądzi, że ona cierpi po stracie pani babci bardziej, niż się do tego przyznaje. Były bardzo zżyte.

— Zgadza się, powiedziała mi o tym… I zaprosiła mnie do siebie na pogawędkę jutro po południu.

— Och, to świetny pomysł! Niewątpliwie dobrze jej zrobi, jak się zwierzy. No, widzi pani, mówiłem, że nie będzie tu czasu na nudę! Jutro rano pójdę też z panią do Suzanne. Mam zapasowe klucze do wszystkich domków.

— Dziękuję, Paul.

— Nie ma za co, proszę pani.

— Litości, jesteśmy jedynymi młodymi ludźmi na tej wyspie. Chyba moglibyśmy mówić sobie po imieniu, prawda?

— Bardzo chętnie, Sandrine, a więc mam nadzieję, że jesteś głodna!

— Tak, a dlaczego?

Paul skinął głową w kierunku drzwi kuchennych. Zobaczyła Victora niosącego ciężki garnek pełen gulaszu.

— Dalej, młodzieży! Do kuchni przyjmę z powrotem tylko pusty garnek!

Tego wieczoru byli w karczmie jedynymi gośćmi. Obecność Paula była przyjemna. Gawędzili o wszystkim i o niczym, a Sandrine zapomniała nawet o powodzie swojego przybycia na wyspę. Paul opowiedział jej o swoim życiu na kontynencie, o poczuciu, że nie jest na właściwym miejscu. Wyjaśnił jej, że chce pracować jeszcze rok lub dwa (nie odważył się sprecyzować, że do czasu, gdy mieszkańcy wyspy zmęczą się życiem po tragicznym wydarzeniu z przeszłości), a następnie planuje otworzyć agencję turystyczną.

— Wycieczki morskie wzdłuż całego wybrzeża — powiedział z uśmiechem. — Latem jest wielu turystów i wszyscy odbywają rejsy takimi samymi statkami, nie zwiedzając najpiękniejszych zakątków. Dobrze znam okolicę. Są tu naprawdę ładne miejsca do odkrycia.

Normalność tej rozmowy ożywiła Sandrine, ale zmęczenie i alkohol zwyciężyły. Przeprosiła Paula, podziękowała mu za miły wieczór, po czym podeszła do Victora, który za barem wycierał szmatką kilka szklanek.

— Bardzo dziękuję za posiłek, mam wrażenie, że nie jadłam tak dobrze od lat!

— Nie ma za co! Proszę za mną.

Karczmarz podszedł do recepcji, wziął klucz i wręczył Sandrine.

— Proszę, to wygodny pokój z widokiem na ocean.

— Dziękuję raz jeszcze. Jutro powinnam skontaktować się z szefem i powiadomić go, że dojechałam. Czy mogę skorzystać z pana telefonu?

— Cóż, od dawna nie mam telefonu. Turyści i tak nie mogą zarezerwować tu pobytu. Przy pomoście jest telefon na monety. To nasze jedyne połączenie ze światem zewnętrznym.

— Och… w takim razie pójdę tam rano. Dobrej nocy, Victorze.

Wchodząc z bagażem po schodach, Sandrine usłyszała ruch w sali jadalnej. Prawdopodobnie to Paul udawał się na spoczynek. Ale gdy tylko włożyła klucz do zamka, jej uszu dobiegły chropowate słowa płyty winylowej…

Parlez-moi d'amour,

Redites-moi des choses tendres…

13

SUZANNE 1949

Zaledwie trzy dni po odkryciu tajemniczego rysunku Suzanne zauważyła kolejne dwa — w różnych pokojach, z tym samym podpisem. Zdecydowała, że czas rozwikłać tę tajemnicę i porozmawiać z Fabienem, dość milczącym dzieciakiem. Skorzystała z faktu, że wszystkie dzieci piły czekoladę w głównym pokoju, i wzięła go na bok.

— Fabien?

— Tak, proszę pani?

— Możesz mi wyjaśnić, co narysowałeś w swoim pokoju pod tęczą?

Chłopiec opuścił wzrok, przygryzając wargę. Głęboko zaniepokoiła ją ta postawa, tak często spotykana na ulicach w czasie wojny, kiedy żołnierze żądali od przechodniów okazania dokumentów, a dzieci czekały, aż rodzice to zrobią. Uświadomiła sobie, że użyła zbyt stanowczego tonu. Zrozumiała, że niewidoczne rany może rozdrapać najmniejszy nietakt. Przykucnęła przed Fabienem i uśmiechnęła się do niego.

— To nic takiego. Możesz rysować na ścianach swojej sypialni, nie będę cię karciła. Po prostu znalazłam dwa inne rysunki w pokojach Julie i Pierre'a. Czy to ty je stworzyłeś?

— Tak, pani Suzie.

— Czy to jakaś gra?

— Nie.

— Co to znaczy *Erlkönig*?

— *Erlkeunig* — powtórzył Fabien, żeby poprawić jej wymowę. — Król Olch.

— A kim jest Król Olch? — zapytała łagodnie.

— To zły. Mój ojciec często opowiadał mi tę historię. Wszystkie tutejsze dzieci go znają.

— To jakieś straszydło?

— Mhm. — Fabien skinął głową.

— Nie musicie już się bać — zapewniła. — Potwory odeszły, wróciły do Niemiec i jestem przekonana, że ten Er-coś tam odszedł z nimi. Co on robił strasznego? Wiesz, mówienie o swoich lękach często sprawia, że znikają. Ja też, kiedy byłam mała, bałam się w nocy. Więc zamykałam oczy i trach, nie było potworów!

— Nie! — syknął nagle chłopiec, wpatrując się w nią. — Nie wolno nam zamykać oczu! Szczególnie tego nie wolno!

— Ach tak? A dlaczego? — zapytała Suzanne, zaniepokojona jego zachowaniem.

— Bo gdy zamkniemy oczy, on po nas przychodzi. To właśnie zrobił z Julie, Pierre'em i ze mną. Zmusza nas do zamknięcia oczu, a potem zabiera.

— Ależ, Fabienie, to tylko twoja wyobraźnia…

Miała nadzieję, że te słowa pocieszą dziecko, które zaczęło okazywać lęk. Chłopiec pocierał ręce, jakby był na mrozie, chociaż do tej chwili stał nieruchomo i wyglądał na nieco zagubionego. Kiedy podniósł głowę, zauważyła cienie pod jego oczami. Stłumiła w sobie pragnienie, by zadać mu dalsze pytania. Nie powinna go ponaglać. Niech zrozumie, że jest teraz

bezpieczny, że żaden wykrzykujący rozkazy żołnierz ani potwór nie mają możliwości wtargnięcia do jego pokoju.

Fabien jednak kontynuował:

— Nie, pani Suzie, on przychodzi co wieczór. To dlatego zrobiłem rysunek na ścianie sypialni, aby przypomnieć mu, że już tu był, a teraz musi zostawić nas w spokoju.

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane drżącym głosem. Suzanne wyczuła w nich prawdziwy, głęboki strach, co zaskoczyło ją do tego stopnia, że nie była w stanie nic dodać. Patrzyła, jak chłopiec podchodzi ze znużeniem do dużego stołu. Kilka krzeseł dalej siedziało jego dwoje towarzyszy, mających również, jak twierdził, koszmary wywołane przez tego Erlkönіga. Suzanne nigdy nie słyszała o jego istnieniu.

„Niewątpliwie żołnierze świadomie rozpowszechniali tę historię podczas wojny, żeby przestraszyć najmłodszych" — pomyślała. „W końcu jaka może być lepsza obietnica wiecznej wyższości niż powodowanie traumy u ludności już od najmłodszych lat?"

Suzanne jak każda dorosła osoba doskonale wiedziała, że w okresie dorastania lęki nie znikają. Stają się bardziej subtelne. Są zapominane. Zamykają tylko oczy.

— Suzanne, jak się pani ma?

Naraz zjawił się przed nią lekarz Claude. Była zbyt zajęta obserwowaniem Fabiena, więc zauważyła obecność mężczyzny dopiero wtedy, gdy zaczął mówić. Jak co dzień ubrany był w elegancki garnitur i nosił monokl, co sprawiało, że wyglądał na arystokratę. Lekka łysina nie czyniła go brzydkim, ale przez nią robił wrażenie kogoś zarozumiałego. Jego symetryczna czaszka doskonale pasowała do tego braku włosów, a nawet dodawała mu pewnego uroku, na który Suzanne nie była całkowicie obojętna.

— Och, Claude, przestraszył mnie pan!

— Nie wiem, jak to rozumieć — odpowiedział ze śmiechem.

— Cóż… Mniejsza z tym… Krótko mówiąc, wszystko dobrze, a u pana?

— Doskonale! Dyrektor jest zachwycony zdrowiem dzieci, czyli zachwycony pracą nas wszystkich! Wie pani, ich organizmy były pozbawione pożywienia niezbędnego do prawidłowego rozwoju. Jeszcze dwa, trzy lata w tych warunkach i u większości z nich pojawiłyby się nieodwracalne opóźnienia fizyczne i psychiczne… Po wyzwoleniu nie udawało się uzupełnić wszystkich niedoborów. Żyło się wciąż niepewnie, jeśli mogę tak to ująć, nie było łatwo prawidłowo się odżywiać.

— W istocie.

Suzanne wątpiła, by w czasie wojny lekarz miał duże trudności z zapełnieniem swojej lodówki. Przynajmniej nie takie jak ona. Z tego, co wiedziała, był dyrektorem szpitala wojennego. Wielu zazdrościło mu tej pracy, potrzebnej i pochwalanej przez różne rządy. Musiał leczyć żołnierzy obu stron. Zbawienna neutralność w tych niespokojnych czasach.

— Ale dzięki pracy nas wszystkich dzieci przybierają na wadze i odzyskują energię! — ciągnął. — No cóż, moim zdaniem dajemy im trochę za dużo czekolady, ale przecież według nich ten napój prawdopodobnie smakuje dobrostanem Wszechświata!

— Doktorze…

— Tak, Suzanne?

— Mam jednak wrażenie, że niektóre z nich są zmęczone.

— Naprawdę?

— Tak. Czy dobrze śpią?

— Według raportów z nocnej zmiany nie ma się czym martwić — zapewnił lekarz. — Ma pani na myśli konkretne dzieci?

— Julie, Fabiena i Pierre'a. Myślę, że wyglądają na zmartwionych.

Ich ramiona rzeczywiście były nieco bardziej zwieszone niż pozostałych obozowiczów, a głowy zbyt ciężkie, by utrzymać je w pozycji pionowej. Przede wszystkim jednak ich cera wydawała się znacznie bardziej matowa niż zwykle i miała barwę zimną jak gołe betonowe ściany na zewnątrz blokhauzu.

— To niewątpliwie przez nadmiar aktywności fizycznej — podsumował lekarz. — W tym wieku często biegają do utraty sił. Nie znają jeszcze swoich możliwości. To zdrowe zmęczenie. Ale podczas następnego badania sprawdzę wszystko, proszę się nie martwić.

— Dziękuję, Claude.

— Proszę bardzo. Piwo w karczmie dziś wieczorem? — zaproponował, odchodząc.

— Jak mogłabym zostawić Françoise samą w miejscu, gdzie są mężczyźni i alkohol? To byłoby z mojej strony nieodpowiedzialne — odparła z ironicznym uśmiechem Suzanne.

14

SANDRINE LISTOPAD 1986

Sandrine spakowała walizkę i zeszła na dół do recepcji. Poprzedniego dnia umówiła się z Paulem przed domem babci na dziesiątą rano. Była dopiero dziewiąta. Miała więc czas, aby spokojnie udać się do miejsca zamieszkania Suzanne. W karczmie nie było śladu życia. Zgaszone lampy ustępowały miejsca przyćmionemu porannemu światłu, przebijającemu się przez zasłony. Młoda kobieta przeszła obok milczącej szafy grającej i popatrzyła na nią złym okiem.

Parlez-moi d'amour…

„Co za bzdura!" — pomyślała.

Potrząsnęła dzwonkiem na biurku, ale nikt się nie zjawił. Może Victor jeszcze spał…

Zostawiła kartkę z wiadomością na blacie w widocznym miejscu, po czym wyszła.

Deszcz ustał. To właśnie zauważyła najpierw, gdy popatrzyła w mdłe niebo. Do tego wyspa wyglądała inaczej. Nie jeśli chodzi o ukształtowanie terenu czy rozmiary, ale po prostu… sprawiała wrażenie bezbarwnej. Różne odcienie natury, zazwyczaj atrakcyjne, teraz były jakby uśpione. Wydawały się pogrążone w wiecznym śnie lub wyblakłe z powodu niskiego szarego

nieba, napierającego na wyspę, jakby chciało zatopić ją trochę głębiej. Sandrine pomyślała o zdjęciach wiszących na ścianie karczmy. Miała wrażenie, że krajobraz cofnął się w czasie, zwrócił się przeciwko sobie, a klisze ostatnich lat o pospolitej i ograniczonej kolorystyce nakazują wyspie zgasnąć i powrócić do dawnej czerni i bieli. Morze i huczące w oddali spienione fale wyglądały jak nieprzenikniona powierzchnia atramentu. Nieliczne drzewa, które napotkała, były nagie. Ich surowe gałęzie niczym uniesione ramiona zwęglonego ciała wyciągały się boleśnie ku niebu. Widząc to, Sandrine zadrżała. Ten pejzaż końca świata sprawił, że poczuła się nieswojo. Brakowało tylko eksplozji pocisków, serii z karabinów maszynowych, strug krwi i mgły gazu, by poczuć się jak w scenerii filmu wojennego. Albo w koszmarze weterana.

Ponownie poczuła chęć, by jak najszybciej uciec z wyspy.

Zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę domu babci. Podążała jedyną ścieżką wiodącą daleko w las. Według mapy od notariusza miała iść niezbyt długo.

Podczas marszu jej nerwy się rozluźniły, jakby znieczulone morską bryzą i otaczającą ciszą. Spojrzała na chmury, wypatrując jednego z wielu ptaków, które powinny zamieszkiwać tę wyspę, ale żadnego nie zauważyła. Niebo było opustoszałe, tak samo jak wrzosowiska. Po dziesięciu minutach wędrówki dotarła do budynku identycznego jak te w wiosce.

Paul czekał na nią, siedząc na schodach. Wstał, żeby otworzyć bramę i się przywitać.

— Jak się masz, Sandrine? Dobrze spałaś?

— Jak dziecko — skłamała.

Noc była ciężka. Materac okazał się wątpliwej jakości, a w dodatku młoda kobieta została kilkakrotnie obudzona przez dziwny dźwięk dochodzący z zewnątrz. Najpierw przypisała jego pochodzenie wyciu

wiatru wiejącego po skalistym brzegu. Potem jednak wsłuchała się i zrozumiała, że to skowyt przestraszonego zwierzęcia.

— Czy na wyspie są koty? — zapytała.

— Ach, te słynne zdziczałe koty — westchnął Paul. — Były. Z tego, co wiem, zostały tu sprowadzone, ale za szybko się rozmnażały. Trzeba było na nie polować, ponieważ zagrażały różnym gatunkom ptaków morskich, takim jak mewy srebrzyste i edredony zwyczajne. Atakowały gniazda. Miejscowi mówią, że nadal je słyszą, zwłaszcza w nocy, ale nigdy ich nie widziałem. Bez wątpienia to jakiś pojedynczy osobnik, któremu udało się uniknąć złapania.

— A więc to tu mieszkała Suzanne?

— Tak.

— Dziwne — zauważyła Sandrine, idąc na prawo od posesji i odkrywając częściowo wyschnięty staw. — Na mapie od notariusza widnieje budynek gospodarczy po tej stronie domu.

— Budynek gospodarczy? Nigdy tu takiego nie było, przynajmniej od kiedy przypływam na wyspę.

Dziennikarka po raz ostatni popatrzyła na plan, po czym złożyła go i wsunęła do tylnej kieszeni dżinsów. Paul wziął pęk kluczy, zawahał się, wybierając właściwy spośród kilku, a następnie przekręcił rygiel zamka. Po wejściu do środka oboje zaczęli otwierać okna, aby wpuścić świeże powietrze. Sandrine nie wiedziała, czy to pomoże wypędzić liczne duchy zamieszkujące ten dom, ale przynajmniej stęchły zapach szybko zniknął.

Budynek składał się z głównego pokoju, niedużej kuchni, łazienki z ubikacją i dwóch śmiesznie małych sypialni. W jednej z nich nadal można było dostrzec na ścianach stare ślady po łóżkach piętrowych, z pewnością używanych przez żołnierzy Trzeciej Rzeszy. Paul i Sandrine chodzili po pokojach, skrępowani wejściem w strefę prywatności zmarłej. Następnie

mężczyzna wyszedł i zapalił papierosa przed drzwiami, pozwalając Sandrine spokojnie się rozejrzeć. Ale na próżno przeszukiwała szuflady, otwierała szafy i przeglądała szafki. Nic nie doprowadziło jej do Suzanne. Młoda kobieta miała wrażenie, że odwiedza dom pokazowy, zimny i bezduszny, podobny do biura Béguenau.

— Co ja tu, do cholery, robię! — zaklęła, dołączając do intendenta.

— Wszystko w porządku?

— Tak… a właściwie nie. Nie mam tu nic do roboty — powiedziała na granicy płaczu. — Nie znałam tej Suzanne, której życzliwość i uśmiech wszyscy tak chwalą. Myślałam, że wizyta w tym domu wymaże ten emocjonalny dystans, ale… nic nie czuję. Lepiej szybko wrócić na stały ląd, do poprzedniego życia.

— Rozumiem. — Paul wypuścił dym. — Nie obwiniaj się, czasami życie jest po prostu… niedostosowane.

— Niedostosowane?

— Tak, niedostosowane do żyjących.

Sandrine usiadła na schodach, analizując te słowa. Pomyślała o latach spędzonych w Paryżu, podczas których tak często wątpiła w swoją przydatność dla tamtego świata. Nigdy nie myślała o spojrzeniu na tę sytuację odwrotnie. Nigdy nie uważała stolicy ani własnego życia za niedostosowane do niej.

Zawsze sobie przypisywała rolę anomalii.

— To zabawne, masz talent do uspokajania mnie. — Uśmiechnęła się, obserwując horyzont.

— Naprawdę?

— Tak. Ilekroć czuję, że upadam na duchu, wystarczy kilka twoich słów, żeby poprawić mi nastrój. Rozumiem, dlaczego moja babcia cię

lubiła. Ale obawiam się, że nie będę już dłużej cieszyć się twoją obecnością. Zamierzam dzisiaj wyjechać.

— W takim razie nie spodoba ci się to, co powiem…

— To znaczy?

— Simon odpłynął zeszłej nocy — wyjaśnił Paul. — Ponieważ nie było żadnych poważniejszych prac wymagających jego obecności, wrócił na stały ląd i Lazarus przypłynie dopiero w przyszłym tygodniu.

— Nie…

— Tym razem moja kolej na służbę, więc to ja będę doglądał wszystkiego, dopóki nie wróci.

— Litości! Powiedz, że to żart!

— Przykro mi. Tak właśnie funkcjonujemy, kiedy na wyspie nic się nie dzieje.

— Będę potrzebowała wielu piw, żeby przetrwać — ostrzegła Sandrine. — Obiecaj, że nie zostawisz mnie samej.

— Obiecuję! Chodź, pokażę ci wyspę. Jeśli chodzi o napoje, mam tylko wino i kanapki, które Victor zrobił mi bardzo wczesnym rankiem. Przynajmniej w południe nie umrzemy z pragnienia!

— A dokąd idziemy?

— Do obozu letniego po drugiej stronie lasu.

15

SANDRINE LISTOPAD 1986

Paul i Sandrine szli stromą drogą prowadzącą na wschodnią stronę wyspy. Kilka metrów pod klifami morze uderzało z determinacją o skały, zmuszając spacerowiczów do podnoszenia głosu, by mogli się usłyszeć. Zbliżały się do nich sylwetki drzew niczym żołnierze idący ostrożnie przez środek pola minowego.

— Nie sądzisz, że krajobraz wygląda inaczej? — zapytała Sandrine.

— To znaczy?

— Mam wrażenie, że wszystkie podstawowe kolory wyblakły, ustępując miejsca odcieniom szarości. Tak jakby Bóg pokolorował tę wyspę niewłaściwymi kredkami…

— Wiesz, tutaj słońce rzadko przebija się przez chmury. Ale trawa jest zielona, a niebo niewątpliwie niebieskie. Myślę, że to brak światła wywołuje takie wrażenie. Po prostu nie jesteś do tego przyzwyczajona.

Kiedy weszli do lasu, Sandrine zrozumiała, że Paul miał rację. Wszystko stało się jeszcze bardziej pozbawione wyrazu. Słabe promienie słońca, które przebiły się przez warstwę chmur, straciły całkiem wigor, pochłonięte przez liczne gałęzie ciemnego drzewostanu. Nieważne, jak bardzo wmawiała sobie, że jest poranek — otoczenie i półmrok dawały złudzenie późnego popołudnia i zapadającego zmierzchu.

— Często chodzisz do obozu?

— Nie idę tam pierwszy raz, ale nigdy nie wchodziłem do środka. Mam jednak klucze, na wypadek gdyby to miejsce wymagało jakiejkolwiek interwencji.

— Więc dlaczego teraz chcesz wejść?

— Dla ciebie, Sandrine. Aby poprawić ci nastrój i pokazać miejsce, w którym pracowała Suzanne. Aby ci udowodnić, że twoja babcia nie była ani szalona, ani bezużyteczna.

Po dobrym kwadransie spaceru przez las Sandrine z ulgą wyszła na dużą bezdrzewną łąkę. Od razu zauważyła betonowy dach i była zaskoczona rozmiarami blokhauzu. Wyobrażała sobie mały budynek, podobny do tych, które widuje się w podręcznikach do historii. Dziennikarka wiedziała, że istnieją bardziej imponujące konstrukcje, jak ta niedokończona w Éperlecques w rejonie Pas-de-Calais, ale nie spodziewała się na małej wyspie tak dużej budowli.

— No proszę! — zawołała.

— Robi wrażenie, prawda? Z tego, co słyszałem, blokhauz był przeznaczony do wystrzeliwania pocisków na wybrzeże. Niemcy ledwo zdążyli go wykorzystać, pod koniec wojny musieli szybko porzucić to miejsce.

Minęli coś, co musiało być placem zabaw. Zardzewiała przez lata obręcz do koszykówki służyła nieruchomym ptakom za żerdź. Ta pozostałość obiektu sportowego przywodziła Sandrine na myśl bardziej szubienicę niż konstrukcję do gry. Metalowy krąg pochylił się w dół jak pogrążona w żałobie osoba, która wpatruje się w ziemię, płacząc nad grobem u swoich stóp. Na boisku rosła dzika trawa. Rozsiała się również tam, gdzie kiedyś piłka mogła być odbijana bez obawy, że niespodziewanie zmieni kierunek.

Paul zwrócił uwagę Sandrine na inne miejsce. Początkowo myślała, że stoi przed prowizorycznym cmentarzem. Do nieba wznosiły się grube drewniane patyki, czasem proste, czasem krzywe, jak krzyże z gałęzi. Ale szybko zdała sobie sprawę, że to dawny ogród warzywny. Suche korzenie wyrosły z ziemi i skręciły się jak zastygłe na wieczność węże. Podpórki nie podtrzymywały już żadnych pomidorów, ale widząc drewniane skrzynie ustawione na ziemi, można było się domyślić, że był to urodzajny i okazały teren.

— To Maurice stworzył ten ogród — powiedział Paul. — Jeśli można mu wierzyć, potrafił wykarmić cały obóz. Wciąż się chwali, że uprawiał najlepsze owoce i warzywa w całej Normandii. Gdyby nie był za stary, żeby klęczeć i kopać, jestem pewien, że przychodziłby każdego ranka, aby pielęgnować ten skrawek ziemi!

— Wszystko zostało porzucone po zatonięciu statku?

— Tak. Uciekli stąd jak przed zarazą. Dzień po tragedii te metalowe drzwi zostały zamknięte na dobre i nikt z wyspiarzy nigdy nie chciał otworzyć ich ponownie.

— To miejsce wywołuje u mnie gęsią skórkę — wyznała Sandrine.

— Trzeba je sobie wyobrazić za czasów świetności. Śmiech dzieci, kolory sadu, dźwięk piłek odbijających się od ziemi. Były też zwierzęta, prawdziwa mała farma! Widziałaś zdjęcia w karczmie?

— Tak, wszystkie.

— Zatem już wiesz, jak wyglądał obóz. I właśnie tak należy go pamiętać. Chodź, zajrzyjmy teraz do środka.

Przed nimi wznosiła się betonowa fasada blokhauzu. Wejście zagradzały duże metalowe drzwi. Paul wyjął z torby pęk kluczy i włożył największy z nich do zamka. Stukot mechanizmu go zaskoczył. Paul spodziewał się, że zamek nie będzie działał. Usłyszeli dźwięk zasuwy

odbijający się echem z drugiej strony drzwi, który powoli ucichł, gdy usiłowali pchnąć je do środka. Próbowali kilka razy, napierając całym ciężarem, nabierając rozpędu, by je kopnąć… W końcu blacha ustąpiła i drzwi się uchyliły, tworząc szczelinę wystarczającą, aby dwoje „odkrywców" mogło wślizgnąć się do budynku.

Na początku były tylko ciemność i wilgoć. Betonowe ściany, narażone zbyt długo na ujemne temperatury, wydzielały chłód. Paul wyjął z torby dwie latarki i wręczył jedną Sandrine. Szli cicho korytarzem, omiatając przestrzeń snopami światła.

— Ten korytarz jest ogromny — zdziwiła się Sandrine.

— Myślę, że został zaprojektowany, aby pomieścić żołnierzy i ich sprzęt.

— Mogłabym napisać artykuł o tym miejscu! — wykrzyknęła, podekscytowana tajemniczym wyglądem konstrukcji.

— Słucham?

— Och, przecież ty nic nie wiesz… Jestem dziennikarką. Nie dlatego tu przyjechałam, ale to mój zawód, tam, na stałym lądzie.

— Dziennikarką? Myślisz, że możesz napisać artykuł o wyspie i obozie?

— Tak, dlaczego nie? Utknęłam tu na tydzień, więc równie dobrze mogę to wykorzystać.

— To niemożliwe.

— Ach tak? A niby dlaczego?

— Bo nikt ci nie uwierzy…

Przeszli jeszcze kilka metrów w ciemności, zanim dotarli do ogromnego pomieszczenia, rozjaśnionego naturalnym światłem dzięki licznym otworom strzelniczym wykutym w ścianach.

— Można by powiedzieć… Można by powiedzieć, że dzieci dopiero co tu były…

To właśnie wyszeptała Sandrine, kiedy odkryła długi stół ustawiony na środku sali. Podeszła do niego, nie śmiejąc dotknąć wciąż na nim stojących szklanek, sztućców i talerzy, pokrytych kurzem i misternie przetkanymi pajęczynami. Była całkowicie pochłonięta tymi przedmiotami. Ich obecność boleśnie podkreślała brak tych, którzy ich używali. Przypomniała sobie dziecięce twarze ze zdjęć w karczmie i przeniosła je tutaj, wokół tego stołu. Wyobraziła sobie ich uśmiechy i radość. Widziała, jak piją, jedzą, rozmawiają ze sobą, a ich pełne trudnych doświadczeń życie otoczone jest życzliwą asystą personelu. Głuchy dźwięk wyrwał Sandrine z odrętwienia. Paul znajdował się nieco dalej, w sąsiednim pomieszczeniu.

— To nic! Tylko stary garnek i moja niezręczność! — uspokoił ją. — Cholera, ta kuchnia jest ogromna!

Młoda kobieta ostatni raz spojrzała na duży stół, a potem ruszyła korytarzem położonym naprzeciw tego, przez który przeszli. Ponownie zapaliła latarkę i oświetliła betonowe ściany. Po obu stronach znajdowały się drzwi, wszystkie otwarte. Sandrine naliczyła ich około dziesięciorga. Mijając pierwsze, zrozumiała, do czego służyła ta część blokhauzu: to były sypialnie. Wzruszyły ją małe łóżka. Uśmiechnęła się smutno, widząc na niektórych z nich pluszowe zabawki, wciąż czekające na właścicieli. Wszystkie pokoje były identyczne: łóżko, szafa, okno, ściany z kolorowymi freskami niczym pozostałości zapomnianego sanktuarium.
W przeciwieństwie do wyspy z jej nijakimi kolorami tutejsze tęcze i inne wzory zachowały świetliste barwy, jakby ściany wessały w siebie esencję natury. Obejrzała wszystkie sypialnie i za każdym razem, gdy wychodziła z pokoju, smutek ściskał jej serce. Szybko dotarła do końca korytarza,

znalazła się przed metalowymi drzwiami i nacisnęła klamkę. Ale mechanizm nie zareagował.

— Teraz mnie to miejsce zaczęło przyprawiać o gęsią skórkę — rzekł Paul, zbliżając się do Sandrine. — Nie mam klucza do tych drzwi. To inny typ zamka.

— Tu spały dzieci — szepnęła kobieta. — To najsmutniejsze miejsce, jakie widziałam.

— Myślałem, że poprawię ci nastrój. Powinienem był to lepiej przemyśleć…

— Nie, wręcz przeciwnie. Jestem przekonana, że Suzanne zrobiła wszystko, co w jej mocy, aby uczynić codzienne życie podopiecznych weselszym. Widziałeś obrazki na ścianach?

— Tak.

— Dzieci zasypiały pod tęczami — powiedziała z lekkim uśmiechem. — Czy zauważyłeś małą postać narysowaną w każdym z pokoi? Może to jakiś rodzaj łapacza snów. Jestem pewna, że musiały dobrze spać…

— Też tak sądzę — stwierdził Paul.

Już nic nie mówiąc, ruszyli z powrotem do wielkiej sali. Przed opuszczeniem korytarza Sandrine odwróciła się jeszcze raz, niejako w ostatnim hołdzie dla zmarłych.

Wtedy go zobaczyła.

Tam, w głębi korytarza.

Wiszący nad zamkniętymi drzwiami.

Stary zegar.

Młoda kobieta wycelowała w niego światło latarki.

Szkło tarczy zostało rozbite.

Wskazówki były nieruchome.

Zegar wskazywał dwudziestą trzydzieści siedem.

16

SUZANNE 1949

Podczas warsztatów ogrodniczych, trzy dni po zgłoszeniu lekarzowi swoich wątpliwości, Suzanne nabrała przekonania, że dzieci cierpią na nieznaną chorobę. Powietrze było chłodne. Lekka, pachnąca solą bryza prześlizgiwała się pomiędzy drzewami owocowymi i mocno obciążonymi palikami. Podczas gdy Maurice usiłował wyjaśnić dzieciom, jak ważne jest zachowanie odpowiedniej odległości między roślinami, lub opisać zalety roślin aromatycznych, wychowawczyni dyskretnie analizowała zachowanie dziewczynek i chłopców.

Julie, Fabien i Pierre usuwali chwasty z części ogródka przeznaczonego pod sałatę. Przez cały ranek nie zamienili ze sobą ani słowa, po prostu z pochylonymi głowami oczyszczali ziemię za pomocą żelaznych pazurków ogrodniczych. Powolność ich ruchów i bladość twarzy potwierdziły przeczucia Suzanne. Spojrzała na resztę grupy i zatrzymała wzrok na Marie, która również wydawała się wyczerpana. Dziewczynka usuwała niepotrzebne pędy pomidorów. Jej rysy były ściągnięte, a skóra zaskakująco biała. Nieco dalej Jules potajemnie podjadał maliny, które miał zerwać. Nawet jeśli to przyjemność jedzenia — i zakazanego owocu — sprawiała, że jego źrenice błyszczały, Suzanne nie mogła zignorować podkrążonych

oczu chłopca i jego ciągłego mrugania. Wyglądał, jakby nagle obudził się ze snu.

— Maurice?

— Tak?

— Zostawię was na chwilę, muszę sprawdzić, czy obiad jest gotowy.

— Nie ma problemu, może pani iść, zajmę się nimi. Hej, Jules! Przestań wyjadać wszystkie maliny!

Suzanne wstała, strzepnęła fartuch, żeby usunąć grudki ziemi, i weszła do blokhauzu. Minęła wielką salę (gdzie zapach pieczonego kurczaka i kandyzowanych warzyw pobudzał jej apetyt) i udała się do sypialni. Najpierw weszła do pokoju Marie. Znalezienie narysowanej postaci zajęło jej tylko kilka sekund: stała na powierzchni turkusowego morza, chodząc po wodzie niczym Mesjasz. Napis został umieszczony tuż pod falami, ukryty między dwiema dość topornie naszkicowanymi rybami.

Der Erlkönig.

Następnie poszła do sypialni Jules'a. Część ścian pomieszczenia pokrywały krzaczaste drzewa, wszystkie jakby zaokrąglone, przez co wyglądały bardziej jak gigantyczne grzyby niż jak sosny i poskręcane cyprysy w lesie na zewnątrz. Na jednym z tych drzew znalazła zwisającego z gałęzi Króla Olch narysowanego ciemną kredą.

— Co się dzieje? — szepnęła w ciszy pokoju, jakby to pytanie było skierowane do grubych ścian blokhauzu.

Przez cały posiłek obserwowała dzieci. Nie zauważyła żadnego widocznego zmęczenia u pozostałych pięciorga członków grupy i zastanawiała się, jak długo to potrwa. Czy Król Olch odwiedzi ich w koszmarach tej nocy? Które z nich zjawi się jutro ze ściągniętymi rysami i z niepewnymi gestami?

Po południu Suzanne postanowiła podzielić się wątpliwościami z dyrektorem. Zachęcał on członków zespołu, aby w razie potrzeby przychodzili z nim porozmawiać. Urządził sobie biuro w pokoju w pobliżu kuchni. Według niego w tej sali niemieccy żołnierze torturowali wielu Francuzów. Drzwi biura były zawsze otwarte, a Victor twierdził nie bez dumy, że głównym tego powodem był zapach jego dań.

Suzanne zapukała do metalowych drzwi. Dyrektor poprosił, aby weszła i usiadła naprzeciw niego. Słuchał uważnie, ze skrzyżowanymi nogami i cygarem w ustach. Wychowawczyni ufała temu mężczyźnie od pierwszego spotkania, kiedy z ogłoszeniem w ręku zaoferowała mu swoje usługi. Jej córka odeszła ze swoim niemieckim żołnierzem sześć miesięcy wcześniej. Na twarzy Suzanne wciąż można było znaleźć następstwa tej separacji. Przepłakane noce. Dni pełne nadziei. Potem rezygnacja i pragnienie czegoś innego. Wyspa, stabilna i dobrze płatna praca.

Ta oferta brzmiała jak rozejm w jej prywatnej wojnie.

— Celem tego obozu letniego będzie naprawienie okropności wojny — wyjaśnił jej. — Zaczniemy od około dziesięciorga dzieci. Jeśli projekt się powiedzie, będziemy zwiększać liczbę łóżek. Rozmawiałem z wieloma rodzinami i wszystkie są zachwycone tym pomysłem.

— Dlaczego dzieci?

— Ponieważ one są najcenniejsze — oświadczył entuzjastycznie. — Są zarówno naszą przyszłością, jak i naszą własną przeszłością. Cała równowaga i pomyślność Wszechświata pochodzą z ich szczęścia, tego samego, które naziści próbowali zniszczyć. Ci chłopcy i dziewczynki przeżyli. Ich rodzice również, ale jeszcze nie mogą właściwie się nimi zaopiekować. Jesteśmy rozwiązaniem przejściowym.

Następnie dyrektor uśmiechnął się, a Suzanne podpisała umowę.

* * *

— Zmęczone? — zdziwił się, wydmuchując dym w kierunku sufitu.

— Tak, połowa grupy wydaje się cierpieć na chroniczne zmęczenie.

— Claude ich zdiagnozował?

— Nie, to wynik moich obserwacji — wyznała Suzanne.

— Myśli pani, że to z powodu zajęć? Jedzenia?

— Nie wiem.

Dyrektor myślał przez dłuższą chwilę, marszcząc czoło.

— Może… Może zbytnio się pospieszyliśmy i nie wzięliśmy pod uwagę psychologicznego aspektu oddzielenia od rodziny.

— Sądzi pan, że…

— Myślę, Suzanne, że dobrze pani zrobiła, przychodząc tu i powiadamiając mnie o tym. Gratuluję sobie każdego dnia, że panią zatrudniłem. Maluchy bardzo panią doceniają, nazywają panią ciocią Suzie!

— Dziękuję, panie dyrektorze. Co zamierza pan zrobić?

— Dwie rzeczy. — Wstał z krzesła. — Najpierw poproszę Claude'a, aby sprawdził stan zdrowia każdego dziecka. Następnie wyciągniemy niezbędne wnioski. Jeśli to konieczne, ograniczymy aktywność fizyczną i zasugerujemy Victorowi, żeby przyrządzał dania zawierające więcej witamin. Myślę też o niespodziance dla dzieci, aby zrekompensować im brak uczucia, ponieważ szczerze wierzę, że problem wynika właśnie z tego. Ale przepraszam, wolę na razie zachować to w tajemnicy. Proszę mi wierzyć, zobaczy pani, jak na ich twarzach rozkwitają uśmiechy!

Entuzjazm dyrektora uspokoił Suzanne. Wmówiła sobie, że Król Olch to nic innego jak postać z bajki dla dzieci, zwykły potwór błądzący po koszmarach obozowiczów, aby zakłócić ich sen. Nie wspomniała o rysunkach na ścianach sypialni, obawiając się, że to się nie spodoba

dyrektorowi. Poza tym ten szczegół zdawał jej się wówczas zupełnie nieistotny.

Dwa dni później tajemnicza niespodzianka przybyła z morza, przywieziona z lądu przez konserwatora Simona. Dyrektor poprosił wszystkich o spotkanie w głównej sali. Dzieci i personel usiedli, chcąc się dowiedzieć, co Simon ukrywał w stojącym przed nim dużym pudle.

— Dzień dobry, dzieci.

— Dzień dobry, panie dyrektorze — odpowiedziały jednym głosem.

— Jesteśmy na tej wyspie już dwa tygodnie. To krótko, a jednocześnie długo, gdy przebywa się z dala od bliskich. Wasi rodzice przysłali was tutaj tylko z jednego powodu: ponieważ was kochają. Wasze rodziny z niecierpliwością przygotowują się na wasz powrót, ale ta separacja jest dla nich niezbędna z praktycznego punktu widzenia. Dorośli potrzebowali czasu na naprawę tego, co trzeba było naprawić, oraz na odbudowę idealnego domu. Mój zespół poinformował mnie, że niektórzy z was cierpią z powodu zmęczenia i zniechęcenia. Nie ma powodów do niepokoju, czułbym się tak samo, gdybym musiał być z dala od tych, których kocham. Postanowiłem więc, i to jest pierwsza niespodzianka tego dnia, że za dwa tygodnie wszyscy popłyniemy na kontynent, aby każde z was mogło spędzić trochę czasu z rodziną.

Okrzyki radości natychmiast wypełniły wielką salę. Uśmiechy odpędzały zmęczenie. Dzieci spoglądały na siebie, szukając potwierdzenia tego, co właśnie usłyszały. I każde widziało w twarzy sąsiada to samo szczęście jak doskonałe odbicie w niewidzialnym zwierciadle.

Suzanne poczuła, jak zalewa ją fala uczuć. Ten człowiek właśnie znalazł idealne rozwiązanie dla dobra dzieci.

— Jest też druga niespodzianka — ogłosił teatralnie dyrektor. — Zapraszam: niech każde z was podejdzie, żebym mógł mu ją wręczyć.

Następnie, jeśli będziecie mieli jakieś pytania, zapytajcie Simona. Ten wielkolud kryje w sobie wiele tajemnic i jest pomysłodawcą tego prezentu — wyjaśnił, mrugając do konserwatora. — I ostatnia rzecz, podarek należy do was. Za dwa miesiące, gdy będziecie opuszczać wyspę, zabierzecie go ze sobą. Zatem zapraszam pierwszą osobę i będzie to… Marie!

Mała dziewczynka rozszerzyła oczy ze zdziwienia. Wstała, niepewna i podekscytowana, i stanęła przed dyrektorem.

— Simonie, proszę.

Simon pochylił się nad kartonem i delikatnie go otworzył. Włożył do środka swoje silne ręce i wyciągnął śpiącego kotka.

— Proszę, Marie, to dla ciebie. Nazwij go, jak chcesz. Śpi, ponieważ weterynarz dał mu zastrzyk usypiający, żeby nie bał się podróży. Ale wkrótce się obudzi, a kiedy otworzy oczy, będzie potrzebował pieszczot i pocieszenia.

Marie przytuliła zwierzątko do piersi. Wszystko inne przestało istnieć.

Mężczyźni w mundurach ze złamanymi krzyżami.

Niepokój na twarzy matki, kiedy towarzyszyła jej do sklepu z racjami żywnościowymi.

Dziwne odgłosy, które nocą spadały z nieba i wstrząsały ziemią.

Der Erlkönig.

Jedynie mruczenie i miękkość czarno-białego futra ożywiały Wszechświat.

— Pierre, Fabien, Julie, Sandra.

Wszyscy obozowicze stanęli kolejno z promiennymi twarzami przed Simonem. Ich szczęście szybko stało się zaraźliwe. Członkowie zespołu zbliżyli się do dzieci, dzieląc ich radość, gdy kocięta obudziły się i miauczały zaskoczone. Nowi mieszkańcy wyspy zostali ochrzczeni

najbardziej osobliwymi imionami: Dzwoneczek, Wahadło, Miau, Kiełbaska, Skarpetka… Następnie dyrektor poprosił dzieci, by udały się do swoich pokoi i spokojnie zapoznały z kociętami.

— Kociaki będą wszędzie sikać — zauważyła ironicznie Françoise.

— Każde dziecko jest odpowiedzialne za swoje zwierzę — odparł Victor. — Również za sprzątanie po nim. Dyrektor wyraził się jasno. To będzie dla nich nauka.

— Mój słodki Victorze, nie masz dla mnie gdzieś ukrytej niespodzianki? — zapytała Françoise, podskakując.

— Nie mam czasu, muszę wyczyścić kominek w karczmie — wykręcił się z uśmiechem i wyszedł z pustym pudłem pod pachą.

— Françoise, przestań dręczyć wszystkich mężczyzn na tej wyspie! — zaśmiała się Suzanne, patrząc z wyrzutem na przyjaciółkę.

— Ale ja też chcę zwierzątko!

— Wiesz, o czym myślę?

— Nie. O lekarzu?

— Pff… — prychnęła Suzanne, czerwieniąc się mimowolnie. — Wcale nie!

— Więc o czym?

— Myślę o minie, jaką zrobi nocna zmiana, gdy zjawi się wieczorem.

17

SANDRINE LISTOPAD 1986

Paul i Sandrine siedzieli w milczeniu na skale, zwróceni twarzami do morza.

Usiedli tam, żeby urządzić sobie piknik i pozbyć się dyskomfortu, który odczuli wcześniej wewnątrz blokhauzu.

— W porządku? — zapytał młody mężczyzna, podając Sandrine kieliszek wina.

— Tak, po prostu… Nie mogę przestać myśleć o tych dzieciach. Wyobrażam sobie, jak walczą w zimnym oceanie. Widzę ich przerażone spojrzenia. Słyszę, jak przestają oddychać…

— Nie powinienem był…

— Przestań przepraszać, Paul. Nie mogłeś wiedzieć, co zastaniemy w środku.

Nad wodą majaczyły długie niskie chmury w kształcie złowrogich ciemnych zeppelinów. Sandrine patrzyła, jak powoli płyną naprzód, jakby niechętnie zbliżały się do wyspy.

— Czy to… jakaś ozdoba? — zapytał Paul, przełykając ostatni kęs swojej kanapki, bardziej po to, by zmienić temat, niż z prawdziwej ciekawości.

Sandrine nie od razu zrozumiała, o co pytał. Patrzyła na niego, marszcząc brwi.

— Bransoleta na twoim nadgarstku. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś taką nosił.

— A… tak, coś w tym rodzaju.

Znowu pieczenie. Długa linia. Metaliczna. Rozżarzona.

Poczuła, jak ciepło rozdziera jej skórę.

„Pomyśl o czymś innym, odwróć uwagę od cierpienia, zatop je…"

— Pamiątka po matce — skłamała, naciągając rękaw kurtki, by ukryć bransoletę.

— Jesteście ze sobą blisko?

— Byłyśmy.

— Zdecydowanie mogę być królem gaf…

— To nic. Dobra, dość złej karmy na dziś! Chodźmy do Françoise, jestem przekonana, że jej makijaż nie wybaczy nam tego, że musiała dłużej czekać!

Włożyli resztki jedzenia do plecaka, parsknęli śmiechem, gdy zobaczyli, że wypili całą butelkę wina, i ruszyli z powrotem do wioski. Gdy dotarli do skraju powykręcanych drzew, Sandrine poczuła lekkie odrętwienie, bez wątpienia spowodowane alkoholem. Światło przygasło, podobnie jak dźwięki, do tego stopnia, że musiała walczyć z sennością i skoncentrować się na własnych krokach, by uniknąć potknięcia o korzenie w półmroku.

Wydawało jej się, że słyszy płacz dzieci.

Wydawało jej się, że słyszy miauczenie kota.

Wydawało jej się, że słyszy kobiecy głos, który każe jej mówić o miłości, powtarzać czułe słowa.

Odniosła wrażenie, że jest sama, już nie wśród rachitycznych drzew, lecz w szarym betonowym pokoju, jedynym z zapieczętowanymi drzwiami.

Czy traciła rozum?

Czy cierpiała na tę samą chorobę co jej babcia? Chorobę, której Françoise nie radziła nazywać szaleństwem?

Czy kolory wokół niej naprawdę blakły?

— Myślę, że przesadziłam z winem — powiedziała, gdy drzewa zniknęły, robiąc miejsce dla łąki i skał.

Po prawej stronie pojawił się dom Suzanne.

— Gdzie znajduje się budka telefoniczna? — zapytała Sandrine, mijając opuszczony pomost Lazarusa.

— Nieco wyżej, za jednym z domów — odparł Paul. — Niełatwo ją znaleźć.

— Zadzwonię później do mojego pracodawcy — uprzedziła go. — I może zaproponuję mu artykuł, na przykład pamiętnik z podróży…

— Jesteś pewna, że chcesz pisać o tym miejscu?

— Widzę tu wystarczająco dużo tajemnic, by zainteresować każdego czytelnika. Będzie to miła odmiana po artykułach o krowach…

— Oto dom Françoise. — Paul stanął jak wryty.

— Co się dzieje? — zapytała Sandrine.

Paul nie wiedział. Ale zauważył Claude'a wchodzącego szybko do domu. Drzwi pozostały otwarte i wyszedł przez nie Maurice, przygarbiony od wielu lat pracy w ziemi. Kiedy dawny ogrodnik zobaczył dwoje spacerowiczów, potruchtał na ich spotkanie.

— O co chodzi, Maurice? Nie powinieneś biegać, to nie jest dobre dla…

Stary człowiek był tylko kilka metrów od nich, ale Sandrine już słyszała jego krótki urywany oddech. Mogła też odczytać strach na jego twarzy.

— Szybko! Coś się stało!

Françoise leżała martwa na podłodze. Makijaż podkreślał biel jej skóry, tak jakby te jaskrawe kolory naśmiewały się z zakrywanego przez siebie trupa. Claude klęczał ze stetoskopem na szyi. Drżącą ręką zamknął powieki Françoise na zawsze, po czym przeżegnał się, co natychmiast powtórzyli stojący za nim Paul, Victor i Maurice.

— Zatrzymanie akcji serca — stwierdził.

Nastąpiła długa cisza, podczas której wszyscy cofnęli się do własnych wspomnień. Sandrine obserwowała ich, nie ośmielając się wykonać najmniejszego gestu. Odgadła pytanie, jakie musieli sobie zadawać pozostali mieszkańcy wyspy: kiedy będzie ich kolej? Kiedy starość zabierze ich na spotkanie z Suzanne i Françoise?

Odwróciła się i spojrzała na ciało Françoise. Przypomniała sobie słowa wypowiedziane przez dawną przyjaciółkę babci: „Jesteśmy tu przykuci. Każde z nas się boi, nawet jeśli nikt nie odważy się do tego przyznać. Ponieważ na tej wyspie żyje istota spotykana tylko w koszmarach. Tyle że ta jest prawdziwa. Obserwuje nas w dzień i w nocy. Nie pozwala nam odejść".

Sandrine zauważyła szczegół, który z początku jej umknął: szyja Françoise była wygięta pod dziwnym kątem i wyciągnięta, tak jakby jej głowa próbowała oddzielić się od reszty ciała.

— Claude, jej szyja… — odważyła się odezwać.

— Tak. — Lekarz skinął głową i podszedł do Sandrine. — Musiała złamać sobie kark, kiedy upadała. Myślę, że stała tam, kiedy doszło do

ataku. Na rogu stołu jest trochę krwi i włosów. Nie mogła uniknąć upadku i się uderzyła. Uraz kręgosłupa.

— Co teraz zrobimy? — zapytała.

— Musimy zadzwonić na kontynent i powiadomić Simona, żeby przypłynął z żandarmem.

— Zajmę się tym — powiedział Victor bliski łez. — Zajmę się tym.

Następnie wyszedł z domu Françoise z opuszczoną głową, nie potrafiąc dłużej powstrzymywać szlochu.

— Nie stójmy tu. — Claude przykrył zwłoki swoją tweedową marynarką. — Nic nie możemy już dla niej zrobić, niech spoczywa w pokoju.

— Nie miałbym nic przeciwko szklaneczce czegoś mocniejszego — wtrącił Maurice z wilgotnymi oczami.

Zmarszczki bólu pojawiły się na jego twarzy, już i tak naznaczonej wieloletnią harówką. Jego gruba dłoń otarła łzę, jak odgania się natrętnego komara, gestem pełnym złości i irytacji. Sandrine czuła, że ten starzec potrzebuje czegoś więcej niż drinka.

— Chodź, idziemy do karczmy — szepnął Paul, ciągnąc ją za ramię.

W drodze nikt nie odważył się odezwać. Sandrine, pomimo wiatru i chłodu, które szczypały jej twarz, i lekkiego bólu głowy od wina, przyglądała się krajobrazowi z większą uwagą. Zauważyła kamienne mury, drzewa pochylone ku ziemi, jakby chciały się tam schronić i wrócić do stanu pierwotnego nasienia, wysoką trawę, tańczącą niezgrabnie w rytm powiewów… Odczarowała zapomniane kolory i przyznała, że to miejsce, leżące z dala od świateł i gwaru stolicy, posiada pewien urok — surowy urok, który przypomniał jej starą lekturę, Wichrowe Wzgórza. Przypomniała sobie też, jak czytała, że czasami wiatr może doprowadzić do szaleństwa. Że ludzie porównywali go do głosów zza grobu i że pomysł ten

zyskiwał na popularności, aż przyjęto go za pewnik do tego stopnia, że popychał wierzących do przemierzania wrzosowisk i pocieszania błądzących dusz. Czy to był jeden z tych głosów, które słyszała wczoraj w swoim pokoju? Czy był to dziki kot, którego nikt nie mógł złapać, czy tylko wiatr? Czy Françoise przekazała jej wieczorem za pośrednictwem leśnych drzew część swojego szaleństwa? Czy przyjdzie i wytłumaczy jej swój strach?

„Jesteś idiotką" — pomyślała. „Czy nie widzisz, że ta wyspa ciebie też próbuje uwieść? Czy nie rozumiesz, że chce cię powstrzymać? Czy zapomniałaś słowa Françoise? »Nie powinnaś być tutaj, na tej wyspie«".

„Kondukt" dotarł do karczmy. Usiedli przy stole. Paul podał każdemu szklaneczkę whisky, zostawił butelkę, aby każdy mógł sobie dolać, i usiadł.

— Biedna Françoise… — westchnął Claude, poluzowując krawat.

— Pokój jej duszy — dorzucił Maurice i opróżnił szklaneczkę.

— Miała rodzinę, którą należy powiadomić? — zapytała Sandrine.

— Nie — odparł ogrodnik. — Żadne z nas nie ma rodziny, którą należy powiadomić. Miała ją tylko twoja babcia. Ukryła to przed dyrektorem.

— Jak to?

— Był to jeden z warunków pracy na wyspie. Dyrektor poszukiwał pracowników, którym nie groziło załamanie po kilku tygodniach z powodu rozłąki z bliskimi. Suzanne powiedziała, że miała tylko męża, który zmarł, gdy wybuchła wojna.

Sandrine zastanowiła się nad tymi słowami. Czy to był powód milczenia babci przez te wszystkie lata? Czy martwiła się, że dyrektor dowie się o jej tajemnicy? Młoda kobieta była przekonana, że od chwili, gdy weszła na pokład Lazarusa, coś przed nią ukrywają. Wszyscy mieszkańcy mówili oszczędnie, zdaniami składającymi się ze słów równie nijakich i rozwodnionych jak kolory na zewnątrz. Postanowiła włożyć kij

w mrowisko. Jeśli ci starzy ludzie uznają to za chamstwo i brak szacunku, to trudno. Sandrine miała dość insynuacji, tego bałwochwalczego odnoszenia się do wyspy i jej tajemnic. Żądała wyjaśnień zawiłych wypowiedzi Françoise i Victora. Chciała zrozumieć, dlaczego mieszkańcy się boją.

Kiedy już miała zadać pytania, drzwi karczmy rozwarły się z trzaskiem i stanął w nich Victor, biały jak duch.

— Bu… bu… budka telefoniczna — wyjąkał. — Została zdewastowana!

— Jak to zdewastowana? — zdziwił się Paul.

— Zniszczona, zupełnie zniszczona. Nie mamy żadnego połączenia ze stałym lądem.

W tym momencie Sandrine zobaczyła na ich twarzach pierwotny, niemal dziecięcy lęk tych, którzy wiedzą, że są potępieni…

18

SUZANNE 1949

Odtąd w obozie panowała niemal natchniona atmosfera.

Dzieci spędzały większość czasu w pokojach lub w dużej sali i opiekowały się kociętami, ignorując grę w piłkę oraz przejażdżki konne… Claude zauważył poprawę, ale mimo to zalecił codzienny spacer wzdłuż wybrzeża, by chociaż przez godzinę przewietrzyć głowy.

Ze swojej strony w dniach po przybyciu zwierząt Suzanne nie dostrzegła już u dzieci żadnych oznak zmęczenia. Ulżyło jej również, bo nie znalazła nowych rysunków Erlköniga w sypialniach. Zaczęła wierzyć, że był to po prostu trudny czas i wynikało to, jak doskonale ocenił to dyrektor, z długiej rozłąki z rodziną i potrzeby czułości.

W ten sposób dobrostan Wszechświata powrócił. Wprawdzie aktywności fizycznych nieco ubyło, ale uśmiechy znów rozświetlały twarze jak w pierwszych dniach. Wydawało się, że kocięta dostosowują się do sytuacji i nowego środowiska. Nierzadko zdarzało się, że myszkowały po kątach z wzruszającą ciekawością, czasami stając się przyczyną stłumionych obelg, na przykład wtedy, gdy Victor odkrył, że jeden z kociaków próbuje wślizgnąć się do kuchni. A jednak kucharz dał się zmiękczyć, jak wszyscy członkowie zespołu. Przed zakazanym wejściem ustawiono więc małe miseczki czekolady. Wydawało się, że to

usatysfakcjonowało Dzwoneczka, Bobka, Śnieżkę i inne kocięta, ponieważ wszystkie zadowoliły się miauczeniem, domagając się należnych im przywilejów, i zapomniały o pomyśle pójścia do kuchni i obsłużenia się samodzielnie.

Do incydentu doszło w środę, trzy dni przed wyprawą na kontynent.

W korytarzu prowadzącym do sypialni rozległ się przeraźliwy krzyk.

Samotny ból.

Rysa na dobrostanie Wszechświata.

Niczym trzaśnięcie drzwiami w opuszczonym domu.

Françoise i Suzanne, które sprzątały wielką salę, natychmiast pobiegły, by sprawdzić, skąd pochodzi ten mrożący krew w żyłach dźwięk. Znalazły dziewięcioletnią Émilie, stojącą przed swoją sypialnią z twarzą w dłoniach, by ukryć łzy.

— Émilie, dlaczego krzyczałaś? Co się dzieje?

— Fabien… on… on zabił Chichotka…

— Co?!

Suzanne weszła do pokoju i zobaczyła Fabiena siedzącego na łóżku Émilie i majtającego nogami. Na podłodze leżało martwe ciało kotka.

— Françoise, zabierz Émilie do kuchni i daj jej czekolady. Ja porozmawiam z Fabienem.

Françoise skinęła głową i wzięła dziewczynkę w ramiona, próbując ją pocieszyć.

— Chodź, księżniczko, wszystko będzie dobrze…

Chłopiec milczał, patrzył uparcie w niewidoczny punkt na ścianie. Suzanne usiadła obok niego i ze smutkiem spoglądała na nieżywe zwierzątko.

— Fabienie, czy to prawda, że zabiłeś kotka Émilie? Dlaczego? — szepnęła.

Nie spodziewała się odpowiedzi. Fabien musiał być świadomy tego, co właśnie zrobił, z pewnością żałował i był zbyt zawstydzony, by mówić. Jednak ku jej zaskoczeniu chłopiec wskazał palcem rysunki w sypialni. Suzanne podążyła za jego wzrokiem i popatrzyła na lśniącą zieloną łąkę. Trawę pokrywały wielobarwne kwiaty: stokrotki, hiacynty, azalie, cały kalejdoskop radosnych kolorów podstawowych. Na szczycie łąki, wyprostowany i odrażający jak strach na wróble, stał Król Olch. Nie było go tam poprzedniego dnia, kiedy kontrolowała sypialnie, miała co do tego całkowitą pewność.

— Tylko w ten sposób można przed nim uciec… — odparł Fabien. — Musimy zabić koty…

— Uciec… przed koszmarami? Chcesz powiedzieć, że trzeba zabić kocięta, by nie mieć koszmarów?

— To nie są koszmary, on jest prawdziwy. Zabiłem Krokieta dwa dni temu i Król Olch nie wrócił, nie odwiedził mnie. Skręciłem mojemu kotu kark. Nie cierpiał. Ojciec pokazał mi, jak to zrobić, gdy kłusował.

— Zabiłeś swojego kotka? Ależ Fabien…

— Nie chciałem, żeby on skrzywdził Émilie — powiedział chłopiec, stając twarzą do Suzanne.

Jego spojrzenie było rozgorączkowane, żyłki w opuchniętych oczach wyglądały, jakby miały zaraz pęknąć. „Mój Boże, od jak dawna ten dzieciak nie śpi?" — pomyślała z przerażeniem Suzanne.

— Bardzo lubię Émilie — mówił dalej, nie zwracając uwagi na łzy spływające mu po policzkach. — A kiedy zobaczyłem ją dziś rano, zrozumiałem, że nie spała… Więc narysowałem go tam na wzgórzu, żeby to zauważył i zostawił ją w spokoju.

— Ale…

— Wiem, że pani mi nie wierzy — powiedział Fabien. — Tylko ci, którzy to widzieli, mogą zrozumieć.

— Dlaczego Chichotek i Krokiet?

Chłopiec chwycił wychowawczynię za ręce i spojrzał na nią, jak gdyby starał się zajrzeć w głąb jej duszy.

— Musimy zabić koty — powtórzył ostrożnie. — Tylko w ten sposób Erlkönig zostawi nas w spokoju.

— Jeszcze raz, proszę.

— Suzie, jesteś pewna, że… — zaoponował Victor.

— Tak, jestem pewna.

Kucharz ponownie napełnił szklaneczkę, a następnie odstawił butelkę. Oboje opierali się o blat. Za nimi piec pełen kawałków ciasta chlebowego mruczał, wydzielając uspokajający zapach. Dziesięć minut wcześniej Suzanne wpadła do kuchni i poprosiła o coś na wzmocnienie. Widząc niespokojne spojrzenie koleżanki, Victor natychmiast wyjął gruszkową brandy.

— Co się dzieje? Jesteś blada jak śmierć.

— Dwa kociaki nie żyją — powiedziała.

— Co?

— Chichotek i Krokiet. Fabien je zabił.

— Zabił? Ale dlaczego miałby to zrobić? — zdziwił się kucharz.

— Bo według niego w nocy przychodzi potwór, żeby skrzywdzić dzieci.

— Nie bardzo rozumiem — przyznał. — Powinnaś porozmawiać z Claude'em… albo z dyrektorem.

— Claude wie, zaprowadziłam Fabiena do gabinetu lekarskiego. Wstrzyknął mu środek uspokajający, żeby chłopiec mógł odpocząć. Nie zauważyłeś ostatnio w zachowaniu dzieci niczego dziwnego?

Victor patrzył przez chwilę na Suzanne. Czy wahania nastroju, które, jak sądził, widział u dzieci, ale które odrzucił jako własną fantazję, były rzeczywiste do tego stopnia, że zaalarmowały innych członków zespołu?

— Od kiedy są tu zwierzęta, to nie — odparł, tylko na wpół wierząc we własne słowa.

— A wcześniej?

„Wcześniej…" — powtórzył w duchu Victor. „Czyli kiedy? Zanim zauważyłem, że maluchy z mniejszą determinacją rzucają się na czekoladę? Zanim ich uśmiechy zniknęły jak pozbawione światła kwiaty? Zanim wmówiłem sobie, że to tylko moja wyobraźnia?"

— No cóż… To prawda, że dzieci wydawały się trochę przygaszone. Niektóre były trochę blade. Mniej też jadły; zauważyłem to, zmywając naczynia po posiłkach.

Suzanne długo się zastanawiała, zanim znów przemówiła. Przypomniała sobie przybycie dzieci. Ich zachmurzone twarze, uciekające spojrzenia, wyczuwalny strach, kiedy przeszły przez las, aby dotrzeć do miejsca, o którym nic nie wiedziały. Potem uśmiechy. Teraz te dzieciaki zdawały się iść w drugą stronę. Jakby czas się obracał. Jakby Król Olch ciągnął je do siebie, a one nie były w stanie walczyć.

— Victorze, znasz Króla Olch?

— Nigdy o nim nie słyszałem!

Wychowawczyni postanowiła więc przepytać dyskretnie wszystkie dzieci, których pokoje zostały udekorowane podobizną Erlköniga. Nie chciała niepokoić dyrektora, dopóki nie dowie się czegoś więcej. Wykorzystała kilka pretekstów, aby spotkać się z obozowiczami na parę

minut. Jedno po drugim dzieci mówiły jej to samo: koszmary, zmęczenie, rysunki. Najbardziej zaskoczył Suzanne fakt, że wszystkie znały legendę o Królu Olch. Zapewniły ją, że ta istota rzeczywiście nawiedziła je, gdy spały. Kolejny szczegół pojawił się, gdy poprosiła dzieci, by opowiedziały swoje sny. W niejasny sposób opisywały zegar lecący w powietrzu niczym latawiec unoszony przez wiatr.

Suzanne poszła odszukać Françoise, żeby sprawdzić, co z Émilie. Przyjaciółka siedziała na zewnątrz na kamiennym murku, obserwując dzieci bawiące się ze swoimi zwierzątkami w specjalnie stworzonym przez Maurice'a parku dla kotów. Był to po prostu wielki kurnik z drucianej siatki. Pośrodku rosło duże drzewo, na które kocięta zachęcane przez właścicieli próbowały się wspinać.

— Jak to znosi?

— Średnio. Obiecałam jej, że Simon przywiezie nowego kota. Dlaczego Fabien to zrobił? — zapytała Françoise.

— Nie wiem — skłamała Suzanne, biorąc od koleżanki papierosa.

— Suzanne?

— Tak?

— Co się dzieje?

— To znaczy?

— Nie wiem, po prostu mam wrażenie, że… to wszystko nie działa tak, jak powinno. Dzieci się zmieniły, ja też to zauważyłam. Owszem, może to z powodu izolacji. Ale czuję, że jest coś jeszcze.

— Pamiętasz swoją umowę o pracę?

— Pewnie, że pamiętam, Suzie.

— Przeczytałaś ją przed podpisaniem?

— Oczywiście! — krzyknęła Françoise. — Oferta była zbyt piękna, musiała budzić wątpliwości.

— Nic nie wydało ci się… dziwne?

— Poza faktem, że pracując tutaj, nie możemy mieć rodzin?

— Tak, a w dodatku…

— W dodatku musieliśmy obiecać, że bez pozwolenia dyrektora nie opuścimy wyspy, nawet w przypadku zamknięcia obozu.

— Dużo tych wymagań jak na jedną umowę, prawda? — zauważyła Suzanne.

— To bardzo dobrze płatna praca — podkreśliła Françoise. — Dom bez czynszu, karczma stale zaopatrzona w alkohol, życie wolne od plotek z przeszłości… Ale rzeczywiście, dużo wymagań…

— A nocna zmiana?

— Co z nią?

— Nigdy ich nie widujemy, tylko gdy przejmują służbę. Poza tym jednak nic o nich nie wiemy — stwierdziła Suzanne.

— Nie bez powodu! My pracujemy, oni odpoczywają. Oni pracują, my odpoczywamy. Trudno jest wypić razem drinka czy nawiązać rozmowę…

— Dwóch lekarzy — rozważała głośno. — Dwóch lekarzy wtedy, kiedy dzieci śpią, podczas gdy w ciągu dnia obecny jest tylko Claude.

— Tak, to prawda. Dyrektor też tam śpi, być może cierpi na chorobę wymagającą stałego czuwania — podsunęła Françoise.

— Znasz *Króla Olch*? — zapytała Suzanne, wydmuchując dym.

— Wiersz Goethego? Oczywiście! Cóż… Hmm… Znałam Niemca, muzyka… Uwielbiał ten wiersz.

— O czym jest?

— Zasadniczo o złym stworze, który żyje w lesie i zabija przechodzące tamtędy dzieci. Dlaczego pytasz? Spotkałaś go dziś rano? — próbowała żartować Françoise, rozgniatając niedopałek na kamieniu.

Mina przyjaciółki zniweczyła jej wysiłki.

— Suzanne, co się dzieje? Możesz mi powiedzieć, przecież wiesz.

— Nie mam pojęcia, Françoise, ale boję się.

19

SANDRINE LISTOPAD 1986

— Czyli nie mamy już wyboru…

Wszyscy pokiwali głowami w milczeniu.

Sandrine obserwowała ich, nie rozumiejąc, o co chodzi. Jak mogli zachowywać spokój? I co oznaczało to zdanie?

Victor wstał i podszedł do baru, gdzie zaczął przygotowywać napoje, jakby ktoś złożył zamówienie. Sandrine usiłowała znaleźć odpowiedź w oczach Paula, ale ten uparcie wpatrywał się w stół.

— Co to znaczy, że nie mamy już wyboru? — zapytała w końcu Claude'a.

— Wiele rzeczy, skarbie.

— A konkretnie? Trzeba znaleźć sposób na poinformowanie kontynentu! Cholera, wyobraźcie sobie, że Victor czy którykolwiek z was dostanie zawału! Musicie opuścić tę wyspę, wszyscy musimy opuścić tę wyspę! A jeśli duchy dzieci wam tego nie wybaczą, to trudno. Musimy wyjechać!

Sandrine nie mogła już tego znieść, była u kresu wytrzymałości. Czuła, że nadszedł czas, aby przywołać rozmowę zaczętą dzień wcześniej z Françoise.

— Czego się wszyscy boicie? Wczoraj Françoise mi powiedziała, że boicie się… tej istoty… Króla Olch… Mówiła też, że to on zabił Suzanne. A co jeśli… co jeśli na wyspie jest zabójca? I jeśli to były morderstwa?!

Wszyscy patrzyli na nią jak na obłąkaną, z mieszaniną niezdrowej ciekawości i strachu w oczach.

— To samobójstwa — oznajmił Maurice, który milczał do tej pory.

— Tak, samobójstwa. To po prostu… samobójstwa — potwierdził lekarz.

Trzej mężczyźni skinęli głowami, jakby to była ława przysięgłych zatwierdzająca wyrok. Z taką samą pewnością i ulgą.

— Nie… nie rozumiem…

— Widzisz… — ciągnął przyciszonym głosem Claude. Ta wyspa jest wyjątkowa. To nasze schronienie, nasza gwarancja bezpieczeństwa. A jeśli w schronieniu ukrywa się zbyt wiele osób, staje się ono bezużyteczne. Przyznaję, że to delikatna równowaga, ale tak jest. I musimy ją chronić.

— Chce pan powiedzieć, że pan je zabił, żeby… zachować bezpieczeństwo?

— Nie, to nie tak. Nikogo nie zabiliśmy. Françoise i Suzanne popełniły samobójstwo… żebyś była bezpieczna, opuściła tę wyspę i odzyskała wolność.

— Co?! Porąbało pana?! Żebym odzyskała wolność? O czym pan mówi?!

Głośne syczenie dochodzące z ekspresu do kawy sprawiło, że Sandrine podskoczyła. Rzuciła gniewne spojrzenie Victorowi, który stał za barem i podgrzewał zawartość naczynia ze stali nierdzewnej za pomocą dyszy do mleka. Claude cierpliwie poczekał, aż dźwięk ucichnie, po czym zapytał:

— Czy od przybycia na dworzec aż do dziś nie zauważyłaś niczego dziwnego?

— Czy to żart? Niczego dziwnego? Pan jest dziwny! Paul jest dziwny! Cholera! Tutaj wszystko jest dziwne! Uciekły nawet kolory krajobrazu! — krzyknęła Sandrine.

— Uspokój się, to jedyne wyjście. U notariusza Béguenau… — podsunął Claude kojącym głosem.

— U notariusza? Chodzi o jego zeza? O nieskazitelny wygląd jego biura? O niedziałający zegar?

— Którą godzinę pokazywał?

— Słucham?

— Zegar — sprecyzował Claude. — Wskazówki…

Sandrine wróciła pamięcią do spotkania z prawnikiem. Konieczność cofnięcia się w czasie i przemyślenia tych nieistotnych kwestii doprowadzała ją do szału. „Jeśli to żart, słono za to zapłacicie, dranie! Artykuł, który napiszę, zapewni wam podróż w jedną stronę do najbliższego szpitala psychiatrycznego…"

— Była ósma trzydzieści siedem! — przypomniała sobie. — No i?

— Nie, dwudziesta trzydzieści siedem — poprawił lekarz. — Ta godzina… nic ci nie mówi?

Młoda kobieta mimowolnie zastanowiła się nad jego pytaniem i przeraziła się, skojarzywszy inne niedawne wspomnienie.

— W blokhauzie — szepnęła. — Zegar nad zamkniętymi drzwiami… Też wskazywał dwudziestą trzydzieści siedem… Co to ma…

Nagle zamarła.

W jej pamięci pojawił się pewien szczegół.

Kolejny zegar…

Wstała z krzesła, nie zdając sobie z tego sprawy, jakby niewidzialne nici kierowały jej ruchami, jakby stała się zabawką losu, przed którym nie

mogła już uciec. Claude, Maurice i Paul obserwowali ją bez ruchu. Widzieli, jak kobieta podchodzi do kominka i szuka czegoś na wiszących na ścianie zdjęciach.

„Tam".

Zdjęcie klasy.

Dzieci odwrócone plecami.

Mapa Francji na ścianie…

…i zegar…

Dwudziesta trzydzieści siedem.

Zaczęła drżeć. Czuła, jak puszczają jej nerwy. Zacisnęła dłonie w pięści, aż paznokcie wbiły się w skórę, i zamknęła mocno powieki. Blizny ukryte pod bransoletą zapłonęły.

Victor dołączył do nich z tacą pełną kubków gorącej czekolady. Usiadł, podał każdemu napój i ponownie nalał Sandrine whisky.

— Co się dzieje o dwudziestej trzydzieści siedem? — zapytała, odwracając się do czterech mężczyzn.

— Chodź do nas, moje dziecko, wszystko ci wyjaśnimy.

20

SUZANNE 1949

Wydarzenia nabrały tempa dwa dni później.

Suzanne nie mogła spać. Za każdym razem, gdy próbowała zasnąć, wydawało jej się, że słyszy posępny gardłowy dźwięk dochodzący z lasu kilka kroków od jej domu. Najczęściej wstawała, siadała w salonie i włączała gramofon. Nastawiała swoją ulubioną płytę i śpiewała razem z Lucienne Boyer, podnosząc zasłony, by obserwować otoczenie.

Parlez-moi d'amour…

Ale łzy wciąż mieszały się z jej głosem.

Łzy żalu i strachu.

Dlaczego przyjęła tę pracę? Dlaczego porzuciła nadzieję na ponowne spotkanie z córką? Teraz była pewna, że na tej wyspie nie czeka jej nic oprócz szaleństwa.

Szaleństwo byłoby celem jej izolacji.

Nieuniknione jak burza, która grzmi w oddali i zbliża się zdecydowanie.

Równie niewzruszone i pewne jak niemieckie bombowce na atramentowym niebie paryskich nocy.

Ale Suzanne przeżyła. Przeszła i przetrwała zbyt wiele prób, by teraz się załamać.

Od rozmowy z dziećmi długo rozmyślała. Była pewna, że zegar, o którym mówili obozowicze, to ten na końcu korytarza prowadzącego do sypialni. Zresztą w blokhauzie znajdował się jeszcze tylko jeden zegar, ten w kuchni.

Poza tym nikt z dziennej zmiany nie wiedział, co się znajduje za zamkniętymi drzwiami. Dyrektor zakazał tam wstępu wszystkim pracownikom, twierdząc, że ta część budynku nie została jeszcze zabezpieczona.

Suzanne nie wiedziała, co tam odkryje.

Ale była pewna, że za tymi drzwiami znajdzie odpowiedzi na wiele pytań.

Że znajdzie tam coś, co uspokoi dzieci, jeśli chodzi o obecność Króla Olch i latającego zegara.

Przygotowała więc plan.

Ale żeby odnieść sukces, potrzebowała Françoise.

— Co mam zrobić?!

Françoise nie chciała krzyczeć, ale to, o co właśnie poprosiła przyjaciółka, tak ją zaskoczyło, że nie potrafiła powstrzymać zdziwienia. Wychowawczynie szły wzdłuż klifu, paląc papierosy i ciesząc się poranną przerwą.

— To tylko kilka minut, żebym mogła pójść do jego biura i zabrać klucz.

— Ale Suzanne, nie sądzisz, że to… niebezpieczne? Możesz stracić pracę z powodu zwykłych dziecięcych koszmarów!

Potężna fala uderzyła o skałę i rzuciła morską pianę kilka metrów od kobiet. Zignorowały drobne kropelki na skórze.

— Posłuchaj, wiem, że trudno to zrozumieć, ale Victor też zauważył w nich zmiany, podobnie jak my. A czyn Fabiena potwierdza, że one nie zachowują się normalnie. Do tego…

— Co, jest coś jeszcze? — spytała zmartwiona Françoise, zaciągając się papierosem.

— Rysunki. Sprawdziłam dziś rano. Są teraz w każdym pokoju. Wszystkie dzieci ktoś „odwiedził".

— A jeśli to tylko nieporozumienie? Nie wiem… Może chodzi o kogoś z nocnej zmiany, kto przyszedł do sypialni, by czuwać nad ich snem albo zgasić światło…

— Być może! Ale muszę to sprawdzić. Zajmie mi to około dziesięciu minut. Pożyczam klucz, otwieram drzwi, rzucam okiem i odkładam klucz na miejsce. Dziesięć minut — zapewniła Suzanne.

— Podczas których mam zająć dyrektora…

— Właśnie tak.

— Ale nie prosisz mnie, żebym…

— Nie, mój Boże, skądże! Zajmij go czymś innym, nie wiem, na przykład… Intruz! Powiedz mu, że widziałaś kogoś w lesie, jakiegoś mężczyznę, który obserwował cię, kiedy paliłaś papierosa. Wystarczy, żeby poszedł to sprawdzić.

— Ale Suzie…

— Proszę! Potem zostawię cię w spokoju i oszczędzę ci historii o koszmarach.

— Czemu nie zaczekasz, aż będzie miał lekcję z dziećmi? Miałabyś więcej niż godzinę… — zaproponowała bez większego przekonania Françoise, ponieważ determinacja przyjaciółki przerosła wszystko inne.

— Kiedy opuszcza biuro na dłużej, zawsze zamyka drzwi. Musi odejść w pośpiechu, bez zastanowienia — stwierdziła Suzanne.

— Ostrzegam cię: jeśli stracimy pracę, wracasz wpław!

Postanowiły zrealizować plan po obiedzie. Do tego czasu nie rozmawiały już o tym, skupiając się na wykonywaniu spoczywających na nich codziennych obowiązków w ciszy pełnej strachu i pytań.

* * *

Około czternastej trzydzieści dyrektor spokojnie palił cygaro, siedząc w swoim gabinecie i opracowując ostatnie szczegóły wycieczki na kontynent. Nagły krzyk dobiegający z kuchni sprawił, że zerwał się z krzesła. Nie zdążył wyjść z pomieszczenia, kiedy wbiegła Françoise.

— Ktoś jest na wyspie! Widziałam go! Miał broń!

— Co?!

— Proszę tam iść, szybko!

— Jest pani pewna? Nikt nie ma prawa tu przypływać…

— Widziałam go! Mój Boże, ależ się przeraziłam…

Françoise niewątpliwie minęła się z powołaniem. Jej umiejętności aktorskie nie pozostawiły wątpliwości. Dyrektor nie zamknął nawet drzwi ani nie zabrał cygara, które leżało w popielniczce jak wciąż dymiąca ruina świeżo zniszczonej pozycji wroga. Gdy tylko wyszli, Suzanne wślizgnęła się do biura, żeby wziąć klucz.

Szła energicznie korytarzem wzdłuż sypialni. Dzieci wystawiły głowy ze swoich pokojów i patrzyły na nią z zaciekawieniem, ale również, była o tym przekonana, z wdzięcznością. Kiedy dotarła do drzwi, wszystkie wyszły na korytarz i stanęły za nią, jak gdyby chciały ją zachęcić i wysłać jej ostatnią wiadomość.

Suzanne włożyła ogromny klucz do zamka.

Weszła do zakazanego miejsca, szukając włącznika i walcząc z kaszlem spowodowanym unoszącym się w pomieszczeniu silnym zapachem detergentu. Jej prawa ręka napotkała uchwyt włącznika i podniosła go. Jarzeniówki w korytarzu natychmiast zatrzeszczały z niezadowolenia i w końcu zalały ciemność bladym światłem. Suzanne dotarła do końca tunelu i znalazła się w pomieszczeniu o rozmiarach ich dużej sali. Ale tutaj żaden radosny fresk nie zakrył szarości ścian. Nie było też przyjaznego stołu na środku. Były tylko trzy łóżka na kółkach.

— Łóżka szpitalne — powiedziała Suzanne.

Oglądała przybory medyczne starannie poukładane w metalowych szafkach. Strzykawki, kroplówki, słoiki z krwią w dużej lodówce, paczki gazy, różne proszki i tabletki, sterylizator, morfina, elektrokardiograf…

Podeszła do dziwnego urządzenia elektrycznego z wieloma kablami wystającymi jak macki meduzy. Przeczytała metalową tabliczkę przyczepioną do obudowy: elektroencefalograf.

„Mój Boże, co to jest? Co oni robią z dziećmi?"

Suzanne się wzdrygnęła. Odsunęła się, mając świadomość, że nadszedł czas, aby opuścić to miejsce.

Wyjść stąd.

Odłożyć klucz.

Zażądać wyjaśnień.

Opuściła ciężki uchwyt włącznika prądu. Białe zasłony wiszące między szpitalnymi łóżkami zniknęły w ciemności i zamieniły się w widmowe kotary. Suzanne zamknęła za sobą stalowe drzwi, zamknęła zamek i się odwróciła.

Wtedy go ujrzała. Stał nieruchomo na końcu korytarza.

Dyrektor.

A raczej, jak domyśliła się teraz, Der Erlkönig.

— Proszę za mną, Suzanne. Oboje potrzebujemy wyjaśnień.

21

SANDRINE LISTOPAD 1986

— Dlaczego moja babcia sprowadziła mnie na tę wyspę?

— Żebyś mogła uciec.

— To nie ma sensu… — powiedziała Sandrine.

— Na razie nie. Ale wkrótce zrozumiesz.

— Kiedy? O dwudziestej trzydzieści siedem? Dzisiaj? Jutro? Za rok?

— Czas to pojęcie względne, Sandrine.

— Wiem, już to słyszałam. A więc Król Olch istnieje?

— Tak — potwierdził Claude.

— Dzieci z obozu letniego go widziały, prawda? Wy też?

— Zgadza się. To dlatego zginęły — wyjaśnił Maurice.

— Zdajecie sobie sprawę, że mówimy o istocie z wiersza, która miałaby stać się rzeczywista? Jest pan lekarzem, powinien pan kierować się logiką…

— Nazywaj go, jak chcesz: Erlkönigiem, straszydłem, diabłem lub żołnierzem SS… To przed nim chciały uciec dzieci, a teraz musisz uciec ty.

Sandrine poczuła mdłości. Migrena, która pojawiła się chwilę wcześniej, narastała jak potwór żerujący na niezrozumieniu. Bez względu na to, jak bardzo uważała to wszystko za szaleństwo, ostrzeżenie Françoise rozbrzmiewało w jej umyśle bez końca: „Ludzie chowają się za słowem

szaleństwo, kiedy nie mogą lub nie chcą stawić czoła dziwnej rzeczywistości. Nie popełnij tego błędu".

— Dobrze… W porządku. Załóżmy, że tak jest — zgodziła się, próbując zdobyć trochę czasu. — Więc jak mam uciec? Lazarusa tu nie ma, a Simon prawdopodobnie upija się rumem, tańcząc do szant!

— Simon nie żyje. Zostaliśmy tylko my — poinformował ją Claude.

— Nie żyje? Jak to?

— Zostało ci mało czasu, Sandrine. Spójrz na zegar — powiedział Victor.

Mimowolnie usłuchała. Ich słowa, jakkolwiek szalone, były dziwnie pocieszające. Część jej je odrzuciła, a część zaakceptowała. Sandrine odczytała na głos godzinę ze wskazówek zegara:

— Dziewiętnasta trzydzieści pięć.

— Więc masz trochę ponad godzinę — uściślił Maurice.

— Ale jak mogę opuścić wyspę, jeśli Simon nie żyje?

— Musisz nas zostawić, Sandrine, zapomnieć o nas — mruknął Paul. — Tak jak zapomniałaś o Suzanne. Po prostu zachowaj w sobie wspomnienie naszych głosów.

Jakby powtarzając jego radę, szafa grająca się włączyła, mimo że nikt się do niej nie zbliżał.

Parlez-moi d'amour, zaintonowała cichą litanię.

„Suzanne.

To była jej ulubiona płyta.

Dlaczego mam wrażenie, że słuchałam jej razem z nią?

Żaden obraz nie pojawił się w jej głowie. Raczej zapachy, doznania.

Aromat świeżo upieczonej szarlotki…

Pieszczota szorstkiej dłoni na moim policzku…

Sylwetka, która wstaje, by jeszcze raz włączyć gramofon…

Czy to możliwe?"

Kiedy Sandrine otworzyła oczy, na stole leżał metalowy klucz. Nie wiedziała, kto położył go na blacie. Ale w tym momencie uderzyła ją bladość czterech mężczyzn siedzących naprzeciwko niej.

— Co wam jest? Co się dzieje?

Maurice pierwszy upadł na ziemię. Jego krzesło wydało głuche stuknięcie, gdy dotknęło dywanu.

Redites-moi des choses tendres…

Potem upadł Claude. Zanim jego głowa uderzyła mocno o stół, Sandrine zdawało się, że lekarz się uśmiecha.

Victor miał czas, aby udzielić ostatniej rady, zanim przestał oddychać:

— Pośpiesz się.

— To dobrze, Sandrine, że pozwalasz nam odejść. To jedyne rozwiązanie… — wyszeptał z trudem Paul.

— Nie rozumiem…

— Ta izolacja nie jest twoim schronieniem, to twoje cierpienie. Uciekaj, szybko… Zapomnij o nas…

— Paul… Przykro mi…

— Jeśli spotkasz zabłąkanego kota, zabij go, Sandrine. To jedyny sposób, by na zawsze uciec przed Królem Olch…

Głowa Paula opadła pod własnym ciężarem na stół. Sandrine zdążyła zapobiec uderzeniu. Podtrzymała ją i czule ułożyła na drewnianym blacie.

Kobieta została tam przez kilka minut, płacząc i ostatni raz spoglądając na zwłoki dawnych mieszkańców. Zatruta czekolada rozlała się po stole i przesiąkła przez dywan jak krew z ziejącej rany.

Potem, kiedy skończyła się piosenka z szafy grającej, Sandrine chwyciła klucz i pobiegła w stronę blokhauzu.

22

SUZANNE 1949

— Eksperymenty.

Dyrektor wypowiedział to słowo bez wstępu, tak zwyczajnie, jak gdyby chodziło o leczenie. Zapalił cygaro, czekając na reakcję wychowawczyni.

— Eksperymenty? Na dzieciach?

— Zgadza się. Nie jesteśmy pierwsi ani ostatni, którzy to robią. Niemcy mieli swój program Lebensborn, podejrzewamy, że Amerykanie również chcieliby się włączyć w nasze badania.

— Sugeruje pan, że to państwo francuskie poprosiło…

— Nie, nie, nie dajmy się ponieść! Chociaż jestem przekonany, że zainteresowanie naszymi wynikami przyciągnie polityków.

— Ależ to jest okropne!

— Spokojnie, spokojnie, eksperymenty nie są bolesne, nie jestem potworem! — zapewnił dyrektor. — Po prostu badam zachowanie dzieci. Zbieram dane, sprawdzam tętno pod wpływem określonych bodźców. Korzystam z najbardziej wyszukanego dostępnego sprzętu. Widziała pani elektroencefalograf?

— Tak.

— To urządzenie może zapisywać fale mózgowe! Zmierzyć strach, radość, stres, zmęczenie! Dzięki temu cacku możemy ukonkretnić emocje,

zmaterializować je w postaci krzywych i zbadać!

— Czy to nie jest niebezpieczne dla dzieci? — zaniepokoiła się Suzanne.

— Ani trochę. Przez większość czasu śpią. Jeśli potrzebujemy ich współpracy, spokojnie je budzimy i wyjaśniamy, czego od nich oczekujemy. Uczestniczą bez najmniejszego sprzeciwu.

— Rodzice o tym wiedzą?

— Oczywiście! Wszyscy podpisali umowę — zaznaczył dyrektor. — Pani pytania są uzasadnione, ale powinna była pani przyjść i porozmawiać ze mną bezpośrednio. Pozwoliłoby to uniknąć nieco żenującego nieporozumienia.

— Dlaczego dzieci niczego nie pamiętają?

Patrzył na nią przez chwilę. „Ta kobieta nie odpuści" — pomyślał, wydmuchując dym. „Żadna z moich odpowiedzi jej nie zadowoli… Dobrze, że zastosowałem pewne środki ostrożności…"

— Jak już wspomniałem, śpią. — Uśmiechnął się, ukrywając irytację.

— Powinny się budzić, kiedy zabiera je pan z łóżek.

— Ach, pani jest bystra, zawsze to wiedziałem i dlatego panią zatrudniłem. Z szacunku dla pani pracy zdradzę pani mój sekret: dobrostan Wszechświata.

— Dobrostan Wszechświata?

— Tak, nie pamięta pani tej reklamy? „Czekolada Menier — dobrostan Wszechświata!"

— Nie. I nie rozumiem — powiedziała Suzanne.

— Czy zna pani Pervitin? To narkotyk używany przez wojsko. W czasie wojny państwo niemieckie dostarczało go swoim żołnierzom. I proszę zgadnąć, jak im go podawano? W czekoladzie. Sprytne, prawda?

Pozwoliłem sobie przejąć tę metodę: tuż przed snem przygotowujemy czekoladę. Zauważyła pani, że dzieci ją uwielbiają. Lekarze dodają do mleka środek uspokajający, a następnie wydają napoje.

— Pan je… narkotyzuje?

— Suzanne, przesadza pani! Dzieci mają się dobrze, zapewniam, mówię z doświadczenia. Tu chodzi raczej o analizę ich stanu zdrowia niż o cokolwiek innego.

— To pana nazywają Der Erlkönig.

— Naprawdę? Czuję się zarazem zaszczycony i zszokowany. Nie jestem potworem, dobrze pani o tym wie. No ale Goethe był geniuszem…

— Nie wierzę panu.

Tym razem dyrektor nie potrafił powstrzymać zniecierpliwienia. Powoli zgniótł cygaro w popielniczce, podkreślając znaczenie kolejnych słów.

— Czy pamięta pani umowę, którą pani podpisała? — spytał stanowczym głosem.

— Tak.

— Poza zobowiązaniem, by nigdy nie opuszczać wyspy bez mojej zgody, zgodziła się pani również nie ujawniać niczego na temat funkcjonowania obozu.

— Sądziłam, że ten punkt ma na celu walkę z potencjalną konkurencją, a nie milczenie na temat eksperymentów, które uważam za niebezpieczne dla zdrowia dzieci — oznajmiła, zdecydowana nie opuścić gabinetu bez obietnicy natychmiastowego zaprzestania tych działań.

— Czy pani córka powiadomiła panią, że niedawno urodziła dziewczynkę?

Suzanne otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Wpatrywała się w dyrektora, rozdarta między wstrętem a złością.

— Skąd… skąd…

— Jestem skrupulatnym człowiekiem. Przeprowadzono wywiady na wasz temat, abym był pewien, że mam kartę przetargową, na wypadek gdyby… ktoś stanął mi na drodze.

— Pan jest potworem!

— A poza tym… — kontynuował dyrektor niewzruszony. — Co według pani powiedziałaby policja, gdyby dowiedziała się, że po tej wyspie bezkarnie spaceruje była kolaborantka? Mowa oczywiście o kolaboracji… horyzontalnej, jeśli wie pani, co chcę powiedzieć.

— Françoise nie ma z tym nic wspólnego — odparła rozdrażniona wychowawczyni.

— To prawda, ale to jednak dziwne, że była jedyną osobą, która rzekomo widziała intruza dokładnie wtedy, gdy wkradała się pani do laboratorium…

Suzanne oddychała z trudem. Pytania kłębiły się w jej głowie. Czy naprawdę dyrektor im groził? Czy córka rzeczywiście urodziła, nie mówiąc jej o tym? Ogarnęło ją intensywne uczucie odizolowania. Nie tylko geograficznego czy fizycznego, ale także emocjonalnego.

Parlez-moi d'amour.

Chciała schronić się w swoim domu i zniszczyć gramofon, aby nigdy więcej nie usłyszeć tego czarującego zaklęcia. I uciec. Daleko. Bardzo daleko od siedzącego przed nią potwora.

— Dlaczego dzieci? — spytała jednak, tym samym pogrążając się głębiej w koszmarze całej sytuacji.

— Nie domyśliła się pani? Czy fakt, że używają na określenie mnie niemieckiego słowa, nie wzbudził w pani wątpliwości? To dzieci żołnierzy SS i Francuzek. Mieszanej krwi. Moim obowiązkiem jest zbadanie tego potomstwa i przekonanie się, czy gen zniszczenia odziedziczony po ojcach

może okazać się problemem w odbudowie naszego narodu. Proponuję pani układ.

— Układ?

— Obiecuję przerwać eksperymenty, ale pani obieca mi milczenie. Zebraliśmy wystarczająco dużo danych, aby przejść do etapu analizy.

— A moja córka?

— W tej sytuacji nie ma powodu, aby została o czymkolwiek poinformowana. Eksperymenty się kończą, pani wraca do pracy, Françoise zachowuje swoje włosy i dumę. Dobrostan Wszechświata.

— Nie pozwoli mi pan nigdy opuścić tego miejsca?

— Dziewczynka ma na imię Sandrine. Jest pięknym dzieckiem i ma się dobrze. Od pani zależy, czy tak będzie dalej.

Dyrektor poczekał, aż Suzanne wyjdzie z biura, i zapalił kolejne cygaro. Oczywiście, że ją okłamał. Ukrył pewne aspekty eksperymentów, których ta ciekawska kobieta nigdy by nie zaakceptowała. Nie był jednak pewien, czy pomimo ukrytej groźby w jego ostatnich słowach wychowawczyni zachowa treść rozmowy dla siebie. Co by się stało, gdyby Suzanne postanowiła zacząć mówić? Czy łzy, które zaczęły spływać jej po policzkach, zanim wyszła, były łzami buntu, czy uległości? Narastała w nim niepewność. Czy mógł sobie pozwolić na takie ryzyko?

Ta kobieta nie była jedynym problemem.

Dzieci.

To one ją zaalarmowały.

Poprzez swoje zmęczenie.

Koszmary.

Wspomnienia.

Mogły powtórzyć wszystko rodzicom.

— Króliki doświadczalne są zdeprawowane — szepnął dyrektor przez gęsty dym.

Bezużyteczne.

Niebezpieczne.

— Muszę znaleźć rozwiązanie.

23

SANDRINE LISTOPAD 1986

Sandrine biegła szybko, a pokrywa ciemnych chmur powoli opadała, dotykając wierzchołków najwyższych drzew.

Deszcz chłostał ją lodowatymi smugami, ale nie zwolniła, dopóki nie dotarła na skraj lasu. Zatrzymała się, by złapać oddech, zwracając udręczoną twarz ku niezadowolonemu niebu. Ruszyła szybkim krokiem naprzód i wreszcie zobaczyła betonowy dach blokhauzu.

Mijając stary plac zabaw, Sandrine dostrzegła kobiecą postać stojącą nieruchomo na krawędzi urwiska. Podniosła lewą rękę, aby osłonić oczy od deszczu i sprawdzić, czy to nie głaz o zwodniczych kształtach. Ale jej pierwsze wrażenie było słuszne: rzeczywiście ktoś tam stał, nieruchomo, twarzą do morza.

Sandrine podeszła ostrożnie. Starała się zasygnalizować swoją obecność, przywołując nieznajomą, ale nasilający się wiatr w połączeniu z rozbijającymi się o skały falami sprawił, że wszelkie próby spełzły na niczym.

Zawahała się, czy położyć dłoń na jej ramieniu, ale powstrzymała się w obawie, że efekt zaskoczenia spowoduje katastrofę, skoro krawędź klifu była tylko o metr dalej. Sandrine podeszła do kobiety z prawej strony.

— Proszę pani! — krzyknęła z całych sił pośród panującego hałasu.

Nie mogła wypowiedzieć innych słów. Ani nawet wykonać najmniejszego ruchu. Doskonale wiedziała, że to, co widzi, jest niemożliwe.

A jednak to była Suzanne. Wpatrywała się w ocean.

Sandrine patrzyła na babcię, która nie dawała żadnych oznak życia. Stała wyprostowana z nieruchomym wzrokiem, a jej włosy tańczyły na wietrze jak strzępy podartej sukienki.

Dziennikarka spojrzała w kierunku oceanu, próbując dostrzec to, co przyciągało uwagę staruszki, ale zobaczyła tylko wzburzone fale rozdzierające powierzchnię wody. Przeniosła więc wzrok na popielatą twarz Suzanne i czekała na znak, gest, który usprawiedliwiłby przebywanie obok postaci, która była bez wątpienia tylko wytworem wyobraźni.

— Muszę już iść — odezwała się. — Ty nie istniejesz. Nie wiem, dlaczego cię widzę, ale nie jesteś prawdziwa. Nie wiem, czy wariuję, ale nie mam już czasu o tobie myśleć… Muszę się schronić gdzie indziej…

Odwróciła się, żeby pobiec do blokhauzu, ale jej babcia lekko skinęła brodą, nakazując jej spojrzeć w morze.

Wtedy ich zobaczyła.

W lodowatej wzburzonej wodzie.

Statek tonął bardzo szybko, połowa kadłuba była już zanurzona.

Dzieci walczyły między falami, usiłując utrzymać głowy nad wodą, wykrzykując słowa, które strach i śmierć czyniły niezrozumiałymi. Jedyni dwaj dorośli na pokładzie, ubrani w pomarańczowe kamizelki ratunkowe, wskoczyli do wody i popłynęli prosto na skały, ignorując rozpaczliwą sytuację tonących. Gdy byli już bezpieczni, wspięli się na półkę skalną, skąd dotarli na brzeg. Minęli Sandrine, nie widząc jej, jakby ona również zamieniła się w ducha, i zniknęli w lesie.

Młoda kobieta słyszała je wszystkie. Wiatr i fale ucichły. Gałęzie przestały o siebie ocierać. Jakby sama wyspa chciała w pełni nacieszyć się tym spektaklem. Sandrine słyszała ich coraz bardziej zmęczone krzyki. Chrzęst czaszek uderzających o ostre skały. Żałosne jęki. Klaskanie rąk próbujących odpychać wodę, jak gdyby to był jakiś stały materiał, od którego można się odepchnąć. Ostatnie gniewne i zrezygnowane głosy. Walka o życie ucichła, gdy ciała zapadły się w otchłań.

Potem nie było już niczego.

Żadnego statku.

Żadnych dzieci.

Suzanne również zniknęła.

Została tylko Sandrine.

„Oto co się stało… Dzieci zostały złożone w ofierze… Więc to jest tajemnica wyspy…"

Upadła na błotnistą ziemię i uderzyła w nią pięściami.

— Poświęcone dla dobra wyspy… dla tej pieprzonej wyspy! — krzyknęła, przeklinając tę skałę leżącą daleko od wybrzeża.

Stała tak przez kilka minut, opłakując los dzieci i zaciskając pięści ze złości. Potem otworzyła prawą rękę. Duży klucz wciąż tam był.

Sandrine zebrała resztki sił, by pobiec do blokhauzu. Szła korytarzem, przeszła przez wielką salę, w której niegdyś dzieci były szczęśliwe, zaczęła jeszcze bardziej płakać, gdy przechodziła obok pokoi torturowanych istotek.

Trzęsła się tak bardzo, że musiała próbować dwa razy, zanim udało jej się włożyć klucz do zamka. Nie odważyła się spojrzeć w kierunku wiszącego nad nią zegara.

W końcu pchnęła zakazane drzwi.

I weszła do pomieszczenia.

DRUGI ZNAK NAWIGACYJNY

KRÓL OLCH

Du liebes Kind, komm, geh mit mir!
Gar schöne Spiele spiel' ich mit dir!

JOHANN WOLFGANG GOETHE, ERLKÖNIG

* * *

„Kochane dziecię, pójdź ze mną, pójdź,
Cudnie pobawię, lecz ojca rzuć".

JOHANN WOLFGANG GOETHE, KRÓL OLCH

1

LISTOPAD 1986

Dzwonek telefonu obudził go o siódmej czterdzieści.

Za wcześnie. Dwie godziny przed czasem.

Damien jęknął i przeciągnął się, czekając, aż dzwonek ucichnie. Ale gdy tylko telefon zamilkł, rozdzwonił się znowu, z jeszcze większą determinacją.

— Cholera — szepnął inspektor, wstając niechętnie. — Mam wolne i nie mogę się wyspać…

Poszedł do salonu, spojrzał z czułością na oprawione zdjęcie córki (jedyne w mieszkaniu: Mélanie stojąca dumnie w nowych czerwonych trampkach z różowymi sznurowadłami przed bramą gimnazjum) i podniósł słuchawkę.

— Halo, szefie?

„Cholera — pomyślał Damien, rozpoznając głos kolegi. — Czyli na pewno nici ze spania…".

— Tak, Antoine.

— Szefie, mamy problem w komisariacie.

— I domyślam się, że ten problem jest wystarczająco ważny, żeby wyciągać mnie z łóżka, kiedy mam wolne…

— Tak sądzę — potwierdził Antoine.

— Co się dzieje?

— Na plaży znaleziono młodą kobietę.

— Hm, zapewne jakaś imprezowiczka zagubiona po zbyt zakrapianej nocy… Co jeszcze?

— Cóż… wypowiada się dość niespójnie.

— Zabierzcie ją do komisariatu i poczekajcie, aż wytrzeźwieje.

— To nie takie proste, szefie. Twierdzi, że przybyła z pobliskiej wyspy. A w jej organizmie nie ma ani śladu alkoholu.

— Jak to? — zaniepokoił się nagle Damien, gdy dotarła do niego powaga tchnąca ze słów Antoine'a.

— Byłoby lepiej, gdyby pan przyszedł. Nie jest łatwo wyjaśnić to przez telefon.

— O czym ty mówisz, do diabła?

— Ona… jest cała we krwi i ciągle powtarza, że dzieci zostały zabite.

— We krwi?

— Tak, cała we krwi.

— Gdzie jest teraz?

— W szpitalu. Była w szoku, lekarz podał jej środek uspokajający, żeby mogła odpocząć — wyjaśnił Antoine.

— Kto ją znalazł? — spytał Damien. Jego mózg był już w pełni przytomny.

— Biegacz. Jest w komisariacie, żeby dokończyć składanie zeznań. To on wezwał pomoc. Szefie, przepraszam, ale nie wiem, co robić…

— Okej, gdzie jesteś ty?

— Też w szpitalu.

— Dobrze. Zostań tam, na wypadek gdyby się obudziła. I jak najszybciej prześlij mi faksem raport przyjęcia na ostry dyżur. Idę do

komisariatu, żeby pogadać z tym biegaczem.

— Szefie…

— Tak?

— Przepraszam, że zakłócam panu urlop.

Damien odłożył słuchawkę i przez chwilę stał nieruchomo. Kobieta cała we krwi? Wyspa? Zabite dzieci? Trudno było mu uwierzyć w to, że ta rozmowa naprawdę się odbyła. Villers-sur-Mer to małe miasteczko liczące zaledwie dwa tysiące mieszkańców i całkowicie pozbawione jakichkolwiek zbrodniczych ambicji. W ciągu trzech lat, odkąd tu pracował, jedynymi godnymi uwagi wydarzeniami były hałaśliwe nocne kąpiele i okradanie skrzynek pocztowych. Zresztą ze względu na brak jakichkolwiek cięższych przestępstw komisariat policji miano zamknąć, w celu, jak to się mówi w żargonie politycznym, koncentracji sił w kluczowych sektorach.

Inspektor wziął szybki prysznic, włożył dżinsy i bluzę (przecież ma dziś wolne) i zadzwonił, żeby się dowiedzieć, czy są jakieś nowe informacje w sprawie jego córki. Żadna tragedia nie mogłaby go odciągnąć od tego niezmiennego rytuału. Na początku każdego miesiąca dzwonił setki kilometrów dalej i natychmiast odpowiadał mu głos, zawsze równie przejęty, tak jakby ta rozmowa była równie ważna dla obu stron.

— Halo?

— Patrice?

— Cześć, Damien.

— Coś nowego?

— Nie, nadal nic.

— Trudno, może niedługo.

I to tyle.

Identyczny dialog powtarzany od trzech lat aż do znudzenia. Zdania zredukowane do minimum, ale wciąż istotne, niczym koncentrat nadziei i rozczarowania zawarty w tej ograniczonej liczbie słów.

Piętnaście minut później Damien zaparkował przed komisariatem. Powitał dyżurnego, który podał mu zeznanie biegacza, i wszedł do swojego biura, gdzie siedział świadek.

— Dziękuję, że pan poczekał.

— Nie ma za co. Mój szef pomyślał, że to żart, kiedy powiedziałem mu, że jestem w komisariacie. Nie lubi spóźnień.

— Skontaktujemy się z nim, żeby potwierdzić pana dobrą wolę — zapewnił go Damien, czytając zeznanie, które mężczyzna złożył godzinę wcześniej. — Proszę mi opowiedzieć szczegółowo, jak pan znalazł tę kobietę na plaży.

— Jak już mówiłem pańskiemu koledze, biegam w każdy poniedziałek rano. Głównie po to, by pozbyć się pozostałości po weekendzie. I właśnie na tej plaży, kilka kroków od końca trasy, ją zobaczyłem.

— Dlaczego zwrócił pan na nią uwagę?

— Och, wie pan, o tej porze w listopadzie spaceruje niewiele osób… A poza tym zauważyłem jej chód. Niezborny, trochę jak u pijanego. Skręciłem, żeby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku, i wtedy zobaczyłem, że jej ubranie jest nasączone ciemnym płynem. Nie od razu pojąłem, że to krew.

— Co pan wtedy pomyślał?

— Że jest ranna. Bałem się o nią. Wie pan, czułem się jak w tym horrorze… Cholera, jaki to był tytuł? Proszę mi podpowiedzieć: na końcu drogą idzie młoda kobieta, jej sukienka jest cała we krwi…

— Nie kojarzę — odparł wymijająco Damien, który nie był miłośnikiem kina.

— Chwileczkę… proszę poczekać… mam to na końcu języka… Carrie!

— Nie znam. Co zrobił pan potem?

— Zapytałem, czy jest ranna. Ale tak naprawdę mi nie odpowiedziała. Powtarzała tylko wyrazy, które nie miały sensu: wyspa, dzieci, król drzew…

— Król faunów?

— Tak — potwierdził biegacz. — To właśnie zrozumiałem. Powiedziałem, żeby nigdzie się nie ruszała, i pobiegłem do baru, który właśnie otwierano. Właściciel pozwolił mi wezwać pomoc. Kiedy wróciłem, kobieta siedziała na piasku, a z jej ust wydobywały się te same słowa. Koniec historii.

— Miał pan dobry odruch.

— Czy… czy wszystko z nią w porządku?

— Jest na środkach uspokajających. Musi odpocząć, ale mimo wszystko bardzo jej pan pomógł.

— Do diabła, nigdy nie myślałem, że zobaczę coś takiego tutaj, w Villers!

— Ja też nie.

Przez resztę poranka inspektor przeglądał ostatnie doniesienia o zaginięciach, o których informowały się wzajemnie policja i żandarmeria w regionie. Żaden opis nie pasował do przefaksowanego przez Antoine'a raportu przyjęcia do szpitala. Następnie Damien zatelefonował do wszystkich placówek psychiatrycznych, aby sprawdzić, czy nie zaginęła jakaś pacjentka. Ale znowu brak tropu. Nie odniósł również większych sukcesów z 3611, elektroniczną usługą katalogową dostępną na Minitelu[5]. Kiedy wpisał imię i nazwisko zapisane w szpitalnym dokumencie — Sandrine Vaudrier — pojawiło się około dziesięciu adresów i numerów

telefonów, przeważnie paryskich. Zadzwonił do wszystkich tych kobiet, ale za każdym razem odpowiadał mu kobiecy głos potwierdzający swoją tożsamość. Nikogo o tym nazwisku nie brakowało.

Następnie Damien skontaktował się z urzędem skarbowym w Caen, na wypadek gdyby jakaś Sandrine Vaudrier odmówiła umieszczenia jej w spisie. Ale znowu żadnego śladu.

Inspektor nawiązał też łączność z brygadą morską, aby zapytać o możliwe awarie w nocy. Ponownie odpowiedziano mu przecząco. W listopadzie niewiele osób odważało się zmierzyć z zimnem i kapryśnymi prądami, aby odwiedzić przybrzeżne wyspy. Czyli ta kobieta była prawdopodobnie Wenus Anadyomene, która w tajemniczy sposób wyłoniła się z fal.

Dopiero około czternastej w końcu odebrał wyczekiwany telefon ze szpitala.

Sandrine właśnie się obudziła.

---

[5] Minitel — system wideotekstowy działający w trybie online i dostępny za pośrednictwem linii telefonicznych. Został wprowadzony we Francji w 1982 roku przez France Télécom oraz La Poste.

2

— Halo!

— Patrice?

— Cześć, Damien.

— Coś nowego?

— Nie, nadal nic.

— Trudno, może niedługo.

Patrice Fleurier, komisarz z Saint-Amand-Montrond, milczał przez kilka minut. Każdy telefon od przyjaciela i byłego kolegi pozostawiał go z cierpkim i nieprzyjemnym posmakiem niesprawiedliwości. Pracowali razem przez kilkanaście lat, od razu zawiązała się między nimi przyjaźń. Gdyby jednak minąć ich na ulicy, można by pomyśleć, że tych dwóch młodych absolwentów akademii policyjnej różniło się wszystkim. Patrice był krzepkim, krępym mężczyzną z szeroką szyją. Mówił nerwowo, szybkimi zdaniami, które rzadko dawały drugiej stronie szansę na odpowiedź. Damien nadał mu przydomek „Bucefał", na cześć słynnego konia Aleksandra Wielkiego. On sam z kolei był typem flegmatyka. Jego smukła sylwetka sprawiała wrażenie, jakby poruszał się powoli, co było widoczne jeszcze bardziej, gdy dwaj policjanci szli obok siebie. Niewiele się odzywał, a jego zdania pozbawione bezużytecznych słów bardzo często trafiały w samo sedno. Kolega początkowo myślał o nadaniu mu przydomku „Snajper". Ale to zniweczyłoby prestiż jego własnego przezwiska. Nazwał więc Damiena „Astronautą", ponieważ jego ruchy

bardzo przypominały Patrice'owi człowieka kroczącego po powierzchni Księżyca i bawiącego się zmniejszoną grawitacją.

Tak oto Bucefał i Astronauta rozwijali swoją przyjaźń w stolicy regionu Boischaut i okolicznych barach, kiedy nie pełnili służby. Przeczesywali targi winiarskie w regionie — Sancerre, Menetou-Salon, Châteaumeillant — aby poznać lokalną kulturę (za każdym razem, gdy byli wzywani do interwencji, ofiara otwierała butelkę wina, zanim zaczęła składać jakiekolwiek zeznania), jak również w tajemniczej nadziei na poznanie miejscowej wiedźmy, która byłaby zdolna ich odurzyć bez kropli wina ze szczepu sauvignon czy gamay.

Wkrótce po przeprowadzce Damien poznał Lindę. Bucefał patrzył na tę relację z życzliwością i dumą — narodziła się częściowo dzięki niemu. Jego energiczne błagania pomogły przezwyciężyć nieśmiałość młodej kobiety, która zrobiła pierwszy krok w stronę mężczyzny siedzącego kilka metrów dalej na tarasie przy placu Carrée.

Pobrali się dwa lata później w piękny letni dzień. Po raz pierwszy, odkąd Damien go znał, Patrice, któremu powierzono funkcję świadka, jąkał się podczas swojego przemówienia. Jego słowa zdawały się wahać przed odzyskaniem wolności, jakby przygniecione nieszczęściem, którego nikt nie mógł w tej chwili odgadnąć. Wówczas przypisywał to radości z powodu odkrycia, że brzuch Lindy jest zaokrąglony na tyle, że Patrice może się ubiegać również o rolę ojca chrzestnego.

Mélanie urodziła się kilka miesięcy później.

Mélanie zniknęła kilkanaście lat później.

Pewnego zimowego wieczoru, szarego i mglistego.

W drodze z gimnazjum, do którego właśnie zaczęła chodzić.

Około osiemnastej Linda zaniepokoiła się, że córka jeszcze nie wróciła do domu. Skontaktowała się z jej przyjaciółmi, ale od zakończenia zajęć nikt nie widział Mélanie. Damien przebywał w Paryżu na tygodniowym szkoleniu. O dwudziestej wciąż nie było żadnych wiadomości, Linda zadzwoniła więc do Patrice'a. Natychmiast wysłał patrol, aby przeczesał miasto, podczas gdy inni funkcjonariusze przepytywali osoby, które jako ostatnie rozmawiały z dziewczynką. Damien wrócił w nocy i sam przeszukiwał ulice.

Tydzień później nadal nie było ani śladu Mélanie.

Na okolicznych polach urządzano poszukiwania, do których zgłosiła się zdecydowana większość ludności.

Kanał Saint-Amandois został przeszukany, jak również rzeki Cher i Marmande.

Sprawdzono odcinek kanałów miejskich od kamiennego mostu do starego cmentarza. Nastolatki siadywały przy wejściu do tego kanału, by pić alkohol, zwłaszcza latem, kiedy temperatura płynącej przed nimi Marmande pozwalała schłodzić skradzione z garaży piwa.

Ruiny fortecy Montrond również nie przyniosły odpowiedzi.

Tak więc po dwóch miesiącach bezowocnych dociekań pojawiły się pewne odruchy odziedziczone po minionych stuleciach i mocno zakotwiczone w krainie Berry.

Zaczęto mówić o czarach.

O czarnej magii.

O likantropii i wilkołakach.

O mężczyznach lub kobietach, oddających się diabłu i przywdziewających o zmroku białe prześcieradła.

O kultach satanistycznych i dziewiczej krwi.

O cmentarzu zbezczeszczonym, by wybudować obecny centralny plac miasta — plac Carrée — i o duchach żądnych zemsty.

Jasnowidzki, tak liczne w Berry, zaczęły mieć wizje.

Jedna z nich skierowała policję w stronę Mers-sur-Indre, miejsca, w którym znajduje się opisywany przez George Sand diabelski staw. Ale policja nie odkryła żadnego ciała, tylko stojącą wodę i kijanki zaskoczone tak wielką uwagą.

W końcu ani w sposób nadprzyrodzony, ani racjonalny nie udało się znaleźć Mélanie.

Jej zniknięcie stało się zagadką w zagadkowym regionie.

Dochodzenie straciło pęd w zawiłych zwrotach akcji, wprowadzających w błąd stwierdzeniach, fałszywych tropach i wykładniczych prawdopodobieństwach. Krąg poszukiwań rozszerzył się na sąsiednie departamenty, ale nigdy nie wyszedł poza region. Lokalna prasa starała się utrzymać zainteresowanie opinii publicznej, regularnie publikując artykuły, w których twarz Mélanie była wydrukowana w naturalnym rozmiarze. Ale ogłoszenia przyklejone na oknach sklepów w centrum miasta wyblakły, zanim ktokolwiek znalazł winnego zaginięcia dziewczynki. Sąd zamknął sprawę zaledwie dwa lata po tym, jak Mélanie ostatni raz przeszła przez bramę swojego gimnazjum. Jej wspomnienie znika, ulotne i samotne jak błędny ognik na cmentarzu w Berry.

Bucefał widział, jak przyjacielowi kończy się tlen. Zdał sobie sprawę, że Astronauta nie może wrócić na Ziemię, ale musi oddalić się od niej trochę bardziej, aby uniknąć uduszenia. Damien poprosił o przeniesienie. Jego żona uznała to za porzucenie jej i pamięci ich córki. Opuścił region, pozostawiając plakaty o zaginięciu wciąż widoczne na ulicach miasta.

Przybył sam do Villers-sur-Mer.

Wciąż miał nadzieję i dzwonił do Patrice'a.

Ale z biegiem czasu jego wiara zmieniła się w zwykły odruch pozbawiony złudzeń.

Mélanie nie żyła, był tego pewien, a jej ciało niewątpliwie zostało ukryte w niedostępnym miejscu. To bolesne stwierdzenie było ucieczką przed szaleństwem. Wokół wspomnień o córce budował mury rezygnacji, zza których wychodził tylko po to, by na początku każdego miesiąca zadzwonić do dawnego kolegi.

Potem wracał do swojego schronienia, żeby się nie rozsypać.

3

Damien przybył do szpitala z niezłomnym przekonaniem: „Ta historia nie może być prawdziwa. Nie tutaj".

Wszedł do holu, gdzie natychmiast został przywitany przez Antoine'a i jego tradycyjne:

— Dzień dobry, szefie!

Kiedyś Damien spytał, dlaczego Antoine zwraca się do niego w ten sposób. Tamten odpowiedział: „To brzmi dobrze" i wspomniał o filmie, którego inspektor oczywiście nie widział, a którego akcja toczyła się w małym amerykańskim nadmorskim miasteczku podobnym do Villers. Następnego dnia Damien udał się do wideoteki, aby wypożyczyć Szczęki i zweryfikować przesłanki takiego twierdzenia. Musiał przyznać, że rzeczywiście, brzmiało to dobrze. Od tego czasu pozwolił koledze używać tego terminu z pewną hollywoodzką dumą.

— Jest przytomna? — zapytał, idąc za Antoine'em do windy.

— Tak, szefie.

— Rozmawiałeś z nią?

— Tylko wtedy na plaży. Psychiatra nalegała na spotkanie z głównym śledczym.

— Psychiatra?

— Tak. Chce się z panem zobaczyć, zanim pozwoli nam przesłuchać ofiarę.

— Dlaczego? — zdziwił się inspektor.

— Jako jedyna rozmawiała z nią po tym, jak lekarze zrobili jej masę badań. Najwyraźniej spędziły razem trochę czasu, zanim dziewczynie wstrzyknięto środek uspokajający. Musi mieć jakieś informacje, ponieważ bardzo chciała porozmawiać z panem.

Obaj mężczyźni udali się na trzecie piętro szpitala, gdzie sekretarka kazała im czekać na przybycie specjalistki.

— Jak ona wygląda? — zapytał Damien, wpatrując się w podłogę.

— Ofiara?

— Nie, psychiatra. Stara w okularach?

— Niezupełnie, raczej na odwrót: młoda, całkiem ładna, wygląda, jakby właśnie skończyła studia. Na pewno nie jest stąd, nigdy jej nie widziałem.

Damien przypomniał sobie jedyną psychiatrę, jaką miał nieszczęście spotkać. Woskowa cera i krótkie sztywne siwe włosy nadawały jej wygląd posągu, który wyłonił się z depozytorium muzealnego. Słowa tak zwanej specjalistki były zaś niczym innym jak niezrozumiałym bełkotem, radami pozbawionymi współczucia, poznanymi lata temu regułkami przesiąkniętymi sceptycyzmem i chęcią jak najszybszego zakończenia sesji.

Zaledwie pięć minut później pojawiła się młoda kobieta w białym fartuchu. Damien musiał przyznać, że Antoine doskonale ją opisał. Miała blond włosy związane w kucyk i przywitała policjantów energicznym uśmiechem, po czym poprosiła ich, by poszli za nią.

— Mój gabinet jest tam. — Wskazała korytarz przy recepcji. — Och, przepraszam — dodała, odwracając się i wyciągając prawą rękę. — Nazywam się Véronique Burel, należę do zespołu szpitalnych psychiatrów.

Przedstawiwszy się, mężczyźni zajęli miejsca i skierowali wzrok na delikatną postać pani („panny" — pomyślał Damien) Burel obchodzącej biurko, by usiąść z drugiej strony.

— Chciałam się z wami zobaczyć, zanim pójdziecie do pani Vaudrier — powiedziała. — Jeśli oczywiście to jej prawdziwe nazwisko.

Jej precyzyjne pospieszne słowa świadczyły o zwyczaju szybkiego wyciągania wniosków i oddzielania zbędnych faktów.

— Rozmawiałam z nią dziś rano — kontynuowała. — Stwierdzenie, że jej historia wydaje się niespójna, byłoby eufemizmem.

— Całkowicie pani wierzę — wtrącił Antoine, który słyszał na plaży, jak ofiara przedstawiała swoją nieprawdopodobną opowieść.

— A więc kłamie — orzekł Damien.

— To… to nie takie proste, inspektorze.

„Nie, to nigdy nie jest proste…" Damien powstrzymał się przed dodaniem tych słów, myśląc o tym, jak skrócił swoje sesje z psychiatrą: trzasnął drzwiami gabinetu po tym, jak rzucił jej w twarz, że wszystkie te bzdury nigdy nie przywrócą mu Mélanie.

— Ta młoda kobieta cierpi na kilka zaburzeń, które mają jedną wspólną cechę: są związane z traumatycznym doświadczeniem. Ostry stres, amnezja dysocjacyjna, częściowa utrata pamięci…

— Więc sądzi pani, że ta kobieta została napadnięta? — podsumował Antoine, nie dając jej dokończyć.

— To rzeczywiście moje pierwsze wrażenie. Oto wyniki badań krwi z jej ubrania — oznajmiła lekarka, przesuwając teczkę w stronę policjantów. — Właśnie je dostałam. Krew nie należy do niej. Pani Vaudrier nie ma żadnych widocznych obrażeń poza skaleczeniami po wewnętrznej stronie lewego nadgarstka.

— Ślady… gwałtu? — zapytał Damien z trudem.

— Przeprowadzono badania, ale nie mam jeszcze wyników.

— Jeśli nie ma śladów napaści ani gwałtu, przynajmniej z tego, co wiemy do tej pory, to z czego pani wnioskuje, że u tej kobiety występują

jakieś zaburzenia?

— Dokładniej to zespół stresu pourazowego — uściśliła Véronique. — To są łatwo rozpoznawalne dolegliwości, inspektorze. Wystarczyło, że ją wysłuchałam i poobserwowałam. Na tej podstawie sporządziłam listę, choć jeszcze niepełną.

— Chciałbym pani wierzyć — stwierdził Damien. — Ale wolałbym wyrazić własną opinię, przesłuchując ofiarę. Jeśli ma na sobie krew, która nie należy do niej, oznacza to, że gdzieś jest ranny, a moim priorytetem jest jego odnalezienie, ponieważ tej młodej kobiecie w tej chwili nie zagraża niebezpieczeństwo.

— Rozumiem. Natomiast moim priorytetem jest odkrycie, dlaczego ta młoda kobieta pamięta tylko swoją podróż na tajemniczą wyspę. Dzięki temu znajdziemy odpowiedzi na nasze pytania, ponieważ w tym momencie nie mamy dalszych wskazówek co do faktów. I z pewnością, podobnie jak mnie, zaintrygują pana jej zeznania.

Véronique Burel otworzyła szufladę, wyjęła magnetofon i postawiła go na biurku przed policjantami.

— Nagrała je pani? — zdziwił się inspektor.

— Oczywiście — odpowiedziała, wkładając kasetę. — Naturalnie za jej zgodą. To standardowa praktyka w naszej dziedzinie. Czasami szczegóły wychodzą na jaw dopiero po kilkukrotnym przesłuchaniu. Proponuję zapoznać się z zawartością tej taśmy, a potem porozmawiamy jeszcze o zespole stresu pourazowego. Upewnię się tylko: to panowie prowadzą śledztwo, prawda? Nie mogę udostępniać tego nagrania osobom postronnym.

Antoine posłał szefowi pytające spojrzenie. Jako inspektor Damien przyjmował polecenia bezpośrednio od komisarza, który, gdyby został poinformowany rano o tej sprawie, poprosiłby Damiena o jej jak najszybsze

załatwienie. I nic więcej. W żadnym momencie w strukturze dowodzenia nie wspomniano by o jego podwładnym.

Antoine natychmiast dostrzegł zmieszanie w oczach przełożonego i wstał z krzesła. Na razie nie trzeba ryzykować błędu proceduralnego ani niezadowolenia komisarza… Niemal z ulgą wyszedł z pokoju. Widział ofiarę na plaży. Krew. Cierpienie. Przerażenie, jakby gdzieś pod piaskiem czaił się groźny cień, gotowy ją pogrzebać. Misją policjanta było zabranie kobiety i odwiezienie jej do szpitala. Ale w głębi duszy marzył tylko o tym, żeby schronić się w komisariacie i udawać, że to normalny dzień: bez Carrie White, bez króla drzew, bez zamordowanych dzieci.

Psychiatra odczekała, aż Antoine opuści pokój i zamknie drzwi. Potem wcisnęła PLAY.

Damien usłyszał, jak Sandrine delikatnym drżącym głosem rozpoczyna opowieść.

4

Kiedy Véronique Burel wyłączyła magnetofon, inspektor długo milczał. W nadziei na odpowiedzi wpatrywał się w urządzenie, jakby racjonalne wyjaśnienia mogły pojawić się magicznie niczym biały królik wyciągnięty z cylindra. Damien znał ten region na tyle dobrze, by wiedzieć, że na żadnej wyspie nie było takiego „obozu letniego" jak ten opisany przez Sandrine.

Na wyspie Alderney istniały obozy koncentracyjne, na wyspie Jersey sierociniec, ale żadne miejsce nie pasowało do opisu nagranego na taśmie. Ponadto morze nigdy nie wyrzuciło na plażach w regionie ciała dziecka. Gdyby nagle któregoś dnia z fal wyłoniło się kilkanaście zwłok, ich ślady pozostałyby w archiwach policji lub w zbiorowej pamięci. A ta legenda o Królu Olch? Co z nią? Był to wiersz, na który mógł się natknąć podczas nauki każdy uczeń. Bez wątpienia Sandrine włączyła go do swojej historii, aby uczynić całość jeszcze bardziej surrealistyczną i nadać swemu szaleństwu pozory mitologii.

— Wiem, o czym pan myśli — powiedziała Véronique. — Sądzi pan, że ta kobieta jest szalona.

— Zgadza się — przyznał Damien, prostując się na krześle. — To jedyna hipoteza, jaka przychodzi mi do głowy!

— Przypuszczam, że zadzwonił już pan do wszystkich ośrodków psychiatrycznych — dodała z figlarnym błyskiem w oczach.

— W rzeczy samej — potwierdził inspektor.

— I żaden z nich nie zgłosił nieobecności ani ucieczki pacjentki?

— Żaden. Ale szaleństwo nie zawsze jest zamknięte w czterech ścianach — odparł Damien, któremu nie podobał się lekceważący ton specjalistki. — Czy ma pani jakieś informacje, które mogłyby posunąć sprawę do przodu? Według mnie to wszystko to tylko słowa pochodzące z chorego umysłu, ale i tak muszę szukać informacji, a czas ucieka.

— Sprawdzi pan jej tożsamość?

— Już to zrobiłem — odpowiedział Damien.

— Wypadek na morzu?

— Nie było żadnego od tygodni — stwierdził w tej grze pytanie-odpowiedź.

— Obóz letni istnieje?

— Mogę panią zapewnić, że nie.

— Czy posunąłby się pan do przestudiowania wiersza Goethego lub tekstu piosenki?

W chwili, gdy Véronique Burel odniosła się do melodii wspomnianej na taśmie, Damien poczuł coś dziwnego. Niezręcznie przełknął ślinę, zdając sobie sprawę, że ten gest niewątpliwie zostanie zinterpretowany przez psychiatrę. Zdezorientowany, przełknął po raz drugi, jakby chciał przekonać ją, że to zwykły odruch. Siedząca przed nim lekarka obserwowała go, nie zdejmując zawodowej maski.

— Oczywiście — odparł Damien, wstając. — Dziękuję za udostępnienie nagrania. Muszę teraz przesłuchać tę kobietę i znaleźć konkretną odpowiedź na jedyne interesujące mnie pytanie: skąd pochodzi krew. Liczę…

— Ona nie porozmawia z panem — przerwała psychiatra stanowczym głosem.

— Słucham?

— Może pan stać przed nią ze swoją policyjną pewnością siebie i staromodnym racjonalizmem. Ale ona nie powie ani słowa. Widzi pan — dodała, wstając, gotowa do konfrontacji. — Jej mózg jest jak ten magnetofon. Nagrał historię i po prostu ją powtarza, nie rzucając żadnego światła na znaczenie, prawdziwość czy „szaleństwo" treści. Znajdzie się pan w pułapce, słuchając w kółko tej samej piosenki jak ze starej zepsutej płyty. Ta kobieta ma traumę. Nie jest szalona, nie jest mitomanką. Jeśli chce pan wiedzieć, skąd pochodzi krew, musi mi pan zaufać.

— Ależ ufam pani! — parsknął kpiąco Damien, nagle żałując, że nie włożył garnituru, zamiast stać w dżinsach i bluzie przed tą zarozumiałą kobietą, która ośmieliła się udzielać mu wskazówek.

— Jeśli moje wrażenie jest słuszne, ta kobieta była maltretowana, i to najprawdopodobniej przez mężczyznę — upierała się psychiatra, wyraźnie zmęczona rozmową. — Jedynym sposobem zmuszenia jej do odpowiedzi na pytania jest uspokojenie jej, zapewnienie poczucia bezpieczeństwa. I nie będzie to możliwe, jeśli będzie do niej mówił mężczyzna. Za bardzo przypomni jej pan oprawcę.

— Może po prostu ona się z nami bawi. Mam do niej tylko jedno pytanie, a potem zostawię ją pani specjalistycznym teoriom. Zapytam tylko, gdzie znajduje się osoba, do której należy krew.

— Proszę, zrobiłam kopię nagrania — oświadczyła sucho, wręczając mu plastikowe opakowanie, po czym machnięciem ręki wskazała drzwi. — Pozwolam panu przesłuchać ofiarę. Jeśli będzie pan potrzebować mojej pomocy, wie pan, gdzie jest mój gabinet. Powodzenia.

* * *

Damien zastał Antoine'a w korytarzu, opartego o ekspres do kawy. Widząc gniewną minę przełożonego, młodszy policjant nie odważył się dokończyć napoju i poszedł bez słowa za szefem. Dotarli przed pokój numer trzydzieści osiem. Lekarz, który ich wpuścił, poradził im, aby rozmowa nie trwała zbyt długo. Młoda kobieta obecnie nie spała, ale była bardzo wyczerpana. Na razie priorytetem pozostawało ustabilizowanie jej stanu poprzez umożliwienie jej jak najdłuższego odpoczynku i uniknięcie wszelkich źródeł stresu. Damien uspokoił lekarza słowami, w które sam nie wierzył, podpisał rejestr i wszedł do pokoju, zdeterminowany, by udowodnić Véronique, że sprawę można rozwiązać również jego metodami.

Sandrine miała otwarte oczy.

Bladość jej skóry i bezruch ciała przypominały mu flamandzki obraz wiszący w Muzeum Sztuk Pięknych w Rouen, zatytułowany Młoda kobieta na łożu śmierci.

Zimne listopadowe światło ledwo przedostawało się przez okiennice, ponura atmosfera jak w komorze śmierci natychmiast stłumiła entuzjazm i wolę inspektora.

Spodziewał się ujrzeć wariatkę z wykrzywioną twarzą, ze zmierzwionymi włosami i zaślinionymi ustami, ale zamiast tego stanął przed piękną kobietą, której krucha przejrzystość widoczna w jej spojrzeniu budziła tylko łagodność i życzliwość. Jeśli wcześniej na jej skórze była jakaś krew, to personel szpitala ją wyczyścił. Brązowe włosy kobiety spoczywały na jej ramionach, a naturalnie różowe wargi drgnęły w lekkim uśmiechu, kiedy zdała sobie sprawę z obecności dwóch mężczyzn.

Ale Damien przypomniał sobie, że szaleństwo często jest okryte zasłoną normalności.

Pamiętał, że wiedźmy z Berry niekoniecznie były starymi kobietami z haczykowatymi nosami. Bywały także pięknymi nieznajomymi

o zwodniczym wdzięku.

I że w wierszu Goethego, który jego córka poznała w podstawówce, zanim zniknęła, Król Olch czarował dzieci słodkimi obietnicami.

— Panno Vaudrier, słyszy mnie pani?

Skinienie głową.

— Nazywam się inspektor Bouchard, a to mój kolega. Czy zgodziłaby się pani odpowiedzieć na kilka pytań?

Drugie skinienie głową.

— Czy może nam pani opowiedzieć, co się wydarzyło?

Sandrine spojrzała na inspektora.

Jej oczy, kilka sekund wcześniej wypełnione spokojnym blaskiem (co, jak domyślił się Damien, było spowodowane środkami uspokajającymi) nagle pociemniały. Źrenice się rozszerzyły, jakby wskutek intensywnego wzruszenia, a jej ręce, dotychczas nieruchome, spoczywające na biodrach, złączyły się, jakby pragnęły chwycić niewidzialny przedmiot. Zmarszczki niepokoju pojawiły się na jej twarzy, gdy spojrzenie, niczym zniszczona przez morze łódź, dryfowało między dwoma oficerami.

— Proszę się nie martwić — powiedział Damien, zaniepokojony tą przemianą. — Jesteśmy tutaj, aby pani pomóc, nie grozi pani żadne niebezpieczeństwo…

Inspektor zauważył bandaż na lewym nadgarstku kobiety. W raporcie przyjęcia na ostry dyżur odnotowano obecność nierównych głębokich nacięć w tym miejscu. Damien widział na bandażu plamki jasnoczerwonej krwi, znak, że rany niedawno ponownie się otworzyły, jak słabo zagojone stygmaty ukrzyżowanej kobiety.

— Proszę się nie martwić…

Ale było już za późno.

Sandrine rozpoczęła opowieść przed zdumionym wzrokiem Damiena i Antoine'a, którzy ogarnięci gorączkowym zamętem tej burzy słów, zahipnotyzowani nawiedzoną strachem twarzą, nie odważyli się przerwać jej historii.

5

„Zajmij czymś umysł…
Recytuj sobie na przykład poezję… Będzie łatwiej…
Zobaczysz, jutro, gdy nauczycielka cię zapyta,
podziękujesz mi…
Chodź…
Podejdź bliżej…
Będzie łatwiej…"

6

Następnego ranka Damien się obudził, zanim zadzwonił budzik.

Spędził dużą część nocy, ponownie słuchając kasety i zapisując wszystko, co wydawało mu się ważne. Nagrane frazy były dokładnie takie same jak te wypowiedziane w sali szpitalnej, niczym doskonale opanowana recytacja. I ani razu Sandrine nie wyznała, do kogo należała krew na jej ubraniu.

Następnie Damien skontaktował się ze wszystkimi szpitalami w regionie, aby się dowiedzieć, czy niedawno został może przyjęty ktoś z poważnymi obrażeniami, kto stracił dużo krwi. Za każdym razem odpowiedź była przecząca.

Około trzeciej nad ranem postanowił pójść do łóżka; głos Sandrine wciąż brzmiał mu w głowie jak uparty wiatr, przed którym nie mógł uciec.

Śnił o wyspie tonącej we mgle. Stąpał po wilgotnej trawie, aż wchłonął zapach chlorofilu, dotknął lepkich, pokrytych porostami skał i usłyszał krzyk niewidzialnego stworzenia szybującego ponad toczącymi się falami morza. Duży las pojawił się przed nim, a potem zniknął jak zła myśl. I tam, samotna i nieruchoma w otoczeniu skał i dzikich ziół, niczym Niobe przemieniona w kamień, patrzyła na niego bez najmniejszego ruchu kobieta ubrana w krew. Jej purpurowa sukienka tańczyła w morskim szkwale jak bandera statku widmo. Sandrine czekała, aż on stanie z nią twarzą w twarz, zanim wyszeptała słabym głosem swój hymn: „Kogo tam w nocy unosi koń?".

Damien obudził się spocony, pierwsza linijka wiersza Goethego wciąż wirowała w ciszy pokoju. Kilka sekund zajęło mu uświadomienie sobie, że jest w domu, a nie na wilgotnych łąkach onirycznej wyspy. Wściekał się na ten koszmar i porzucił wszelką nadzieję na ponowne zaśnięcie. Pół godziny później, gdy na horyzoncie powoli rozbłysły pierwsze promienie świtu, jechał już do komisariatu.

Inspektor zamknął się w swoim gabinecie z filiżanką gorącej kawy i przez cały ranek wykonywał liczne telefony, z których niektóre pozostawały bez odpowiedzi.

Dowiedział się jednak, że w pobliżu portu Villers-sur-Mer nie istniała żadna kancelaria notarialna, a żaden Béguenau nie figurował w oficjalnym spisie notariuszy.

Nie natrafił też na żadne informacje o Suzanne Vaudrier, żywej lub martwej.

Kontaktował się z różnymi biurami turystycznymi w regionie, rozmawiał przez godzinę z morskim centrum informacyjnym w Caen, ale nie znalazł wyspy przypominającej tę, o której mówiła Sandrine.

Liczne porty na wybrzeżu potwierdziły, że w ich dokumentach nie ma jednostki o nazwie Lazarus.

Sprawdzając potencjalne wskazówki Sandrine, skreślał ze złością pozycje wpisane dzień wcześniej na listę. Wkrótce na kartce pozostały tylko dwa tropy, a Damien zaklął, zdając sobie sprawę, że trudno będzie znaleźć kogoś za pomocą przedwojennej piosenki i niemieckiego wiersza.

„To nie wystarczy, żeby poprosić Żandarmerię Morską o przeszukanie kolejnych wysp, w nadziei, że znajdą stary obóz wakacyjny i hipotetyczne zwłoki garstki mieszkańców" — myślał ponuro.

Było dla niego oczywiste, że cała ta historia, nawet opowiedziana niezwykle przekonująco, to jedynie kłamstwo.

„Ale skąd, do diabła, wzięła się ta krew?"

W wyniku testów stwierdzono, że to krew ludzka.

Według ekspertów było jej od jednego do dwóch litrów.

Innej grupy niż krew Sandrine.

„Co się stało?"

Damien niechętnie przyznał, że sprawa, o której sądził, że zostanie szybko rozwiązana, okazała się na razie ślepą uliczką.

Piosenka i wiersz.

Mechanicznie wymamrotał słowa utworu Lucienne Boyer:

— Parlez-moi d'amour, redites-moi des choses tendres…

Wszyscy znali tę piosenkę. Dla całego pokolenia była symbolem odnowy i beztroski wychodzącego z wojny kraju, który nie podejrzewał, że wkrótce nadciągnie kolejna. Piosenka ta stanowiła część dziedzictwa kulturowego Francji, zbiorowej nieświadomości; była nagrywana na ówczesnych płytach gramofonowych odtwarzanych z prędkością siedemdziesięciu ośmiu obrotów na minutę i nucona przez zakochane pary, a także przez rodziców usypiających swoje dzieci.

Dlaczego więc Damien uważał, że ten szczegół nie pasuje do pozostałej części opowieści? Czemu ten anachronizm niepokoił go do tego stopnia, że poczuł się nieswojo, jak poprzedniego dnia z tą psychiatrą?

Około trzynastej pogodził się z myślą, że musi złożyć jej wizytę. „Dobrze mi zrobi zmiana otoczenia" — stwierdził, chwytając marynarkę. Ograniczona przestrzeń jego biura nie przynosiła dalszych odpowiedzi, a telefon z pewnością nie zadzwoni podczas przerwy na lunch. Może lekarce znowu udało się porozmawiać z ofiarą.

— Inspektorze! Co za niespodzianka! A myślałam, że już pan rozwiązał tę sprawę!

Véronique Burel siedziała za biurkiem, pochylona nad teczką, i nie wydawała się zaskoczona jego przybyciem.

— W porządku, może pani zachować swój sarkazm dla siebie… — odparł Damien. — A tak przy okazji, z jakich zaburzeń psychicznych bierze się sarkazm? Czy była pani na terapii, aby się tego dowiedzieć?

— Owszem. Dzieje się tak z powodu ostrej alergii na ludzi przekonanych, że znają całą prawdę… Czy to brzmi znajomo? — Zaśmiała się i przerwała lekturę.

— Niespecjalnie… Cóż, nie przyszedłem tutaj, żeby omawiać nasze wady, ale żeby się z panią skonsultować.

— Rozumiem, że pańskie przesłuchanie nie przyniosło pełnej satysfakcji. — Uśmiechnęła się.

— Nie, to było jak słuchanie nagrania…

— Ostrzegałam pana.

— Pani Burel…

— Véronique — poprawiła go na znak zawieszenia broni.

— Dobrze. Véronique, czy ta kobieta jest szalona?

— W pewnym sensie. Szaleństwo jest pojęciem względnym. Ktoś może być według pana szalony, podczas gdy dla mnie nie jest.

— A ona nie jest?

— Król Olch, zamordowane dzieci, mieszkańcy zdecydowani popełnić samobójstwo jedno po drugim… To wszystko ma sens, niezależnie od tego, czy pan w to wierzy, czy nie. Prawdziwe szaleństwo jest bez sensu, pozbawione powiązań… Tutaj tego nie ma. Moją rolą jest wyjaśnienie

wszystkiego, czyli używając pana żargonu, zrozumienie tego „szaleństwa". Czy jadł pan obiad? — zapytała, wstając z krzesła.

Damien zdał sobie sprawę, że nie. Nie jadł też kolacji poprzedniego dnia. Od wczoraj jego ciało było po prostu odurzone kofeiną. Psychiatra rozpięła biały kitel i powiesiła go na wieszaku przy oknie, po czym chwyciła torebkę.

— Jeszcze nie.

— Doskonale, ja też nie. Znam bardzo dobrą restaurację, w której możemy spokojnie porozmawiać o naszej wspólnej znajomej.

Pięć minut później siedzieli na ławce w parku na terenie szpitala, delektując się kanapkami kupionymi w kafeterii. Niebo przysłoniły ciężkie chmury, które zapowiadały zbliżającą się ulewę.

— Zgadzamy się co do jednego — przyznała Véronique i przełknęła kęs kanapki. — Historia opowiedziana przez Sandrine to czysty wymysł.

— W mojej pracy kłamie ten, kto jest winny — stwierdził Damien, obserwując rodziny spacerujące po parku.

Niektóre z nich towarzyszyły pacjentom z rękami lub nogami w gipsie, inne odwiedzały chorych bez widocznych objawów. Jakiś mężczyzna pchał z trudem starą kobietę na wózku inwalidzkim. Inny pochylił się ze smutkiem nad ramieniem dziecka. Damien nie był w stanie odgadnąć, które z nich było pacjentem, ponieważ wydawało się, że odczuwają ten sam ból.

— A w mojej kłamie głównie ofiara. Co pan zauważył, kiedy rozmawiał z Sandrine?

W oddali rozległa się syrena karetki. Damien odczekał, aż pojazd się zbliży i zaparkuje przed izbą przyjęć, a jego sygnał ucichnie. Wydawało się, że cały park zamarł na wieść o prawdopodobnie nowej tragedii.

— Była… była przestraszona, bardzo przestraszona — powiedział. — Jej spojrzenie, ręce, drżenie ust… Recytowała swoją historię tak, jak się recytuje zaklęcie, sprawiała wrażenie, jakby chciała przegonić diabła.

— A czy pan kiedykolwiek polował na diabła, inspektorze?

Damien był zaskoczony tym pytaniem. Przez chwilę wpatrywał się w psychiatrę i zastanawiał się, czy ona wie. Małe miasteczko, przyjeżdża policjant z przeszłością i ciągnie za sobą tragedię, której echo przemierza kilkaset kilometrów, aby mu towarzyszyć i ostrzec nowe otoczenie… Było to całkiem możliwe.

Pomyślał o długich poszukiwaniach w lesie.

O nurkach przeszukujących szlam, aby wydobyć tylko rozczarowanie.

O niekończących się nocach spędzanych w nadziei, że telefon uwolni go od niewiedzy.

O rogatym diable ukrytym we mgle i o jego złym śmiechu, rozbrzmiewającym w uszach Damiena w dniu, w którym opuścił Berry, chociaż nie odnalazł Mélanie.

— Nie, nigdy — skłamał, biorąc łyk napoju gazowanego.

— Nigdy na niego nie polujemy. Sandrine myśli o odciągnięciu go za każdym razem, gdy mówi o swoim przybyciu na wyspę. Ale to przynęta, schronienie.

— Schronienie?

— Widzi pan, wczoraj mówiłam o zespole stresu pourazowego. Czy wie pan, że kiedy dana osoba znajduje się w stanie silnego stresu, jej mózg tworzy naturalną tarczę, aby się chronić?

— O jaki stres chodzi?

— Największy. Gwałt, przemoc fizyczna lub psychiczna, strach, izolacja… W takich przypadkach mózg odłącza obwód emocjonalny, aby

chronić ofiarę. To złożony proces i pominę szczegóły techniczne, ale mózg jest w stanie produkować twarde narkotyki, aby uśmierzyć emocje.

— To znaczy?

— Proszę sobie wyobrazić samego siebie w klasycznej stresującej sytuacji. Pański mózg wydziela pewną ilość adrenaliny i kortyzolu, aby dostosować pana reakcję. Nie ma tu nic niebezpiecznego. Ale przy ekstremalnym podekscytowaniu ta ilość może być śmiertelna, zarówno dla mózgu, jak i dla serca. Można dosłownie umrzeć ze stresu. Co więc robi nasz mózg, aby utrzymać nas przy życiu?

— Odłącza się? — zasugerował Damien.

— Dokładnie. Odłącza nasz obwód emocjonalny, ten, który wstrzykuje adrenalinę i kortyzol oraz znieczulenie poprzez wytwarzanie twardych narkotyków, takich jak morfina i ketamina. W ten sposób ofiara doświadczająca przemocy przechodzi w stan emocjonalnej pustki, i ta pustka ją chroni. To właśnie tarcza, o której mówiłam.

— Ale nie widzę związku z Sandrine.

— Ma wszystkie objawy osoby, która znalazła się w ekstremalnej sytuacji — powiedziała Véronique tak jak poprzedniego dnia.

— Nadal nie ma śladów gwałtu?

— Według wyników z dzisiejszego poranka niczego nie wykryto.

— Więc opiera to pani tylko na fakcie, że ta kobieta opowiada nam niewiarygodną historię?

— Tarcza, którą panu opisałam, chroni ofiarę w momencie doświadczania przemocy. Jest neurobiologiczną odpowiedzią na jednorazową sytuację ekstremalnego stresu.

— Rozumiem.

— Ale później, kiedy ofiara zostaje uwolniona od napastnika, często pojawiają się następstwa tego doświadczenia, słynnego zespołu stresu

pourazowego. Jest ich wiele i są różnorodne: nerwowość, zaburzenia snu, zespół powtórzeń, unikanie…

— Zaczynam się gubić…

— Przepraszam. Wracając do Sandrine, jestem przekonana, że ona cierpi z powodu tych następstw.

— Ale… a wyspa? Dzieci? Król Olch?

— Zadam panu pytanie. Proszę sobie wyobrazić, że chce pan zapomnieć kawałek swojej przeszłości, wymazać go całkowicie, nie pozostawiając za sobą „biograficznej" pustki. Co by pan zrobił, aby wypełnić tę lukę w pamięci?

Damien zamaskował zmieszanie, udając, że się zastanawia. Bo gdy tylko Véronique skończyła mówić, gardłowy śmiech z zapachem siarki rozszedł się po jego świadomości.

„Więc, ty brudny sukinsynu, niegodny miana ojca, odpowiedz kobiecie, co byś zrobił, żeby wymazać swoją ucieczkę, co byś zrobił, żeby zapomnieć, jak porzuciłeś swoją córkę, pozwalając jej tańczyć z diabłem, co? Ale dziękuję, świetnie się z nią bawiłem…"

— Chyba… wymyśliłbym to na nowo… — szepnął Damien.

— Zgadza się. To właśnie nazywam schronieniem: równoległą pamięcią, która zastępuje rzeczywistość, aby ofiara przestała cierpieć, iluzją projektowaną przez mózg, aby jego właściciel przeżył. Działa podobnie jak tarcza neurologiczna, o której mówiłam. Zasadniczo jest to miejsce do ukrycia się, niczym koc, pod którym wszyscy chroniliśmy się jako dzieci, aby uciec przed prawdziwymi lub wyimaginowanymi potworami.

— Ta historia… jest więc jej… schronieniem?

— Tak myślę — potwierdziła. — Dlatego Sandrine będzie powtarzać to w kółko, aby ukryć, przez co przeszła. Jest to wyrafinowane kłamstwo, z którego ona sama nie zdaje sobie sprawy, wstrzyknięte przez różne

komórki mózgowe, aby pomóc ukryć to, co się jej stało. Według Sandrine to wszystko istnieje. Wyspa, Król Olch, mieszkańcy, dzieci… Być może ta wyimaginowana opowieść jest usiana prawdziwymi szczegółami, takimi znakami nawigacyjnymi, które mają jej przypominać, dlaczego kłamstwo jest konieczne.

— Więc… jak oddzielić prawdę od fałszu? Jak się dowiedzieć, przez co przeszła Sandrine? — zniecierpliwił się Damien.

— Nie mamy wyboru, inspektorze. My także będziemy musieli schronić się w jej kryjówce. To jedyny sposób…

7

— …ale terapia może trwać tygodnie, miesiące, lata. Jedynym sposobem, aby to przyspieszyć, jest uspokojenie Sandrine do tego stopnia, by nie musiała już chować się w swojej kryjówce. W tym celu musielibyśmy jej udowodnić, że napastnicy nie mogą się już do niej zbliżyć. Czy rozumie pan tę sytuację? Ona zna odpowiedź na wszystkie nasze pytania, ale udzieli jej tylko wtedy, gdy otworzymy jej drzwi, aby mogła wyjść bez strachu.

Damien wrócił do komisariatu, aby napisać raport. Chciałby udać się do Sandrine i zadać jej wszystkie pytania, które przyszły mu do głowy, ale jej słowa byłyby z pewnością identyczne z tymi z poprzedniego dnia: dzieci, wyspa, Król Olch…

Ponadto Véronique wyjaśniła mu, że odpoczynek jest pierwszym koniecznym krokiem po głębokiej traumie. Chociaż w tej chwili nie było pewności co do tego, co Sandrine naprawdę wycierpiała, Damien nie mógł zaprzeczyć emanującemu z niej ekstremalnemu zmęczeniu. Wrócił myślami do bieli jej skóry, słabości gestów… Niezależnie od tego, kim był „Król Olch", od którego młoda kobieta uciekła, dzień lub dwa więcej w jego towarzystwie mogłyby zakończyć się jej śmiercią.

Inspektor sporządził podsumowanie rozmowy z psychiatrą i dołączył do niego kserokopię wyników badań krwi, protokołu przyjęcia do szpitala, a także wykonane przez służby medyczne zdjęcie Sandrine. Przygotował

listę wykonanych połączeń telefonicznych, doprecyzował uzyskane odpowiedzi i położył akta na biurku komisarza, który miał wrócić następnego dnia z Caen. Dołączył również kasetę magnetofonową z zeznaniami nagranymi przez Véronique i wyobraził sobie minę przełożonego, gdy ów zapozna się z tym wszystkim. Jego pierwszy odruch będzie taki sam jak dzień wcześniej reakcja Damiena: to niemożliwe. Nie tutaj, nie w tym małym miasteczku. Ta kobieta jest szalona.

„Ale szaleństwo to pojęcie względne" — uśmiechnął się, wracając myślami do słów psychiatry.

Następnie wrócił do biura i spisał ogłoszenie wzywające do stawienia się na komisariacie wszystkich potencjalnych świadków.

Jeśli w ciągu czterdziestu ośmiu godzin nikt się nie pojawi ani nie zgłosi zaginięcia Sandrine, będzie zmuszony opublikować zawiadomienie o poszukiwaniu za pośrednictwem prasy i lokalnego radia. Rozniesie też plakaty wśród miejscowych handlarzy i poprosi każdego policjanta i żandarma, by zrobili w okolicy to samo.

„Sandrine Vaudrier. Kim ty naprawdę jesteś?" — pomyślał, czując ogarniające go zmęczenie po ciężkiej nocy. „Co mogło spowodować, że schroniłaś się pod fałszywą tożsamością?"

Zadzwonił telefon. Dźwięk zaskoczył Damiena, który nie zdając sobie z tego sprawy, zapadł w półsen.

— Inspektor Bouchard — mruknął.

— Dzień dobry, inspektorze. Nazywam się Chantal i pracuję w urzędzie skarbowym w Caen, dzwonił pan do mnie wczoraj.

— Tak, rzeczywiście. Co mogę dla pani zrobić?

— Poprosił mnie pan o zweryfikowanie istnienia różnych podatników, a ja właśnie znalazłam adres jednego z nich.

Damien nie mógł uwierzyć własnym uszom. Po raz pierwszy od pojawienia się Sandrine miał konkretny trop. „Sandrine Vaudrier, Sandrine Vaudrier" — modlił się w duchu. „Niech to będzie ona i niech wszystko się wyjaśni…"

— O kogo chodzi?

— O niejakiego Franka Wernsta. Podaję panu jego adres…

Damien zapisał dane kontaktowe, podziękował i wybiegł z gabinetu.

— Gdzie jest Antoine? — zapytał sekretarki.

— Pewnie na dworze, pali papierosa. Proszę powiedzieć, czy kiedy komisariat zostanie zamknięty, będzie pan mógł poprzeć moje przeniesienie do…

— Nie mam czasu! — przerwał i wyszedł z komisariatu.

„Frank Wernst".

Chłop, którego krowy oznaczono swastykami.

Czy to jeden z tych znaków nawigacyjnych, o których mówiła Véronique? Damien znalazł Antoine'a opartego o ścianę, z papierosem w ustach.

— Co się dzieje, szefie?

— Zbieraj się, wyjaśnię ci po drodze.

— A dokąd jedziemy? — zapytał policjant, rozgniatając niedopałek na żwirze.

— Polować na diabła.

I rzeczywiście, właśnie tam się udali.

8

Sandrine obudziła się z trudem. Czuła się odurzona narkotykami i starała się zrozumieć, jak znalazła się w łóżku szpitalnym. Przypomniała sobie karetkę, kobietę, która z nią rozmawiała, i przybycie dwóch mężczyzn.

Potem powoli pojawiło się więcej wspomnień.

Przypomniała sobie wyspę.

Czy to możliwe, że stamtąd uciekła?

Zamknęła na chwilę oczy, usiłując się skoncentrować.

Co się stało? Jak dostała się na tę plażę?

Na próżno szukała wyjaśnienia, żadne nie przebiło się przez mgłę amnezji. Spróbowała usiąść, ale ten prosty ruch okazał się dla niej zbyt trudny. Każdy mięsień jej ciała wydawał się sparaliżowany, a najmniejszy wysiłek przyprawiał o potworny ból.

Wpatrywała się w sufit, przypominając sobie ostatnie wydarzenia: karczmę, upadających jeden po drugim mieszkańców, swój bieg w stronę letniego obozu, pojawienie się babci, utonięcie dzieci…

A potem słowa Paula.

Na wspomnienie tego imienia miała ochotę płakać z wściekłości. Dlaczego tak ją porzucił? Dlaczego nie poszedł z nią? Byliby teraz razem, na lądzie, z dala od Króla Olch, Suzanne i całego tego cierpienia!

Ale tu znowu nie znalazła wytłumaczenia. Tylko uczucie pustki w żołądku i te słowa ostatniego pożegnania: „Jeśli spotkasz zabłąkanego kota, zabij go, Sandrine. To jedyny sposób, by na zawsze uciec przed Królem Olch…".

Co chciał przez to powiedzieć?

Poczuła, jak gdzieś w jej głowie zaczyna się migrena, niczym niegroźny, ale zwodniczy pierwszy pomruk odległej burzy. Ale najbardziej martwił ją w tej chwili mężczyzna w garniturze. Ten, który rozmawiał z nią dzień wcześniej. Kiedy Sandrine opowiedziała jemu i jego koledze w policyjnym mundurze, przez co przeszła, dostrzegła zamęt w jego oczach.

Nie uwierzył jej, była tego pewna.

Ani przez sekundę nie wątpiła, że ten mężczyzna spróbuje poznać prawdę.

Co by się stało, gdyby spróbował dostać się na wyspę?

Czy nie wiedział, że czeka na niego Król Olch?

9

Powoli wyłaniał się zarys farmy. Furgonetka z trudem pokonywała polną drogę z szerokimi koleinami, która wyglądała bardziej jak miniaturowy wąwóz wciśnięty między dwa pola uprawne niż jak prawdziwa droga dla samochodów.

Pojazd policyjny, kołysząc się, jechał naprzód pod obojętnym wzrokiem stada krów stojących obok farmy. Kiedy w końcu zaparkował, a Damien i Antoine wysiedli, spadły pierwsze krople deszczu.

— Do diabła, mieliśmy szczęście, że nie poszedł amortyzator — zauważył Antoine, sprawdzając stan auta. — Szefie, jest pan pewien, że to tu?

— Taki adres dostałem — odparł Damien, odczytując nazwisko na skrzynce pocztowej. Frank Wernst.

— Mam nadzieję, że ten facet ma nam coś do powiedzenia… — westchnął młodszy policjant, czując, jak kropla deszczu spływa mu z czoła.

— Ja też, w przeciwnym razie wracamy do punktu wyjścia.

Obeszli posesję i minęli główny budynek. Deszcz się nasilił. W powietrzu czuć było zapach trawy, nawozu oraz ziemi. Na błotnistym podwórku znajdowały się stodoła, sprzęt rolniczy, samochód z napędem na cztery koła, przyczepa do przewożenia bydła, stogi siana ułożone pod daszkiem i kilka kur. Damien rozejrzał się po okolicy w poszukiwaniu gospodarza, ale nikogo nie zauważył. Lekka mgła uniosła się na horyzoncie i pochłonęła odległe zarośla jak potwór pożerający drobną przekąskę.

— To miejsce wydaje się opuszczone, szefie. Myśli pan, że on tu jest?

— Nie wiem. W każdym razie na krowach nie ma narysowanych nazistowskich symboli — zauważył Damien, obserwując zwierzęta pasące się spokojnie nad stawem.

— Kolejny wymyślony szczegół! — zirytował się Antoine.

On też nie wierzył w historyjkę Sandrine. Poza tym nie obchodziło go, czyja to była krew ani czy Król Olch istnieje naprawdę. Martwiła go dziwność, którą młoda kobieta przywiozła ze swojej wyspy i która zatruła atmosferę Villers-sur-Mer. Wyglądało to tak, jakby niewidzialny wirus rozprzestrzenił się po cichym nadmorskim miasteczku i nikt tego nie zauważył. Biegacz, lekarze, psychiatra, a teraz Damien — wszyscy mieli obsesję na punkcie tej opowieści. Antoine'a ona nie obchodziła. Pragnął tylko, żeby wszystko wróciło do normy i żeby jego głównym zmartwieniem znów stało się sprawdzanie biletów parkingowych, a nie podążanie za szalonymi wskazówkami intruzki.

— Zajrzyjmy do środka, dowiemy się czegoś… i się wysuszymy.

Zawrócili po swoich śladach i ruszyli w stronę wiejskiego domostwa, szerokiego na sześćdziesiąt metrów, zbudowanego z kamienia, z dachem wznoszącym się do nieba jak wydłużona piramida. Kilka dachówek groziło poluzowaniem, ale konstrukcja wyglądała tak, jakby pokonała wystarczająco dużo burz, aby przetrwać też kolejne stulecia. Deszcz spadał na dach, spływał przez zardzewiałe rynny, a następnie uderzał w ochrową ziemię, po czym zamieniał się w wielkie kałuże.

Damien zapukał do drewnianych drzwi. Bez odpowiedzi. Tylko niedokładnie zamknięte drzwi skrzypnęły cicho. Wystarczyłoby je lekko popchnąć i otworzyłyby się. Antoine spojrzał pytająco na szefa. W umyśle Damiena rozległ się alarm. Uniósł pięść, zamierzając zastukać ponownie, ale nagle się powstrzymał.

— To… krew? — wybełkotał Antoine.

Inspektor stał nieruchomo. Wpatrywał się w ślady na framudze. Smugi krwi.

Szerokie i wyraźne.

— Idź. Połącz się przez radio i wezwij karetkę — rozkazał.

Poczekał, aż Antoine wsiądzie do pojazdu, i nogą otworzył drzwi.

— Panie Wernst, jest pan tam? Tu policja!

Bez odpowiedzi.

Damien wyciągnął broń, wyjął z kieszeni kurtki małą latarkę i ruszył naprzód, idąc śladami krwi na podłodze. Wewnątrz panowały podejrzana ciemność i cisza, zakłócana jedynie ulewnym deszczem dudniącym o dach.

Wejście otwierało się na duży salon. Inspektor nacisnął włącznik po lewej, ale nie zapaliła się żadna żarówka. Przesunął smugą światła latarki po pokoju, odsłaniając nieruchome, ponure sylwetki mebli. Z odsłoniętych belek sufitu zwisało kilka girland lepu na muchy. Niektóre były czarne od dziesiątek ciałek owadów, podczas gdy inne zostały przyczepione niedawno i przykleiło się do nich dopiero kilka sztuk. Damien przeszedł obok imponującego, pozbawionego życia kominka, a potem, ignorując nieznany gryzący zapach, który się tu unosił, wszedł do korytarza wyłożonego wyblakłą boazerią.

Ta część domu była pogrążona w całkowitym mroku. Nie było tam okien, przez które wpadałoby widmowe światło burzowego nieba.

Damien z trudem dostrzegał plamy krwi na wykładzinie. Były na niej różne ślady i musiał kilka razy uklęknąć, aby upewnić się, że podąża właściwym tropem.

Ostrożnie szedł naprzód, walcząc z obrzydzeniem, które wywoływał w nim ten dom. Inspektor odnosił nieprzyjemne wrażenie, że bada miejsce zamknięte dla życia, odcięte od świeżego powietrza i wnoszącego odrobinę

pociechy światła celowo zatrzaśniętymi okiennicami, jakby było to zamurowane mauzoleum jakiegoś trędowatego. Czuł, jak kurz unosi się z każdym jego krokiem, i skrzywił się, oświetlając pożółkłe popękane ściany ze śladami pleśni.

— Cholera, nawet stodoła wygląda na czystszą niż ta rudera! — westchnął, idąc dalej.

Korytarz prowadził do prymitywnej kuchni, w której dominował odór zgniłego mięsa i zapach detergentu, od którego zaczęło go mdlić. Damien zbadał pomieszczenie, ignorując stojące na stole naczynia z resztkami dań, którymi delektowało się wirujące stado much. Następnie podszedł do zamkniętych drzwi znajdujących się we wnęce. Znowu ślady krwi rozmazane na klamce i futrynie. Jego uwagę zwróciła kłódka z haczykami po obu stronach framugi. Była otwarta i wisiała na jednym z zaczepów jak szympans na gałęzi.

— Niech to szlag, ten dom jest przerażający…

Antoine wszedł do kuchni z lampą awaryjną w dłoni.

— Do diabła! Chcesz, żebym tu padł na zawał? — oburzył się inspektor.

— Przepraszam, szefie, nie chciałem pana przestraszyć…

— Przynajmniej niczego nie dotykałeś?

— Nie. Jadą posiłki — poinformował Antoine. — Zastanawiają się, co, do cholery, robimy w tej dziurze…

— Doskonale. Ślady prowadzą za te drzwi i…

— Szefie, nie sądzi pan, że powinniśmy poczekać na resztę oddziału?

Damien częściowo podzielał tę opinię. Nigdy jeszcze gliniarz z Villers-sur-Mer nie znalazł się w takiej sytuacji. W raporcie z działalności policji nigdy nie było wzmianki o śladach krwi, niepokojącym domu czy

wzywaniu posiłków. I na żadnym etapie swojej kariery inspektor nie wyciągał broni i nie przeszukiwał miejsca, bojąc się, co może znaleźć.

Długo milczał.

Przypomniał sobie strach ściskający mu żołądek, kiedy szedł przez las w poszukiwaniu córki. To intymne i odrażające uczucie, ten diabelski oddech w zagłębieniu szyi… Czy to ten sam zgniły oddech, który czuł w tym domu?

— Ktoś mógł zostać ranny. Nie czekamy — zarządził, otwierając drzwi.

Zobaczyli przed sobą długie drewniane schody.

Inspektor skierował promień na dół, ale zasięg latarki nie pozwolił światłu dotrzeć do podstawy budynku.

— Panie Wernst! Schodzimy do piwnicy. Jeśli jest pan ranny, proszę się nie ruszać, zaraz przyjedzie karetka!

Cisza.

— Antoine, zostań tutaj — rozkazał Damien. — Czekaj, aż cię zawołam.

— Szefie, jest pan pewien, że…

— Będziesz mnie osłaniał.

— Z tej piwnicy wydobywa się dziwny zapach, powinniśmy…

— Rób, co ci każę. Jeśli przybędą posiłki, to je przyprowadź.

— Okej, szefie — szepnął niechętnie Antoine.

Zobaczył, jak sylwetka przełożonego rozpłynęła się na schodach i zniknęła.

— Szefie, w porządku?

Ale Damien nie odpowiedział.

Dotarł do piwnicy.

Zapach był teraz silniejszy.

Inspektor zawahał się, czy podnieść latarkę, żeby rozjaśnić ciemność.

„Tak jak wahałeś się, czy przeszukać kanały, bezwartościowy tato… Tylko trup może uczynić śmierć prawdziwą… Więc jak, skurwysynu?! Nie chciałeś natrafić na to, co zostawiłem… Nie pokiereszowałem jej aż tak bardzo…"

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, był materac. Na ziemi.

Leżał na nim wełniany koc. Następnie Damien przesunął stożek światła w prawo i zobaczył dużą wannę z emaliowanej stali. Podszedł kilka kroków bliżej i dostrzegł w środku dziwny podłużny kształt, zanurzony w ciemnej cieczy.

„Na Boga…"

Damien zrozumiał, że to stamtąd dochodził ten odrażający smród. Najpierw pomyślał o włosach, a potem — co było naturalną konsekwencją — o głowach. Drżącą ręką oświetlił powierzchnię i powoli ruszył naprzód.

„Nie, to nie są włosy…"

Wanna była wypełniona trupami.

— Koty… — mruknął, krzywiąc się.

Wstrząśnięty odkryciem zawrócił i już miał ruszyć z powrotem na górę, gdy w jego świadomości pojawił się kolejny szczegół. Zobaczył to tylko przez sekundę, może krócej. Ale kiedy odwrócił się od wanny, latarka niepostrzeżenie ujawniła coś innego.

Damien ścisnął mocniej broń i powoli się odwrócił. Stopień drewnianych schodów, na których spoczywała jego prawa stopa, zaskrzypiał, jakby chciał mu powiedzieć, żeby się nie ruszał. Ale inspektor odgonił diabelski oddech i uśmieszek, by znów skierować snop światła na ziemię…

„Dobra robota, skurwysynu, już nie uciekasz… Może rozłąka sprawiła, że wyrosły ci jaja…"

Antoine palił papierosa pod wierzbą, wypatrując przyjazdu karetki, gdy usłyszał ruch w domu. Nie zdążył nawet dobiec do frontowych drzwi, a Damien już stał na zewnątrz i się pochylał, by zwymiotować na rozmokłą ziemię.

— Szefie, co się dzieje?

Inspektor powiedział kilka słów, po czym wstrząsnął nim kolejny skurcz i drugi strumień półprzezroczystej żółci rozlał się u jego stóp.

— Miałeś rację — udało mu się w końcu wyartykułować, gdy się prostował. — Powinniśmy byli poczekać na posiłki.

10

W kolejnych godzinach deszcz prawie nie ustawał. Towarzyszył przybyciu karetki, a trzydzieści minut później również dwóch furgonów policyjnych wezwanych przez radio po makabrycznym odkryciu.

— Przeszukanie tego miejsca zajmie nam co najmniej dwa dni! — zauważył komisarz, obrzucając wzrokiem gospodarstwo ze wszystkimi budynkami.

Damien skontaktował się z nim natychmiast po tym, jak doszedł do siebie. Fourier skrócił swój pobyt w Caen i przyjechał na farmę, ale najpierw udał się do centrali, aby zabrać teczkę, którą przygotował dla niego inspektor.

Wygląd komisarza — pulchna, okrągła uśmiechnięta twarz — mógł oszukać każdego, kto spotykał Fouriera po raz pierwszy. Prostoduszność maskowała jednak porywczy charakter, a jego gniew był znany wszystkim podwładnym. Ta drażliwość wzrosła wraz z zapowiedzią zamknięcia komisariatu i przejawiała się w coraz to bardziej suchych i bezwzględnych rozkazach.

— Co to jest, do cholery? Tutaj, w naszym departamencie, pół godziny od Villers? Czy ta kobieta coś powiedziała? — zapytał, wykonując nerwowe gesty.

— Na razie trzyma się wersji z wyspą. Słuchał pan nagrania?

— Tak, w samochodzie. Myśli pan, że krew w piwnicy to ta sama co na jej ubraniach?

— To bardzo prawdopodobne — zgodził się Damien. — Badania szybko nam to potwierdzą.

— Ustawcie kilku ludzi przy wjeździe na drogę. Nie chcę, żeby zjawił się tu jakiś dziennikarz, udając, że przyszedł wydoić krowy. Sprawdzajcie wszystkie pojazdy! I zainstalujcie generatory prądu, wkrótce zapadnie noc!

Na podwórku rozpięto plastikową plandekę jako namiot, który miał chronić generatory prądu przed deszczem. Po dostarczeniu energii elektrycznej rozstawione po farmie reflektory zapalały się jeden po drugim, bezczeszcząc pogrzebową intymność domu, który stał się grobowcem.

Pierwszym obecnym na miejscu policjantom nakazano robić zdjęcia bez ruszania czegokolwiek. Ratownicy medyczni i lekarz dyżurny czekali na polecenie komisarza, aby włożyć zwłoki do worka i zabrać na sekcję.

— Był w jego tylnej kieszeni. — Jeden z funkcjonariuszy wręczył inspektorowi portfel.

Damien otworzył go przez chusteczkę.

— Frank Wernst — powiedział z westchnieniem, oglądając prawo jazdy.

Jedyne prawdziwe nazwisko w historii Sandrine nosił trup.

— Żadnej telewizji, żadnego telefonu. Kilka książek o drugiej wojnie światowej, medale wiszące w ramie, jakieś gazety sprzed dwudziestu lat… Cholera — stwierdził policjant. — Ten dom zastygł w przeszłości… I to coś w piwnicy… To jest średniowiecze…

„To coś w piwnicy".

Wanna wypełniona po brzegi szczątkami zwierząt.

Zniszczony materac na podłodze, poplamiony krwią i innymi wydzielinami.

Łańcuch zakończony zardzewiałą żelazną bransoletą.

Zwłoki z rozbitą czaszką, której wnętrze rozlało się na szary cement.

Inspektor zmęczonym wzrokiem obserwował policyjny balet. Każdy, kto zszedł do piwnicy, wychodził ze zmienionym wyrazem twarzy. Nawet komisarz nie potrafił ukryć zdumienia i przez kilka minut stał na deszczu, jakby chciał się oczyścić z koszmarów.

Godzinę później Damien i Antoine otrzymali polecenie powrotu do domu i pojawienia nazajutrz rano w pracy, aby wyjaśnić sytuację. Opuścili farmę, otoczoną teraz sztucznym światłem reflektorów i namacalnym niezrozumieniem policji.

Damien w ciszy uruchomił pojazd, włączył wycieraczki, mając nadzieję, że przegonią coś więcej niż tylko deszcz.

— Dlaczego koty? — zapytał Antoine po dwudziestu minutach, obserwując przez okno pasażera widmowy horyzont.

— Nie mam pojęcia — mruknął Damien. — Sandrine mówi o tym w swojej historii.

— A Wernst? Czy naprawdę był tak poharatany?

Antoine nie miał odwagi zejść do piwnicy. Widok wymiotującego pod wierzbą szefa mu wystarczył.

— Masz, zobacz.

Inspektor wyjął z kurtki polaroidową fotografię. Przed wyjazdem poprosił o zdjęcia zwłok.

— O cholera… — zaklął Antoine, zwracając mu fotografię.

— Dokładnie tak.

— Ona to zrobiła?

— W tej chwili nie wiemy. Ale jeśli krew na jej ubraniu to krew Wernsta, będziemy musieli się dowiedzieć, jak kobieta tej postury była

w stanie rozbić czaszkę facetowi przyzwyczajonemu do ciężkiej pracy na farmie. A przede wszystkim dlaczego.

Damien schował zdjęcie. Obraz zmiażdżonej głowy Franka Wernsta pojawił się na chwilę w umysłach obu mężczyzn. Patrząc na fotografię, można było się domyślić, jaka siła była potrzebna do rozbicia czaszki tak, aby wepchnąć do środka kość przedczołową, jakby głowa była z plasteliny. Górna część twarzy była całkowicie zdeformowana, a kości oczodołów przesunęły się aż do mózgu. W pobliżu ciała znaleziono kamień pokryty krwią, włosami i kawałkami skóry.

— No i kolejna rzecz: czy doszłaby polami aż do plaży? To się nie trzyma kupy!

— Jest coś jeszcze.

— Co? — zapytał Antoine.

— Łańcuch.

— Łańcuch?

— Tak, przymocowany do ściany, z metalową bransoletą na końcu. A zauważyłeś kłódkę na drzwiach do piwnicy…?

— Cholera, szefie, co pan ma na myśli?

— Być może Sandrine nie jest wcale taka szalona…

Następnego ranka Damien i Antoine zgodnie z ustaleniami spotkali się z komisarzem o ósmej trzydzieści. Wszyscy trzej wyglądali, jakby tej nocy nie zmrużyli oka.

— Krew się zgadza — oświadczył komisarz bez wstępów. — Ekipa techniczna może się zjawić najwcześniej jutro. Brakuje im personelu, a według prefekta sprawa o wysokim priorytecie wymaga całego zespołu. Traktują nas tak, jakby nasz komisariat był już zamknięty… Zatem na razie pewne jest tylko jedno: ta kobieta tam była. Ponadto znaleźliśmy jej krew

wewnątrz metalowej bransolety na końcu łańcucha. Najprostszy wniosek to uwięzienie. Ale dedukcja bez przyznania się do winy nic nie znaczy. Będziemy musieli skłonić ofiarę do rozmowy.

— Już próbowaliśmy — zauważył Damien. — A jej historia była identyczna jak ta, którą opowiedziała psychiatrze…

— W takim razie spróbujcie bardziej! — Komisarz uderzył pięścią w stół. — Nie zamierzam wam tego dokładnie tłumaczyć, ale istnienie naszego komisariatu wisi na włosku, ponieważ według liczb i statystyk jest on bezużyteczny. Rozwiązanie tej sprawy może zmienić bieg wydarzeń, rozumiecie?

— Tak, panie komisarzu — mruknęli przed opuszczeniem gabinetu.

Wyszli z budynku tak jak zawsze, gdy chcieli swobodnie porozmawiać, bez obawy, że ktoś ich podsłucha lub im przeszkodzi. Dwaj mężczyźni znali się prawie od trzech lat. Damien od razu docenił Antoine'a i jego brak osobistych ambicji, dzięki któremu był zawsze gotowy do pomocy kolegom, bez ukrytych motywów i wojenek ego. Rzadki klejnot, szczególnie w komisariacie, w którym wszyscy starają się jak najbardziej zaimponować przełożonemu, aby uzyskać jak najlepsze przeniesienie.

— Weź się do codziennych spraw — polecił Damien, zapalając papierosa.

— Co? Będzie mnie pan potrzebował… — zaprotestował Antoine.

— Będę cię potrzebował tutaj. Ktoś musi zostać w komisariacie i zająć się zespołem. Zastępujesz mnie. Jeśli będzie coś nowego, dam ci znać.

— Zgoda. Myśli pan, że ona z panem porozmawia?

— Jestem tego pewny.

— Naprawdę? Miał pan objawienie w nocy? — zażartował Antoine, próbując rozluźnić atmosferę.

— Niezupełnie.

— Więc dlaczego jest pan takim optymistą?

— Ponieważ wydaje mi się, że odkryłem klucz do jej schronienia.

11

Véronique stała przy recepcji szpitala, kiedy zobaczyła Damiena przechodzącego przez obrotowe drzwi do holu. Na widok jego napiętej od determinacji twarzy zrozumiała, że stało się coś złego, jeszcze na długo przed tym, jak otworzył usta.

— Inspektorze?

— Musimy porozmawiać.

— A może najpierw „dzień dobry"? Co się dzieje? — spytała, podpisując dokument, który podała jej pielęgniarka.

— Nie tutaj. U pani w gabinecie?

— Jak pan każe!

Lekarka zamknęła drzwi i usiadła naprzeciw Damiena. Inspektor trzymał dużą kopertę, którą położył przed nią, nie otwierając.

— Co to jest?

— Powiedziała pani, że najlepszym sposobem na przekonanie Sandrine do rozmowy będzie uspokojenie jej?

— Rzeczywiście. Jeśli nadal będzie czuła, że jest w niebezpieczeństwie, pozostanie uwięziona we własnej rzeczywistości. Aby zmusić ją do opuszczenia wyspy, trzeba jej udowodnić, że nie musi się już niczego obawiać ze strony tego Króla Olch.

— A gdybym miał dowód, że potencjalny napastnik już nie jest w stanie jej skrzywdzić. Czy to wystarczy? — zapytał.

— Odnalazł go pan?

— Być może. Bez zeznań ofiary mamy tylko przypuszczenia.

— Jeśli to ten człowiek ją skrzywdził, nastąpi zauważalna zmiana. Jej schronienie pęknie, a następnie zniknie, ponieważ już nie będzie musiało istnieć. Ale ten proces może zająć dni, tygodnie, a nawet lata. Chyba że…

— Tak?

— Chyba że dowód jest niezaprzeczalny. To przyspieszyłoby powrót do świadomości.

— Myśli pani, że to wystarczy?

Damien wyjął powiększone zdjęcie zwłok i położył je na biurku Véronique. W miejscu głowy denata na fotografii przyklejono żółtą karteczkę. Tylko duża kałuża krwi wskazywała na przemoc ukrytą pod papierem. Psychiatra nie okazała wstrętu ani fascynacji. Jej wyraz twarzy pozostał obojętny, profesjonalny. Ta kobieta z pewnością nie była nowicjuszką, jak to sobie wyobrażał, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Przez chwilę przyglądała się zdjęciu i analizowała, co te zwłoki oznaczają dla ofiary.

— Kto to?

— Frank Wernst.

— Chłop z początku opowieści? — zdziwiła się Véronique.

— Tak. Z pewnością jeden ze „znaków nawigacyjnych" obecnych we wspomnieniach Sandrine.

— Znalazł pan jakieś inne… znaki nawigacyjne?

— Na razie nie. Ale wciąż mam dużo do zrobienia.

— Mój Boże — westchnęła Veronique, odchylając się na krześle. — To nie wróży nic dobrego…

— O co chodzi?

— Czas jest często ważnym wyznacznikiem przy budowie schronienia. Może być konkretny, ale także zafałszowany, zniekształcony… Na przykład w opowiadaniu Sandrine pierwsza data to rok tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty. Nie mogła znać tego okresu, ponieważ ma nie więcej niż trzydzieści lat, prawda?

— Rzeczywiście — zgodził się Damien.

— Zatem rok tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty nie jest prawdziwy. To zniekształcona czasowość, która ma jedynie symbolizować długi okres. Ona sama powtarza to kilkukrotnie: „Czas to pojęcie względne".

— Więc według pani…

— Moim zdaniem była przetrzymywana nie tygodnie czy miesiące, ale dłużej, na pewno kilka lat. W przeciwnym razie jej historia nie zaczęłaby się w tak odległym czasie. A jeśli ten człowiek jest istotą, przed którą Sandrine pragnie uciec, jego obecność od początku historii mówi nam, że był z nią przez ten długi okres…

— Sprawdzałem tylko ostatnie zaginięcia… — mruknął Damien, zorientowawszy się, że popełnił błąd.

— W takim razie powinien pan zainteresować się dawniejszymi.

— Większość akt po czasie ginie — wyjaśnił. — Jeśli Sandrine została porwana, gdy miała, powiedzmy, piętnaście lat, prawdopodobnie sąd uznał jej zaginięcie za ucieczkę. Brak ciała i kłopoty okresu dojrzewania zwykle przechylają szalę w tym kierunku.

— W ten sposób wiele dzieci znika, a ich sprawy zostają zamknięte… Nie przeciążając pracy wymiaru sprawiedliwości — powiedziała z żalem Véronique.

— Czy możemy skłonić ją do rozmowy?

— Co? Teraz?

Damien wyjął z koperty kolejne zdjęcie, przedstawiające materac i przymocowany do ściany łańcuch. Nie potrzeba było wyjaśnień, aby zrozumieć znaczenie tej sceny.

— Miała pani rację. Od początku. Krew znaleziona wewnątrz metalowej bransolety jest tej samej grupy co krew Sandrine. A według pani musiało to trwać latami.

— Cóż… Trzeba ją przygotować, to znaczy w jej stanie lepiej zachować ostrożność. Będzie pan musiał podpisać stosowne dokumenty.

— Zrobię to — zapewnił inspektor.

— I pozwoli mi pan prowadzić rozmowę — dodała Véronique.

— Oczywiście, to pani jest psychiatrą.

— Przygotuję dawkę środka uspokajającego — wyjaśniła. — Wyjście z tej traumatycznej amnezji, otwarcie drzwi schronienia może być dla niej bardzo bolesne, a nawet destrukcyjne. Jej reakcja może być inna, niż pan oczekuje. Ponadto w razie komplikacji będzie obecna pielęgniarka, nie powinniśmy ryzykować…

— Nie będę się wtrącał — obiecał Damien. — Chcę tylko, by wiedziała, że nie ma się już czego bać. Zrobię listę ważnych punktów historii, które mogą być przydatne w śledztwie.

— W porządku, może pan tu zostać. Spróbuję to szybko zorganizować.

Véronique wyszła z biura i wróciła pół godziny później. Napięcie w jej głosie zdradzało niepokój. Wiedziała bardzo dobrze, że istniało ryzyko, iż Sandrine zareaguje gwałtownie na psychologiczny szok wypartej rzeczywistości. Kobieta czuła się bezpieczna w schronieniu, które sobie zbudowała, a za kilka chwil zostanie wyciągnięta z tego miejsca i skonfrontowana z brutalną nagą prawdą. Odzyskując pamięć, ofiara miałaby wrażenie ponownego przeżywania tego, przed czym uciekła, a jej mózg na nowo odczuwałby cierpienia, od których się odłączył.

Należało działać ostrożnie. Lekarstwa niewątpliwie złagodziłyby szok, ale Véronique ostrzegła Damiena, że przy najmniejszych oznakach niebezpieczeństwa będą zmuszeni przerwać rozmowę. Inspektor bez dyskusji skinął głową, ufając ocenie psychiatry. Leczenie takiej choroby może trwać miesiącami. Ale komisarz wyraził się jasno. Damien znalazł się więc w impasie między czasem potrzebnym na terapię a czasem narzuconym przez groźbę zamknięcia komisariatu. Wręczył Véronique listę tematów do omówienia: wojna, Suzanne, dzieci, koty, wiersz, piosenka, godzina dwudziesta trzydzieści siedem, czekolada…

Myśli spisane w pośpiechu, hasła banalne i nieistotne dla każdego, kto natknąłby się na ten ciąg słów bez znajomości całej sprawy. Było tak wiele tropów, kawałków nici, które trzeba pociągnąć, aby rozplątać motek.

Po przeczytaniu listy Véronique poinformowała inspektora, że Sandrine nie śpi i że podano jej dawkę środka uspokajającego oraz beta-blokera, aby stłumić jej biologiczną reakcję na stres. Ten zmieniony stan świadomości miał zmniejszyć ryzyko i cierpienie ofiary.

— Potrzebujemy tych zeznań z prawnego punktu widzenia — usprawiedliwił się Damien, towarzysząc lekarce do pokoju Sandrine. — Nie jestem szczęśliwy, prosząc panią o ponaglenie ofiary.

— Wiem — wymamrotała Véronique, zaciskając szczęki. — Wiem…

* * *

Kiedy weszli do pokoju, czekała tam już pielęgniarka. Zmieniała wodę kwiatom, które sama zerwała w parku. Véronique powiedziała jej, że nie może zostać, ponieważ chodzi o śledztwo, a stan Sandrine nie wymaga czujności wzrokowej. Pielęgniarka skinęła głową i usiadła na korytarzu, gotowa do interwencji w razie potrzeby. Psychiatra postawiła magnetofon

na stole z laminatu i uśmiechnęła się do Sandrine, która też próbowała przesłać uśmiech, ale wyraz jej twarzy był mniej żywy, mniej spontaniczny i bez wątpienia nieco otumaniony przez leki. Następnie Sandrine spojrzała na Damiena, który odsunął swoje krzesło od krzesła Véronique. Inspektor nie był w stanie rozszyfrować jej miny. Kobieta patrzyła na niego, tak jak ktoś wpatruje się w punkt na ścianie, pustym spojrzeniem, tylko po to, by odpocząć, odciąć się od wszystkiego. Uśmiechnął się do niej nerwowo, myśląc o wszystkim, przez co przeszła, i o tym, do czego przypomnienia zamierzał ją zmusić podczas tej rozmowy. Brązowa koperta, którą trzymał w dłoniach, wydawała się ciężka jak wieczne wyrzuty sumienia.

— Jak się pani ma, Sandrine? — zapytała łagodnie Véronique, kładąc rękę na dłoni pacjentki.

Nieznaczne skinienie głową.

— Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, teraz porozmawiamy i tak jak ostatnio nagram naszą rozmowę. Zgadza się pani?

Wystarczająco słyszalne „tak" nieśmiało przedostało się przez jej usta. Nagranie się rozpoczęło.

— Inspektor Bouchard ma za zadanie znaleźć osobę, która panią skrzywdziła. Zostanie z nami w pokoju. Czy to pani odpowiada?

Sandrine przeniosła uwagę na Damiena. Obserwowała go przez chwilę, po czym uśmiechnęła się do niego, jakby właśnie zdała sobie sprawę z jego obecności.

— Znam pana — odezwała się. Jej usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

— Tak, rozmawialiśmy wczoraj.

— Nie, już od dawna — wyjaśniła młoda kobieta.

Jej matowe spojrzenie nagle pojaśniało. Damien poczuł się nieswojo z powodu tej zmiany, której chcąc nie chcąc był źródłem.

— Nie sądzę… — odparł ostrożnie, świadom, że każde jego słowo może wpłynąć na rozmowę.

— W takim razie musiałam się pomylić — zgodziła się Sandrine. Potem zwróciła się do psychiatry: — Może zostać, lubię go.

Véronique podziękowała, ukrywając zmieszanie, jakie wywołały w niej te ostatnie słowa. Postanowiła sprowadzić Sandrine z powrotem do tematu spotkania.

— Chciałabym porozmawiać o Królu Olch — zaczęła cichym głosem.

— On zabił dzieci.

— Wiem, Sandrine, już pani wspominała o tym fakcie. Statek zatonął.

— Utopił je — dodała Sandrine, lekko podnosząc głos. — Były zbyt senne, żeby pływać.

— Król Olch to mężczyzna, prawda?

— Tak, krzepki mężczyzna.

— A pani zrobił coś złego?

— Nie na wyspie. Na wyspie zostawiał mnie w spokoju.

— Gdzie zrobił pani krzywdę?

— W bunkrze… Nie, gdzieś indziej, nie wiem…

Véronique nie była zaskoczona niejasnymi odpowiedziami młodej kobiety. Wręcz przeciwnie. Fakt, że Sandrine zasugerowała inne miejsce, którego nie pamiętała, wskazywał na to, że jej pamięć próbowała ponownie połączyć się z rzeczywistością.

— Dużą krzywdę?

— Tak — potwierdziła Sandrine, opuszczając wzrok.

— Czy sprawiłoby pani ulgę, gdyby pani wiedziała, że tego człowieka już nie ma?

Sandrine podniosła głowę i spojrzała na psychiatrę nierozumiejącym wzrokiem. Jej usta były otwarte, choć nie wydobywały się z nich słowa, a łzy spływały jej po policzkach. Wyszeptała:

— Wzywają mnie każdej nocy… Chcą, żebym wyciągnęła je z mętnej wody.

— Dzieci?

— Tak… Chciałabym, żeby zamilkły… chociaż na jedną noc…

— A gdybyśmy złapali Króla Olch — powiedziała Véronique. — Czy wówczas dzieci dałyby ci spokój?

— Tak, to dlatego ciągle krzyczą, bo on tam jest, bo się boją…

— Sandrine, co by pani poczuła, gdybym mogła udowodnić, że Króla Olch już nie ma? — zapytała lekarka.

— Ulgę.

— Czy pamięta pani pana Wernsta?

— Tak, pojechałam na jego farmę, żeby napisać artykuł o jego krowach.

— Tych, które zostały oznaczone?

— Tak.

— Co pani czuła, gdy odjeżdżała pani z farmy?

— Strach. Jakbym nie mogła tak naprawdę opuścić tego miejsca. Jakby niewidzialna nić trzymała mnie jako więźnia…

— Ale udało się pani odjechać?

— Tak, żeby pojechać… na wyspę — odparła Sandrine po krótkim zawahaniu.

— Czy chce pani kontynuować tę rozmowę? — Lekarka dostrzegła niewielką zmianę barwy jej głosu.

— Tak, chciałabym móc spać spokojnie.

— Inspektor Bouchard sądzi, że znalazł Króla Olch. Czy pozwoli pani, żeby pokazał zdjęcie?

— Tak.

Véronique milczała przez chwilę, oceniając prawdziwą wolę Sandrine. W niektórych przypadkach ofiara nie chce już słyszeć o swoim oprawcy, odmawia słuchania jakichkolwiek informacji na jego temat, aby łatwiej mogła powrócić do równowagi psychicznej. Nikt nie może naruszyć tej woli zapomnienia. Priorytetem zawsze jest rekonstrukcja psychiki pacjenta.

— Doskonale. Obejrzy pani to zdjęcie. Następnie nie będzie pani musiała o tym mówić, poproszę tylko o ostatnią odpowiedź na pytanie. Jeśli będzie pani chciała, rozmowa się wówczas zakończy. Możemy o tym porozmawiać innego dnia, na nic nie nalegamy, rozumie pani?

— Tak.

Damien podszedł ostrożnie. Sandrine obserwowała go bez mrugnięcia okiem, z pewną ciekawością. Słowa psychiatry były wyważone i życzliwe, aby stworzyć atmosferę zaufania. Zadając krótkie pytania, Véronique stopniowo rozwinęła w Sandrine myśl, że Król Olch mógł zostać odnaleziony. Ta technika miała jedynie przygotować ofiarę na to, czego doświadczy, patrząc na zdjęcie.

Lekarka ostrzegła Damiena, że będzie to najbardziej niebezpieczny moment. Że gdy ofiara ujrzy zwłoki Wernsta, emocjonalne znieczulenie schronienia może ulec zniszczeniu, a wtedy cały uśpiony ból może się nagle obudzić. Z tego powodu za drzwiami czekała pielęgniarka z dawką silnego środka uspokajającego, gotowa wkroczyć w każdej chwili. Ale oznaczałoby to również koniec rozmowy i początek długiej i skomplikowanej terapii, której nic nie mogłoby zaburzyć.

Inspektor w pełni zdawał sobie sprawę z tego, o co będzie toczyć się gra w najbliższych kilku minutach. Sandrine leżała nieruchomo w łóżku, a on

zapragnął nagle zawrócić, wyjść z tego pokoju i pozwolić tej młodej kobiecie dojść do siebie po cierpieniach, których mógł się tylko domyślać. W głębi duszy poczuł wstyd jako ten, który kieruje na szafot ofiarę, a nie sprawcę. Zbliżające się zamknięcie komisariatu i rozkazy przełożonego wydawały mu się absurdalne w obliczu tego łagodnego spojrzenia i tej niewinności, złamanej na zawsze. Ostrożnie wyjął z koperty zdjęcie i podał je Véronique. Lekarka położyła je na kołdrze, tuż przed Sandrine, po czym zapytała beznamiętnym głosem:

— Czy to jest Król Olch, który tak bardzo panią skrzywdził?

12

Sandrine długo patrzyła na fotografię. Uświadomiła sobie, że szlocha, dopiero gdy łza spadła na papier.

Pojawiły się niejasne wspomnienia, ulotne jak błyskawica przeszywająca niebo. Sandrine chciała krzyczeć, wyć, rozerwać na strzępy zdjęcie trzymane w dłoniach, ale jej złość stłumiło wielkie zmęczenie. Więc po prostu płakała, wymazując te obrazy łzami, wypychając je ze swojego ciała, pozwalając słonym kroplom obmywać policzki. Z niewidzialnego miejsca rozległy się głosy każące jej porzucić dzieci, błagające, by teraz pozwoliła im pogrążyć się w otchłani zapomnienia. Paul, Victor, Maurice, Françoise, Simon, Claude, Suzanne…

„W porządku, Sandrine. To jedyne rozwiązanie…

Ta izolacja nie jest twoim schronieniem, to twoje cierpienie. Uciekaj, szybko… Zapomnij o nas…"

Cięższe i groźniejsze słowa rozpoczęły ostateczny atak, po czym zniknęły z żalem:

„Zajmij czymś umysł…

Recytuj na przykład poezję…

Będzie łatwiej…

Zobaczysz, jutro, gdy nauczycielka cię zapyta, podziękujesz mi…

Chodź…

Zbliż się…

Będzie łatwiej…"

Sandrine zrozumiała więc, że nadszedł czas, aby otworzyć drzwi i opuścić wyspę.

I postanowiła powiedzieć tę prawdę, która nagle wyskoczyła z jej pamięci…

13

Véronique i Damien z niepokojem obserwowali pierwsze reakcje Sandrine. Psychiatra obawiała się, że cierpienie wywołane wspomnieniami doprowadzi do agresywnego zachowania ofiary, skierowanego zarówno przeciwko nim, jak i przeciwko jej samej.

Ale ku jej zdziwieniu nic takiego się nie wydarzyło.

Młoda kobieta płakała. Przez długie minuty. Jej łkaniu towarzyszyły wyraźne zmęczenie i pełne bólu cierpienie. Przyjęła rękę, którą podała jej lekarka, po czym przyciągnęła Véronique do siebie i schroniła się w jej ramionach. Damien przełknął ślinę, ledwo powstrzymując łzy. Pomyślał o łańcuchu przymocowanym do ściany. O zużytym materacu. O szarym, odpychającym betonie piwnicy. O zapachu pleśni i wilgoci. O ciężkim ciele Wernsta. I o polach, które ciągnęły się bez końca wokół tego przeklętego miejsca.

Pomyślał o diable przebranym za Króla Olch.

I o wielu jego innych przebraniach.

Stare legendy.

Stare wiersze.

Opuszczone lasy i rzeki bez odpowiedzi.

Pokoje bez kogokolwiek, kto mógłby w nich marzyć.

Żałobne wiązanki kwiatów przyczepione do płotu gimnazjum.

Lista była długa. Zbyt długa.

Kobiety puściły się w milczeniu. Szloch zgasł jak pozbawiona tlenu świeca. Sandrine położyła się na łóżku i jeszcze raz spojrzała na zdjęcie.

— Tak, to on. *Der Erlkönig*.

Véronique była poruszona tym stwierdzeniem. Nie była już początkującą lekarką, lecz odporność ludzkiego mózgu nadal ją zaskakiwała, nawet po latach praktyki. Wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi, zdecydowała jednak, że nadszedł czas, by pozwolić Sandrine odpocząć. Chociaż z pozoru płacz ustał, psychiatra ani przez chwilę nie wątpiła, że w umyśle kobiety nastąpił głęboki wstrząs. Leki nie będą działały w nieskończoność. Kiedy Sandrine w pełni odzyska świadomość, śmierć oprawcy uderzy w jej umysł zakopanymi dotąd wspomnieniami. Wówczas będzie potrzebowała pomocy, żeby nie popaść w szaleństwo…

— Sandrine?

— Tak — szepnęła.

— Pozwolimy pani odpocząć — postanowiła Véronique. — Przyjdzie pielęgniarka i da pani coś na spokojny sen. Wykazała się pani wyjątkową odwagą.

— Nie… — wymamrotała Sandrine. — Nie idźcie.

— Przyjdę, kiedy się pani obudzi, i wtedy porozmawiamy o tym wszystkim.

— Nie, zostańcie… Chcę skończyć. Pozwólcie, żebym powiedziała wam prawdę — nalegała Sandrine.

— Na pewno? Jest pani bardzo zmęczona, to może poczekać kilka dni…

„Nie, to nie może czekać… Teraz rozumiem ostatnie słowa mieszkańców: »Musisz nas zostawić, Sandrine, zapomnieć o nas«…

To właśnie muszę zrobić — zapomnieć o nich i zostawić ich na wyspie. Opowiedzieć prawdziwą historię, tę ukrytą za drzwiami mojego

schronienia.

Czy ten policjant mi uwierzy, kiedy usłyszy ciąg dalszy? Ten, który wątpi od początku? Czy piwnica wyda mu się bardziej realna niż były nazistowski obóz lub ciała dzieci porwanych przez prądy?

Zostawiam was, przyjaciele. Chroniliście mnie: wy, ocean, Suzanne… Wszyscy chroniliście mnie przed Królem Olch.

Ale teraz nadszedł czas, nie mogę zawrócić. Muszę opowiedzieć prawdę.

Nawet jeśli oznacza to cierpienie.

Nawet jeśli oznacza to całkowite zapomnienie o was".

Minęło kilka minut, zanim Sandrine znów się odezwała. Wydawała się pogrążona w wewnętrznej walce, której ani Véronique, ani Damien nie odważyli się przerwać. Jej oczy i uwaga wędrowały po pokoju, a usta szeptały zdania przeznaczone dla wyimaginowanych bytów.

Lub dla duchów.

Dla strzępów jej samej.

Nagle młoda kobieta znieruchomiała. Wpatrywała się na przemian w swoich rozmówców, z niedostępną twarzą i niepewnym spojrzeniem, zawieszona między tu a gdzie indziej, szukając właściwych słów.

— Wracałam do domu, było zimno i ciemno. Miałam szesnaście lat…

14

Miałam szesnaście lat.

Wychodziłam z liceum. Następnego dnia o ósmej rano mieliśmy być odpytywani na niemieckim. Moja najlepsza przyjaciółka Marie zapytała mnie, czy nauczyłam się wiersza na pamięć. Potem pożegnała się machnięciem ręki, kiedy wsiadała do szkolnego autobusu, który miał ją zawieźć do domu.

Wtedy widziałam ją po raz ostatni.

Szłam dalej. Znałam drogę na pamięć, mogłam iść z zamkniętymi oczami, gdybym chciała. Każdego dnia, idąc tą samą ulicą, spotykałam tych samych ludzi: Françoise, piekarkę, której sklepik i świeżo upieczony chleb pachniały w całej okolicy; Victora, rzeźnika, w fartuchu usianym plamami krwi, co tak mnie przerażało, kiedy byłam młodsza; Claude'a, księgarza, zawsze gadatliwego i przyjaznego, który uśmiechał się do mnie każdego ranka, a jego oczy błyszczały erudycją. Znałam wszystkie te osoby. Ich nawyki. Ich małe dziwactwa. Żarzące się papierosy odłożone na progu sklepu z powodu nadejścia klienta, irytację w czasie złej pogody, identyczne powitania pomimo upływu lat: „Jak tam, Sandrine? Znów w drodze po wiedzę?", „Musisz jeść więcej mięsa, maleńka, jesteś blada!", „Powąchaj ten pain au chocolat, Sandrine! A jak się ma zakochany Paul?"…

Tego wieczoru wszyscy zajmowali się swoimi sprawami, podsumowując utarg na koniec dnia lub sprzątając półki, kiedy minęłam

czekającego mężczyznę, który stał oparty o ścianę. Nie zwróciłam na niego uwagi, byłam zbyt zajęta sprawdzaniem odpowiedzi na pytanie Marie, czy znam wiersz na tyle dobrze, by móc go od razu wyrecytować.

Szłam dalej w kierunku domu. Zrozumiałam, że mężczyzna idzie za mną, kiedy weszłam w uliczkę i usłyszałam z tyłu jego kroki. Chciałam się odwrócić, ale nie zdążyłam. Grube ramię owinęło się wokół mnie, a dłoń przycisnęła szmatkę do moich ust.

To wszystko, co pamiętam z porwania.

Obudziłam się w ciemnym pomieszczeniu. Nie rozumiałam, gdzie jestem. Bolała mnie głowa i nie widziałam nic dookoła. Próbowałam wstać i byłam przerażona, gdy zobaczyłam, że jestem przykuta za lewy nadgarstek. Pociągnęłam naprawdę mocno, aby zerwać łańcuch, ale nic to nie dało.

Więc płakałam. Krzyczałam.

Ale tam nie było nikogo.

Myślałam, że policja mnie znajdzie.

Że zostanę szybko uwolniona.

Że to tylko koszmar.

Minęła noc.

Następnego dnia nadal byłam związana, skulona na materacu, którego zjełczały zapach budził we mnie wstręt. Światło dnia stopniowo przeganiało ciemność. Zdałam sobie sprawę, że jestem w piwnicy, bo były tam długie drewniane schody.

Przez szybę małego prostokątnego okienka widziałam niebo. Źdźbła trawy przesłaniały to, co znajdowało się na zewnątrz, ale były zbyt cienkie i rzadkie, by zasłaniać słońce.

Była tam też wanna. Wstałam. Mój łańcuch pozwalał mi dosięgnąć kranu. Piłam. Dużymi łykami. Z zamkniętymi oczami. Przekonana, że kiedy otworzę oczy, będę znowu w domu, w swojej łazience, a gdy podniosę wzrok, zobaczę swoje odbicie w lustrze.

Ale kiedy otworzyłam oczy, ujrzałam tylko szarą ścianę, której tynk kruszył się z powodu upływu czasu, a wilgoć sprawiła, że widać było kamienie tworzące fundamenty.

Ogarnęła mnie nagła panika.

Spędziłam długie godziny, krzycząc, płacząc, błagając i ciągnąc za łańcuch, którego bransoleta raniła mi nadgarstek.

Potem, zwinięta w kłębek, czekałam z nadzieją.

Właśnie zapadła noc, kiedy usłyszałam, jak otwierają się drzwi. Nad moją głową zatrzeszczała jarzeniówka i piwnicę zalało światło. Ze schodów zszedł mężczyzna i stanął przede mną. W rękach trzymał tacę. Postawił ją u stóp schodów i usiadł.

— Jesteś głodna?

— Proszę mnie wypuścić!

— Nie o to pytałem.

— Policja mnie znajdzie, skurwielu!

Więc wszedł po schodach, ignorując moje obelgi.

Dużo później wrócił. Jego sylwetka, na którą nie zwróciłam uwagi, kiedy przyszedł za pierwszym razem, teraz zrobiła na mnie wrażenie. Był wprawdzie niewiele wyższy ode mnie, ale muskularny, o naturalnie szorstkich ruchach. Zimne spojrzenie niebieskich oczu zmroziło mnie ze strachu. Podrapał się po brodzie potężną ręką, która mogłaby mnie udusić jednym uściskiem. Nigdy nie spotkałam tak dzikiego człowieka. Jego

zmierzwiona broda i potargane włosy nadawały mu wygląd zwierzęcia, drapieżnika, którego byłam ofiarą.

Na czas swojej nieobecności zostawił włączone światło, pozwalając mi tęsknie wpatrywać się w kanapkę, która była poza moim zasięgiem.

— Jesteś głodna?

— Tak.

— Nie zrobisz nic głupiego, jeśli dam ci jedzenie?

— Nie.

— Najpierw wypijesz czekoladę. Zrobiłem ją dla ciebie.

— Dobrze.

Podszedł i wręczył mi duży porcelanowy kubek, który wydawał się kruchy w jego silnej dłoni. Na kubku był napis reklamowy: *Czekolada Menier, dobrostan Wszechświata*. Umoczyłam usta w letnim napoju, po czym wypiłam go niemal jednym haustem. To mi dobrze zrobiło. Nic nie jadłam od dwudziestu czterech godzin.

Wszystko stało się nierealne. Kształty wokół mnie, słowa tego człowieka, moja obecność w tej piwnicy…

Kazał mi się położyć. Wtedy poczułam na sobie jego dłonie. Chciałam go odepchnąć, ale nie mogłam. Moje oczy zamykały się mimo woli. Miałam wrażenie, jakbym była pod wodą, bez możliwości widzenia, słyszenia ani swobodnego poruszania się. Potem zrobiło mi się zimno. Kiedy odwróciłam głowę, zauważyłam, że moje ubrania leżą na podłodze. Nie przypominałam sobie, żebym je zdejmowała. Mężczyzna zbliżył się do mnie tak bardzo, że czułam na czole jego oddech. Płakałam. Myślę, że płakałam.

Więc szepnął mi do ucha:

„Zajmij czymś umysł…

Recytuj na przykład poezję…

Będzie łatwiej…

Zobaczysz, jutro, gdy nauczycielka cię zapyta, podziękujesz mi…

Chodź…

Zbliż się…

Będzie łatwiej…".

I posłuchałam.

Wer reitet so spät durch Nacht und Wind…

Recytowałam ten wiersz, schroniłam się w nim. Wyobraziłam sobie, że stoję w klasie, twarzą do kolegów. Musiałam się przyłożyć, żeby dostać dobrą ocenę. Powtórzyłam to w myślach, a mężczyzna zdjął spodnie.

I nagle poczułam w środku nieopisany ból.

15

Mijały tygodnie, potem miesiące.

Rytuał był ten sam.

Dwudziesta trzydzieści siedem. Schodził po schodach.

Musiałam wypić czekoladę, po czym kładł się na mnie i mnie penetrował.

Potem wychodziłam z odrętwienia. Mogło to trwać godzinami. Długie godziny błądzenia między rzeczywistością a wyobraźnią, kiedy wmawiałam sobie, że to się nie wydarzyło, że to brak mamy i przyjaciół spowodował halucynacje…

Ale ból był prawdziwy. Zbyt realny, aby być kłamstwem.

Czasami mój oprawca wyjeżdżał na kilka dni. Nie wiedziałam dokąd, ale zanim wyruszał, przynosił mi tacę z kilkoma kanapkami, starannie zawiniętymi w celofan. Mówił tylko, że nie będzie mógł mnie odwiedzać przez pewien czas, że będę musiała zarządzać swoimi zapasami i że jak wróci, przyniesie mi prezent. Pod warunkiem że będę grzeczna…

Za każdym razem obserwowałam z zaskakującą złością, jak wchodzi po schodach.

Nie była to złość na niego.

Ale na samą siebie.

Bo kiedy potem drzwi się za nim zamykały, ogarniało mnie niezrozumiałe uczucie głębokiego smutku. Trudno było to przyznać

i zaakceptować. Ale ten człowiek był moim jedynym towarzystwem, choć tak podłym. Jedynym głosem, jaki słyszałam.

Za pierwszym razem siedziałam przez kilka godzin, wpatrując się w drzwi piwnicy. Powinnam była się cieszyć, próbować zerwać łańcuch, szukać drogi ucieczki, wołać o pomoc… Ale zadowoliłam się czekaniem na jego powrót, obserwując zegar na przeciwległej ścianie; mając nadzieję, że kiedy nadejdzie ta godzina, usłyszę kroki na drewnianych stopniach; czekając niecierpliwie jak pies na powrót swojego pana.

Więc się spoliczkowałam, podrapałam, winiłam się za tę melancholię, tę odrażającą tęsknotę, która dusiła mnie bardziej niż cztery ściany mojego więzienia. Nazywałam się dziwką, wariatką, idiotką. Lecz podczas tego obłudnego oburzania się nie mogłam się powstrzymać od obserwowania godziny i zanoszenia modłów, aby ten człowiek nie zostawił mnie tak, jak zrobił to przed laty mój ojciec, kiedy byłam dzieckiem, po prostu zamykając drzwi naszego domu, by nigdy nie wrócić. Bez spojrzenia. Bez żadnego wyjaśnienia.

Dwudziesta trzydzieści siedem.

Tej nocy na schodach nie rozległy się kroki.

Zostałam sama.

Opuszczona przez bliskich, ponieważ przy moim więzieniu nie rozległa się żadna syrena policyjna. Czy chociaż zgłosili moje zaginięcie? A może właśnie na to wszystko sobie zasłużyłam… Może nie byłam wzorową córką, o jakiej marzyła moja mama, tak jak nie potrafiłam w pełni sprostać oczekiwaniom nauczycieli, którym odpowiadałam z nonszalancją nastolatki. Czy zasłużyłam na swój los? Czy to, że siedziałam tutaj, w tej piwnicy, opuszczona nawet przez swojego kata, nie było spowodowane moim zwyczajem rozczarowywania ludzi, którzy mnie znali? A jeśli moje zniknięcie nikogo nie obchodziło?

A jeśli wszyscy o mnie zapomnieli jak o nieprzyjemnej zimie?

Pierwszym prezentem, jaki mi podarował, była książka o drugiej wojnie światowej. Strony były pogniecione, okładka uszkodzona, ale ucieszyłam się z niej jak z cennego skarbu. W końcu będę w stanie uciec, wydostać się z tej piwnicy. To nic, że miałam biec pośród pól bitewnych, zrujnowanych miast i masowych grobów! Przeczytałam ją w jeden dzień, przerywając lekturę tylko po to, aby skorzystać z toalety, prymitywnej instalacji składającej się z wydrążonego w betonie otworu, którego kanał — przecięta wzdłuż plastikowa rura — znikał w ścianie, aby odprowadzać odchody na zewnątrz.

Następnie pojawiły się inne książki: Obcy, Wichrowe Wzgórza, zbiór wierszy Goethego (tę dostałam na urodziny), Podróż do kresu nocy… Za każdym razem, gdy wyjeżdżał na kilka dni, wracał z książką.

Pewnego wieczoru, gdy spytał mnie, którego autora książkę chciałabym dostać, odważyłam się wyrazić życzenie. Wypowiedzenie tej prostej prośby zajęło mi trochę czasu. Ale czułam, że choć kilka razy w tygodniu podawał mi narkotyki, aby mnie przelecieć, bardzo chciał, żeby moje uwięzienie było mniej bolesne. Zwyczajne kanapki ustąpiły miejsca ciepłym posiłkom. Początkowo były to zupy, niewymyślne i niezbyt urozmaicone, ale potem przynosił mi dania gotowane z mięsem, rybą… Śniadania i obiady nie były mi przynoszone o określonej porze, ale wieczorem jego precyzja nie zawodziła.

Dwudziesta trzydzieści siedem.

Drzwi się otworzyły i poczułam aromat gulaszu wymieszany z zapachem czekolady, o której nigdy nie zapominał.

Jego słowa i gesty stały się również mniej brutalne, mniej autorytarne.

Opuścił gardę. Zrozumiałam go i dziękowałam mu ciszą moich niewypowiedzianych słów.

Bez wątpienia myślał, że się w nim zakochałam. Ten słynny syndrom, którego nazwy zapomniałam… Więc mówiłam do niego spokojnym głosem, pozbawionym zgryźliwości, ale wypełnionym uśpionymi groźbami.

W ramach testu poprosiłam go o coś specjalnego: gazety.

Najpierw tylko spojrzał na mnie swoimi niebieskimi oczami. Nie wiedziałam, czy jego milczenie to wyraz akceptacji, czy odrzucenia. Bez odpowiedzi zniknął na schodach.

Straciłam poczucie czasu. Nie wiedziałam, ile już miesięcy jestem przykuta do tej ściany. Próbowałam to policzyć, rysując kamykiem po betonie. Na początku stawiałam kreski, które następnie przekreślałam w zestawach po dziesięć dni.

Ale kiedy to zauważył, zmył je wodą, zarzucając mi, że nic nie rozumiem, powtarzając, że czas jest pojęciem względnym, że może doprowadzić do szaleństwa… Więc nadal zaznaczałam dni na ścianie, zmieniłam jednak technikę, tak żeby się nie zorientował. Rysowałam sylwetkę wisielca i kłamałam, że to tylko zabawa dla zabicia czasu i że te karykatury są moimi wymyślonymi przyjaciółmi, których liczba wzrastała z upływem tygodni.

Dwie kreski to nogi, dwie to ramiona i jedna — tułów. Razem pięć kresek. Pięć dni. I kółko jako głowa. Jak gasnące słońce. Jak ta gwiazda, której mogłam się tylko domyślać w świetle okna, nigdy nie mogąc jej zobaczyć.

Ale znowu: kiedy tłum „wymyślonych przyjaciół" urósł do tego stopnia, że musiałam się wygiąć, aby dotrzeć do kawałka czystego betonu,

postanowił wszystko wymazać. Wyczyścił ścianę, a ja patrzyłam oszołomiona, próbując policzyć ludziki, zanim zniknęły.

Zdołałam naliczyć tylko sto, zanim ściana stała się pusta i bezużyteczna jak zegar bez wskazówek.

Następnego dnia (czy zrobił to, abym mu wybaczyła?) zobaczyłam go schodzącego po schodach ze stosem gazet w ramionach. Stłumiłam uśmiech, udając złość i urazę. Ale w głębi duszy płonęłam z niecierpliwości, by rzucić się na nagłówki i przeczytać wiadomości ze świata zewnętrznego; aby powiększyć to okno do tego stopnia, że będę w stanie się przez nie wydostać, odkrywając wiadomości o Wszechświecie, do którego już tak naprawdę nie należałam. Położył je i wyszedł bez słowa. Gdy tylko drzwi się zamknęły, podeszłam do stosiku i rozłożyłam jedną, szukając daty. Kilka sekund później ze złością rzuciłam gazety przez piwnicę.

Wszystkie pochodziły z 1961 roku.

Stare papiery pożółkłe od starości i wilgoci, retrospekcje jako nadzieja na przetrwanie teraźniejszości.

Doznałam gwałtownego załamania nerwowego. Krzyczałam, waliłam w ściany, szarpałam z całej siły za łańcuch, modląc się, by mój nadgarstek oderwał się od przedramienia, i przeklinałam swoją głupotę. Jak mogłam uwierzyć, że mam nad nim jakąkolwiek władzę? Jak mogłam zapomnieć, że jestem dla tego mężczyzny tylko kawałkiem mięsa do pieprzenia, suką przywiązaną do łańcucha? Długo siedziałam oparta o świeżo wyczyszczoną ścianę, szlochając i wpatrując się w zegar naprzeciwko mnie.

Tego wieczoru o dwudziestej trzydzieści siedem jarzeniówka została włączona, ale nie oświetlała żadnego gwałtu. Po prostu przyniósł mi talerz i odszedł, nawet na mnie nie patrząc.

To była ostatnia lekcja tego dnia: jego obecność również mogła być rzeczą zmienną.

Moje zachowanie spowodowało brak jego zainteresowania.

Mogło to być dobrą wiadomością. Nie było czekolady, dotykania, penetracji i wstrętu po odzyskaniu przytomności.

Ale miałam też pewność, że jeśli jego brak zainteresowania się utrzyma, nie będę mu już potrzebna…

Dni mijały. Już nie musiał rozkładać mi nóg siłą. Otwierały się przed nim jakby odruchowo. Mój mętny umysł nadal recytował wiersz, chociaż nikt mi już tego nie zalecał. Stopniowo znikały twarze moich kolegów z klasy. Próbowałam się skoncentrować, aby wyobrazić sobie ich rysy, ale narkotyki i czas sprawiły, że wyglądały jak płaskie cienie. Gdy po wszystkim zostawałam sama, jadłam, wciąż oszołomiona, po czym długo siedziałam w wannie, myjąc się. Myślałam o samobójstwie. Potrzeba tylko trochę wody, żeby się utopić, gdzieś to wyczytałam. Ale nie miałam odwagi. Instynkt przetrwania? Nie, po prostu słabość.

Wiem, nad czym się zastanawiacie. Kiedy postanowiłam schronić się na wyspie?

Zaraz do tego dojdziemy.

Zanim się tam udałam, potrzebowałam powodu.

Były przemoc, uwięzienie, wyobcowanie.

Ale z biegiem czasu, choć wstyd przyznać, przyzwyczaiłam się do tego. Mój bunt z pierwszych godzin ustąpił miejsca rezygnacji, tak jakby mózg mi mówił: „To nie ma znaczenia, to tylko złe doświadczenie do przejścia, przeżyjesz to, zamknij oczy i recytuj poezję". Czułam się, jakbym była poza wszystkimi tymi wydarzeniami, a kiedy we mnie wchodził, moja świadomość wyrywała się z ciała i wędrowała przez olchowy las, który

zamieszkiwały mitologiczne stworzenia. Pewnego wieczoru jednak wróciła do mnie okrutna rzeczywistość mojego położenia. Gdy tylko zaczął schodzić po schodach, zdałam sobie sprawę, że nie jest w normalnym stanie. Jego chód był chwiejny, niepewny. Kiedy pochylił się nade mną, rozejrzałam się za kubkiem czekolady, ale go nie zauważyłam.

Jego oddech cuchnął alkoholem.

Ten człowiek spoliczkował mnie, krzyknął, że żadna poezja nie może mnie uratować, i wszedł we mnie z niesłychaną furią. Tym razem nie udało mi się zniknąć. Pozostałam zamknięta w swoim ciele, kiedy mnie odwrócił i penetrował tam, gdzie nie był nigdy wcześniej. To było jak powtórna pierwsza noc. Bardziej brutalna. Nie jadłam przez wiele dni. Okręciłam szyję łańcuchem, ale nie umiałam zacisnąć go wystarczająco mocno. Bardziej niż kiedykolwiek bałam się chwili, gdy wskazówki zegara dojdą do przeklętych cyfr.

Wtedy poznałam Sandrine.

I ona mnie uratowała.

16

Sandrine znajdowała się na stronie dwunastej.

W dziale *Dzienniki z podróży* w starych gazetach. Przeczytałam to trochę przez przypadek, próbując zwalczyć nudę. Sandrine natychmiast mnie zafascynowała. Była silną i niezależną kobietą, ukończyła prestiżową szkołę dziennikarską i podróżowała po świecie, opisując swoje wrażenia.

Sandrine Vaudrier.

Od razu ją pokochałam i na swój sposób jej zazdrościłam.

Cieszyła się wolnością, którą mogłam sobie tylko wyobrazić. Pogrążyłam się w jej tekstach z takim samym zapałem jak w książkach, które przeczytałam dwukrotnie. Rozłożyłam gazety i wyrwałam wszystkie jej artykuły, aby schować je pod materacem, na wypadek gdyby mój strażnik w jednym ze swoich coraz bardziej regularnych ataków przemocy postanowił pozbawić mnie możliwości czytania.

Dzięki niej śniłam. Nie zdarzało mi się to od lat.

Nie wiem, czy to odkrycie miało jakikolwiek widoczny wpływ na moje zachowanie, ale mój oprawca zdawał się to dostrzegać i na swój sposób mi pogratulował. Prawdopodobnie sądził, że pogodziłam się ze swoim losem; że w końcu zrozumiałam, iż nie chce mnie skrzywdzić, że moja sytuacja po prostu jest jaka jest i zrobię najlepiej, jeśli się do niej dostosuję. Przestał pić, a przynajmniej kiedy schodził na dół, jego oddech nie cuchnął już alkoholem. Nadal przynosił mi stare gazety oraz gotowane posiłki.

Pewnego ranka wydarzyło się coś wyjątkowego.

Mężczyzna przyniósł mi śniadanie i poszedł na górę. Tyle że zamiast jak zwykle zamknąć drzwi, zostawił je uchylone. Próbowałam zobaczyć, co się za nimi kryje, ale nie udało mi się nic dojrzeć. Po kilku minutach na dół zszedł kot. Naturalność i pewność siebie, z jaką przekroczył granicę przestrzeni, która do tej pory widziała tylko dwie poruszające się w niej osoby, zaniepokoiły mnie. Jego pręgowane futro falowało przy każdym ruchu. Zamknęłam oczy, myśląc o mirażu wywołanym zmęczeniem, ale kiedy otworzyłam je ponownie, zwierzę wciąż tam było, o kilka stopni niżej. Z kocią zwinnością dotarło do stóp schodów, a potem zniknęło w ciemnym kącie piwnicy i tam się ukryło.

Następnego dnia drzwi znów pozostały otwarte i Paul szybko wyszedł (nie znając imienia kota, postanowiłam tak go nazwać na cześć ukochanego z mojego dawnego życia). Tym razem ostrożnie zbliżył się do mnie, jego źrenice były rozszerzone i czujne. Zamarłam. Martwiłam się, że nawet najmniejsze drgnienie sprawi, że łańcuch zadźwięczy i go przestraszy. Kot zbliżał się, posyłając mi spojrzenie równie przerażone jak moje. Powoli jego pyszczek po raz pierwszy dotknął skóry mojej nogi, potem otarł się o moje kolano i nieśmiałe mruczenie rozległo się w tej małej bańce normalności, którą właśnie dla siebie stworzyliśmy.

W ten sposób Sandrine i Paul zostali moimi pierwszymi przyjaciółmi. Moje pierwsze dwie iskry w ciemności. Każde z nich miesiącami nadawało rytm moim dniom. Poranek był poświęcony Paulowi i pieszczotom. Popołudnie spędzałam na lekturze przygód Sandrine. Wieczorem znikałam dzięki staremu wierszowi, który wciąż był również moją ucieczką.

Moje codzienne życie było zorganizowane wokół tych nawyków, skracając godziny, przyspieszając czas i oddalając mnie od okresu dojrzewania.

Mój kat się mną opiekował. Obcinał mi włosy, regularnie przynosił mydło i tampony, od czasu do czasu odpinał mi bransoletę z nadgarstka, abym mogła pochodzić po pomieszczeniu i rozprostować kości. Oczywiście mnie obserwował, gotów rzucić się na mnie przy najmniejszym fałszywym ruchu.

Zdając sobie sprawę, że kot spędza przy mnie coraz więcej czasu, postawił obok wanny miskę kociej karmy. Czasami sam przynosił zwierzę. Paul mruczał beztrosko w jego ramionach, po czym wskakiwał na materac, żeby się o mnie otrzeć. Widok tego mężczyzny zachowującego się z taką życzliwością sprawił, że zwątpiłam w jego potworność. Szeptał kotu miłe słowa, pieścił go czule, uśmiechał się do niego, po czym patrzył z rozbawieniem, jak baraszkuje w piwnicy.

Pory roku następowały po sobie.

Pojawiły się nowe książki.

Miewałam chwile głębokiej depresji i rezygnacji.

Pozwalałam, by dni mijały, już nie starając się ich powstrzymywać. Przestałam też płakać. Nadal nie zrezygnowałam z pomysłu ucieczki, ale zastanawiałam się coraz bardziej nad światem, który zastanę, kiedy wyjdę z tego pomieszczenia. Paul odwiedzał mnie codziennie, czasami nawet ze mną spał. Rozmawiałam z nim i wyobrażałam sobie jego odpowiedzi. Opowiadałam mu historie, recytowałam wiersz. Powiedziałam mu, że nazywam się Sandrine, jestem dziennikarką i chętnie zabiorę go ze sobą w następną podróż.

Pewnego ranka w piwnicy pojawił się kolejny kot. Była to kotka w czarno-białe łatki, z nabrzmiałym brzuchem. Zeszła po schodach, za nią Paul, i schroniła się pod stopniami. Kilka godzin później rozległo się ciche

miauczenie i przybył mężczyzna z szerokim uśmiechem na twarzy. Powiedział, że teraz będę się czuła mniej samotna.

Każdemu kociakowi nadałam imię. W sumie było ich dziesięć, z dwóch różnych miotów. Biegały swobodnie między światem zewnętrznym a piwnicą, ponieważ drzwi były teraz otwarte również w nocy. W ten sposób moi dawni koledzy wrócili do mnie jako zwierzęta. Kontynuowałam rozmowy, które prowadziliśmy jako dzieci, zwracając się do tych futrzaków. Zapewniłam Marie, całkiem białą oprócz czarnej plamki na pyszczku, że mogę śmiało wyrecytować wiersz, nie wahając się przy żadnym słowie, a ona opowiadała mi, jak jej idą zajęcia na uniwersytecie. Pierre, Fabien, Julie, Marie… Wszyscy wrócili, aby dotrzymać mi towarzystwa.

Wszyscy chcieli usłyszeć historie z moich wspaniałych podróży.

17

Odtąd mój oprawca stał się delikatniejszy. Przychodził zaspokoić żądze, ale rzadziej. Często schodził do piwnicy, siadał i głaskał koty. Potem odchodził i znikał aż do następnego dnia.

Spędzałam czas, opiekując się nimi. Czytałam im fragmenty różnych książek, mówiłam, że moja babcia Suzanne też poszła na wojnę, że była kobietą, którą pragnęłabym lepiej poznać i której chciałabym zadać wiele pytań. Wymazałam jej śmierć, wymyślając dla niej życie, daleko stąd, ale częściowo odizolowane jak moje, na wyspie, której istnienia nikt nie podejrzewa, i przysięgałam, że nigdy nie pozwoliłaby Królowi Olch zbliżyć się do nich. Wyobraziłam sobie, że pewnego dnia zostanę wysłana na jej wyspę, aby napisać reportaż, i że nadrobimy względność czasu, spędzając razem wiele długich godzin. Kocięta zadawały mi pytania, na które szczegółowo odpowiadałam. Stworzyłam historię, w której wszyscy byliśmy więźniami Króla Olch, ale zapewniałam je, że nikt nie ulegnie jego obietnicom, ponieważ Suzanne nas wszystkich uwolni.

Wieczorem, żeby je uśpić, śpiewałam im piosenkę, której moja mama uwielbiała słuchać.

Parlez-moi d'amour,
Redites-moi des choses tendres…

Stara piosenka do walki ze starym wierszem.

* * *

Prawie zapomniałam o uwięzieniu. Nie tylko dlatego, że znalazłam przyjaciół, z którymi mogłam porozmawiać i dzielić swój czas, ale także dlatego, że w opowiadanych przeze mnie historiach stawałam się coraz bardziej odizolowana. Szare ściany mojego więzienia znikały, by zrobić miejsce skałom i dzikim trawom. Ocean huczał i zalewał mój umysł zapachem jodu. Koty zamieniły się w koleżanki i kolegów z klasy, z którymi grałam w piłkę, jeździłam konno lub malowałam ściany piwnicy kolorową kredą. Pomieszczenie zamieniało się w stary bunkier z książki o drugiej wojnie światowej. Krajobraz przekształcał się we wrzosowisko opisane przez siostry Brontë. A ja stałam się bohaterką własnego „dziennika z podróży".

Czas mógłby tak płynąć latami, a ja nie myślałabym o ucieczce. Poza tym pomysł rozdzielenia się z przyjaciółmi był dla mnie nie do zniesienia. A w dodatku to nie był jedyny powód, dla którego nie czułam się tak prześladowana jak wcześniej.

On też brał udział w tym urojeniu.

Ten, którego nazwałam podczas jego nieobecności Królem Olch, rzadko mnie prześladował. Nie schodził już do piwnicy z tą samą częstotliwością. Jego wizyty stały się rzadsze, aż zanikły całkowicie. Nie znałam przyczyny. Jedno było pewne, nie cierpiałam już z powodu tego porzucenia tak jak na początku.

Miałam inne osoby, które dotrzymywały mi towarzystwa.

Ale pewnego ranka możliwość ucieczki zmaterializowała się w formie zwykłego kamienia. Émilie, szara kotka, zapuściła się w wąską przestrzeń między wanną a ścianą. Utknęła i miauczała o pomoc. Pociągnęłam za

łańcuch i uwolniłam zwierzę z potrzasku, karcąc je, by więcej tam nie wchodziło.

Wtedy właśnie go zobaczyłam.

Niewielki wyciek przez lata przesiąkał i osłabiał zaprawę. Nie wiem, kiedy ten kamień oderwał się od całości, ale kiedy wzięłam go do ręki, jego waga mnie zaskoczyła. Był ciężki, z ostrym końcem, jak duży pięściak. Włożyłam go do wnęki, drżąc na myśl o tym, że może zostać odkryty, po czym usiadłam z powrotem na materacu, przytłoczona możliwością, jaką dawało mi to znalezisko.

Miałam broń.

Teraz musiałam jedynie poczuć odpowiednio silny gniew.

I niestety pojawił się on następnego dnia, w swojej najbardziej ohydnej postaci.

18

Obudził mnie głos. Ocknęłam się z letargu, delikatnie odpychając kulki, które zwinęły się wokół mnie na noc, i wyprostowałam się, żeby lepiej słyszeć. Serce natychmiast zabiło mi mocniej. Nasłuchiwałam, czy rozmowa dobiega zza uchylonych drzwi. Słowa brzmiały zbyt niewyraźnie, by wypowiadano je tak blisko, ale byłam pewna, że rozmawiają ze sobą dwie osoby.

Krótki ruch sprawił, że odwróciłam głowę. Przez okno zauważyłam nogi. Ktoś tam stał. Nieznajomy, którego szczupła twarz w żaden sposób nie odpowiadała twarzy mojego oprawcy.

Nie wahałam się ani chwili.

Wstałam, podbiegłam bliżej okna, pociągając za łańcuch, i wrzeszczałam tak głośno, jak tylko potrafiłam. Koty wokół mnie uciekały przed moim krzykiem, z pewnością mnie nie poznawały. Gardło mnie piekło, łzy złości i nadziei przesłaniały mój wzrok, ale mimo wszystko wołałam dalej, ponownie czując wewnątrz ciała palące obtarcia wielu penetracji, wypluwając gryzący smak fałszowanej czekolady, krzywiąc się z powodu piekących zadrapań spowodowanych noszeniem żelaznej bransolety… Całą swoją nienawiść kierowałam w te krzyki, w tę nienawiść do niego, do siebie i do tych lat pogodzenia się z własną sytuacją. Podskoczyłam z radości, gdy nogi zniknęły z ramy okna. Wkrótce nieznajomy przyjdzie, aby mnie uratować. Zaalarmuje policję, a skurwysyn Król Olch zgnije w piekle…

Ale żaden rycerz nie zszedł po schodach.

Zamiast niego zjawił się mój kat, podbiegł i rzucił się na mnie. Jego wielka ręka uniosła się w powietrze i uderzyła mnie z siłą, która powaliła mnie na ziemię. Minęło kilka sekund, zanim odzyskałam przytomność. Smak krwi zalał mi usta, a piskliwe syknięcie odbiło się od ścian mojej głowy.

— Ty brudna suko! Słono za to zapłacisz! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem! Możesz mi wierzyć, jeszcze będziesz tego żałować!

Słyszałam, jak wchodzi po schodach. Nie mogłam już dłużej myśleć. Nieustający ból pulsował mi w głowie. Spędziłam kilka godzin na podłodze. Nie chciałam już niczego: ani wstać, ani się mścić, a tym bardziej żyć. Chciałam tylko pojechać na wyspę, schronić się tam, wypłakać się w ramionach Suzanne, a potem bawić się z przyjaciółmi.

Więc zamknęłam oczy. Wyobraziłam sobie, jak stoję na statku obok mojego ukochanego z gimnazjum. Modliłam się, żeby pogoda nie była tak zmienna, żebym wróciła do życia i zostawiła za sobą spodziewaną śmierć, żeglując na pokładzie Lazarusa.

Ale moja nadzieja nie mogła zmienić katastrofalnego wiersza Goethego. Król Olch pojawił się wieczorem, milczący, z niedostępnym wyrazem twarzy. W dłoniach trzymał tacę z miskami.

Dwudziesta trzydzieści siedem.

Czy zamierzał mnie zgwałcić w okrutny sposób? Czy planował mnie torturować, abym pożałowała swojego czynu?

Rozstawił miski w kilku miejscach na podłodze i podszedł do wanny. Kątem oka obserwowałam, jak zatyka odpływ i odkręca kurek. Parująca woda płynęła szybko, gdy pierwsze koty zbiegły po schodach, zwabione zapachem posiłku. Niektóre z nich przyszły prosić o pieszczoty, a potem uciekły, żeby wychłeptać zawartość misek. Mężczyzna usiadł na pierwszym

stopniu schodów. Patrzył na mnie ponuro, spojrzeniem, jakiego nigdy u niego nie widziałam, nawet podczas naszych „stosunków".

Gdy wanna była pełna, zakręcił wodę i przytulił Paula. Głaskał go przez kilka minut. Kot zasnął spokojnie. W tej chwili myślałam, że mój oprawca wyjdzie. Że mnie tam zostawi. Obawiałam się, czy nie wróci później i nie przypieczętuje mojego losu.

Zamiast tego podszedł do wanny i zanurzył w wodzie Paula, pierwszego kota, który przyszedł mnie pocieszyć. Ogarnął mnie strach, nie mogłam wydać z siebie żadnego dźwięku, skamieniałam z przerażenia. Trzymał zwierzę pod wodą przez długie minuty. Kiedy wreszcie podniósł ręce, zwłoki unosiły się jak porzucona pluszowa zabawka w korycie śpiącej rzeki. Następnie Król Olch ruszył w stronę innych zwierząt, które leżąc na podłodze w piwnicy, na wpół śpiące, nie zdawały sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa. Krzyczałam, żeby je obudzić. Wstałam, ale natychmiast uderzenie tak mocne jak poprzednio rzuciło mnie na materac.

Potwór zbierał koty jeden po drugim i je topił.

Próbowałam go powstrzymać, podbiegłam do wanny, żeby je wyciągnąć, wołałam do nich, że zabiorę je na wyspę i że wszystko będzie jak dawniej. Wściekałam się na nie za to, że wypiły tę czekoladę, i krzyczałam, że dobrostan Wszechświata nie może mieć takiego gorzkiego, sztucznego smaku…

Było za późno.

Wszystkie zginęły.

Mężczyzna znieruchomiał obok mnie.

— Mówiłem ci, że będziesz tego żałować. To twoja wina, że zginęły.

Nie wiem, jak mi się udało.

Nie potrafię sobie przypomnieć, jak chwytam kamień za wanną. Wiem tylko, że mój oprawca odwrócił się do mnie plecami, i to wystarczyło. Zadałam pierwszy cios. Krew trysnęła i rozlała się po skórze jego głowy. Gapił się na mnie, a w jego oczach pojawił się błysk niezrozumienia. Nie dałam mu czasu na wykonanie ruchu. Natychmiast uderzyłam go kamieniem w czoło. Raz. Drugi raz. Potem uderzałam dalej, a on upadł na ziemię. Nie mogłam przestać. Jego czaszka pękała przy każdym ciosie, zalewając swoją zawartością moje ubranie, moją twarz, beton. Potem długo siedziałam obok niego.

Przeszukałam kieszenie jego spodni i chwyciłam pęk kluczy.

Uwolniłam się i niepewnie ruszyłam w stronę schodów.

Na schodach przed drzwiami wejściowymi znalazłam parę śnieżnobiałych tenisówek. Włożyłam je i stałam nieruchomo, obserwując szary krajobraz.

Miałam rację. Na zewnątrz nic na mnie nie czekało. Jak okiem sięgnąć, pola. Brak choćby najmniejszego znaku przyjaznej obecności ani powodu do nadziei.

Nie byłam gotowa zmierzyć się z tą nową ciszą i samotnością. Nie miałam pojęcia, jaki był świat za tymi zaroślami i wierzbą płaczącą. Nie wiedziałam, czy moje prawdziwe miejsce w tym Wszechświecie nie było tym, które właśnie opuściłam, zabiwszy człowieka.

Po prostu nie sądziłam, że jestem w stanie to przeżyć.

Więc udałam się na wyspę.

19

Sandrine zakończyła opowieść, prawie szepcząc ostatnie zdania.

Véronique i Damien milczeli. Częściowo z szacunku dla wyznania i horroru, który potępiali, ale także dlatego, że czuli się, jakby byli tam razem z nią, również uwięzieni między ścianami tej piwnicy.

Młoda kobieta wpatrywała się w koc swojego szpitalnego łóżka, mnąc go, zapadając wbrew sobie w sen farmakologiczny.

Inspektor chciał coś powiedzieć, ale psychiatra położyła dłoń na jego przedramieniu, aby go powstrzymać. To ona przemówiła, aby to zakończyć:

— Sandrine, dziękujemy za rozmowę. Potrzeba było dużo odwagi, aby stawić czoła temu człowiekowi, a jeszcze więcej, by teraz ponownie przeżyć te tragiczne chwile. Pozwolimy pani odpocząć, a resztę omówimy jutro, jeśli pani zechce. Chciałabym pani pomóc. Na pewno zajmie to dużo czasu, ale nie wątpię, że uporamy się z tymi bolesnymi wspomnieniami. Czy sądzi pani, że to możliwe?

Sandrine tylko lekko skinęła głową, jakby jej cała siła zniknęła wraz z opowiedzianą historią.

— W porządku, teraz panią zostawimy. Przeszła pani ważny etap, to dobrze wróży na przyszłość.

Lekarka zabrała magnetofon i posłała młodej kobiecie czuły uśmiech. Etyka powstrzymywała ją przed większym zaangażowaniem, ale Véronique nie umiała zignorować pragnienia ściskającego jej serce. Chciałaby znowu

wziąć ją w ramiona, pocieszyć, potwierdzić, że dobrze postąpiła, zabijając tego drania… ale musiała zadowolić się tym uśmiechem.

Wyszli z pokoju i dopiero na korytarzu zaczęli swobodnie oddychać. Dyżurna pielęgniarka, która wciąż czekała na krześle, wstała, gdy zobaczyła, że powoli zamykają drzwi.

— Proszę jej podać środki uspokajające na następne dwadzieścia cztery godziny. Zostawię zalecenia w recepcji — powiedziała Véronique.

— Dobrze.

— Proszę zaglądać do niej regularnie i… nadal przynosić jej kwiaty, to świetny pomysł.

— Tak zrobię — zgodziła się pielęgniarka.

Damien milczał jeszcze kilka minut. Zeznania ofiary wstrząsnęły jego człowieczeństwem, ale jako policjant musiał w pierwszej kolejności myśleć o śledztwie.

— Chciałbym zadać jej kilka pytań — stwierdził, kiedy wychodzili ze szpitala.

— Tak, wiem. Ale w tamtym momencie byłoby to niewłaściwe.

— Nie podała nam swojej tożsamości…

— Nie zdaje pan sobie sprawy z traumy, jakiej doświadczyła, opowiadając nam swoją historię! Podczas uwięzienia jej umysł chronił ją na różne sposoby, a my zmusiliśmy ją do wyjścia z tego schronienia. Oboje mamy do niej wiele pytań: pan w sprawie śledztwa, a ja, żeby pomóc jej w dojściu do siebie. Ale dzisiaj nie możemy dostać wszystkiego. Wydaje mi się, że ma pan wystarczająco dużo informacji, aby zamknąć sprawę.

— Mam dużo, żeby rozpocząć procedurę, ale potrzebuję podpisanego zeznania… i nazwiska. — Damien wyjął z paczki papierosa.

— Pamięć autobiograficzna, obejmująca wszystko, co stanowi o jej tożsamości, również została z pewnością odłączona. Niecałkowicie: tylko te

informacje, które mogły uniemożliwić budowę schronienia. Musiała zapomnieć, kim naprawdę jest, ponieważ wcielenie się w Sandrine Vaudrier pozwoliło jej przetrwać, przenieść się gdzie indziej, poza tę piwnicę. Już wie, że jest bezpieczna. Kiedy zaakceptuje ten fakt, jej mózg podłączy to, co musiało zostać uśpione, wszystkie pogrzebane wspomnienia, emocje… To nie potrwa długo, ponieważ szybko opowiedziała nam, co wycierpiała. Prawdopodobnie jutro, kiedy się obudzi i zacznie terapię, będę miała jej imię i nazwisko.

Damien uważnie słuchał Véronique. Uśmiechnął się do lekarki, o której myślał, że dopiero co skończyła szkołę. Jednak sposób, w jaki pozwalała ofierze opowiadać swoje wspomnienia, nie przerywając jej, zachęcając ją gestami, chroniąc przed oschłymi, niecierpliwymi pytaniami, które chciał jej zadać, pokazał, że jest doświadczoną profesjonalistką i że można jej zaufać.

— Dobrze sobie pani poradziła. To znaczy… z Sandrine.

— Komplement! — zdziwiła się, unosząc ręce. — Czy gdy będę rozkoszować się tym wyczynem, poczęstuje mnie pan papierosem?

— Oczywiście, proszę. A co pani myśli o jej opowieści z psychiatrycznego punktu widzenia?

— Niezła próba, inspektorze.

— To znaczy?

— Ta kobieta zgodziła się zostać moją pacjentką, dlatego…

— Obowiązuje panią tajemnica lekarska.

— Dokładnie. A co pan o niej myśli?

— Śledztwo wciąż trwa, przykro mi — powiedział sarkastycznie, wypuszczając dym.

— Bardzo śmieszne. Jedno jest pewne, cegły jej schronienia mają związek z tym, czego doświadczyła. Analiza wszystkiego i zdefiniowanie

kilku ukrytych dopasowań zajmie mi trochę czasu, ale ma pan ofiarę, sprawcę i motyw. Zrobię dla pana kopię nagrania.

— Dziękuję. Czy mogę o coś zapytać?

— Proszę.

— Czy ofiary zawsze z taką łatwością się zwierzają?

— Uważa pan, że to było dla niej łatwe? — zdumiała się psychiatra.

— Wahała się przez chwilę, ale od początku miałem wrażenie, że chce nam to wszystko opowiedzieć… — odparł inspektor.

— Każda ofiara reaguje inaczej, a najtrudniejszą rzeczą w tego typu sprawach jest nie wyznanie, ale pogodzenie się z rzeczywistością — wyjaśniła Véronique. — Jutro czy później Sandrine zda sobie sprawę, że część jej życia odeszła na zawsze i że zabicie jej kata nie odda nigdy straconych lat. I proszę mi wierzyć: ani lekarstwo, ani dokonana zemsta nie wystarczą, by stłumić jej ból.

20

Damien czekał w holu, aż psychiatra przyniesie mu kopię nagrania. Pomyślał o nastolatce uwięzionej w piwnicy, przykutej do ściany przez lata. Wyobraził sobie jej rozpacz, brak nadziei i zrozumienia. I to zwaliste ciało leżące na niej. Wyszedł z parkingu szpitalnego z ulgą, uciekając przed niebezpiecznymi porównaniami tego, przez co przeszła ta młoda kobieta, z tym, przez co mogła przejść jego własna córka.

Przybył do komisariatu i poszedł do swojego gabinetu. W korytarzu minął kolegów. Wszyscy byli zajęci układaniem pudeł pod ścianą.

— Co się dzieje?

— Pozbywamy się starych akt, wysyłamy je do archiwum w Caen. Rozkaz komendanta — odpowiedział Antoine.

— Już?

— Tak. Najwyraźniej decyzja o zamknięciu naszego komisariatu zostaje utrzymana, więc można zacząć. U ciebie coś nowego?

— Tak. Napiszę raport, zanim zabierzecie mi maszynę do pisania!

Damien zamyślony usiadł przy biurku.

„Proszę, sprawa i jej tajemnica są częściowo rozwiązane" — powiedział sobie. „Wkrótce psychiatra będzie mogła nam wskazać tożsamość kobiety. Zagadka wyspy nie utrzyma się długo, z wyjątkiem umysłu ofiary, bo zebranie fragmentów rozdartej przeszłości zajmie prawdopodobnie miesiące lub lata".

Zapalił papierosa, otwierając dokumenty, które sporządził poprzedniego dnia. Funkcjonariusze odpowiedzialni za sfotografowanie miejsca zbrodni zostawili kopertę z różnymi zdjęciami zrobionymi na farmie. Rozłożył je przed sobą.

Wyjął z kieszeni marynarki kasetę magnetofonową. Zawahał się przed ponownym wysłuchaniem zawartych na niej wyznań. Nie chciał tak szybko zagłębiać się w tę historię, ale musiał podsumować najnowsze postępy dla swojego przełożonego. Otworzył szufladę i sięgnął po magnetofon. Zostawił taśmę puszczoną w tle, spisując niezbędne informacje.

Wracałam do domu, było zimno i ciemno. Miałam szesnaście lat…

Miałam szesnaście lat.

Na razie bez nazwiska i daty urodzenia trudno było określić, ile lat minęło od porwania do uwolnienia. Ale według zespołu medycznego Sandrine miała od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat. Młoda kobieta była więc przetrzymywana przez dziewięć–czternaście lat…

Damien zaznaczył w raporcie, że tożsamość ofiary zostanie wkrótce określona i na podstawie tych informacji śledztwo zostanie szybko zamknięte. Odnalezienie bliskich młodej kobiety byłoby epilogiem tej zagadki wyrzuconej na brzeg Villers-sur-Mer. Prozaiczne życie tego miasta mogłoby wtedy wznowić swój bieg, uwięzione między apatią a nudą.

Kiedy skończył raport, zatrzymał taśmę, zapalił kolejnego papierosa i po raz pierwszy, odkąd spotkał tajemniczą nieznajomą, odprężył się, myśląc o tym, co stanie się z jego karierą po zamknięciu komisariatu. Oczywiście wszyscy policjanci zostaną przeniesieni do głównych komisariatów policji w regionie, ale Damien nie otrzymał jeszcze informacji o swoim następnym przydziale. Chciał znaleźć się w jakimś cichym miejscu i nie musieć się zanurzać w niczyim schronieniu.

Zbierał dokumenty sprawy i właśnie odkładał zdjęcia, kiedy jego uwagę przykuło jedno z nich. Zostało zrobione w piwnicy kilka godzin po makabrycznym odkryciu. Można było zobaczyć ścianę po prawej stronie schodów, naprzeciwko materaca i wanny. Fotograf zrobił je z perspektywy prowizorycznego łóżka, aby uchwycić to, co widziała ofiara, gdy siedziała na materacu.

— Sandrine musiała spędzić godziny, dni, tygodnie, wpatrując się w tę ścianę — westchnął Damien. — Ile razy marzyła, by to wszystko się zawaliło? Ile nadziei zmarnowała, badając ten nieosiągalny beton?

Na zdjęciu można było stwierdzić, jak blisko było okno, ponieważ z prawej strony kadru widoczna była wąska aureola, niewątpliwie efekt światła reflektorów z zewnątrz.

Damien zamyślił się na kilka minut. Nie śmiał się do tego przyznać, ale wciąż był zaskoczony, że Sandrine tak łatwo im wszystko wyznała. Nie znał tajemniczych funkcji mózgu, spodziewał się jednak znacznie większego oporu. Zaintrygował go też inny szczegół: miał wrażenie, że młoda kobieta po prostu recytowała tekst, jak kiepska aktorka pragnąca mieć z głowy swoje kwestie, i gdyby nie łzy pod koniec, przypuszczałby, że historia opowiedziana w szpitalnej sali wcale tej kobiety nie dotyczy.

Przypomniał sobie różne uwagi psychiatry: że to wszystko jest normalne, że zajmie to trochę czasu, że jej mózg nie przyswoił jeszcze wszystkich danych, że leki wywoływały poczucie nieobecności, oderwania…

Ale patrząc na zdjęcie ściany, Damien poczuł na karku dziwne mrowienie. Stał nieruchomo, rozważając, co go zaniepokoiło. Po kilku sekundach jego uwagę przykuł szczegół, który uprzednio pominął.

„Proszę, proszę, proszę…" — szeptał do niego głos o zapachu siarki.

Inspektor przewijał taśmę, aż znalazł interesujące go fragmenty.

Dwudziesta trzydzieści siedem… czas jest pojęciem względnym — powiedziała Sandrine.

Przeglądał inne zdjęcia z piwnicy, ale zrozumiał, że tego, czego szuka, nie ma na żadnym z nich.

„Więc co teraz zrobisz, niegodny ojcze?" — znów odezwał się głos. „No i jak? Znowu się odwrócisz? Pojedziesz na drugi koniec Francji, żeby nie musieć stawać ze mną twarzą w twarz, czy może tym razem trochę ze mną potańczysz?"

Damien podskoczył, zebrał całą dokumentację, wyjął kasetę i złapał kluczyki do swojego pojazdu.

— Już wychodzisz? — rzucił do niego Antoine z kartonami w rękach, widząc, jak inspektor przebiega obok dyżurki.

— Muszę sprawdzić coś na farmie. To nie potrwa długo. Czy ekipa nadal tam jest?

— Nie sądzę, wszyscy wrócili do domu z powodu deszczu. Komisarz radził zaczekać z powrotem na miejsce zdarzenia w dogodniejszym momencie. Nadal ma nadzieję, że ekipa techniczna może nam pomóc.

— Zgoda… Antoine?

— Tak?

— Gdyby ktoś cię pytał, gdzie jestem, nic nie wiesz, dobrze?

— Rozkaz, szefie!

Inspektor jechał wyboistą drogą, nie oszczędzając amortyzatorów. Wycieraczki z trudem walczyły z ulewnym deszczem i musiał się skoncentrować, żeby nie wylądować w rowie.

Sandrine biegła szybko, a pokrywa ciemnych chmur powoli opadała, dotykając wierzchołków najwyższych drzew. Deszcz chłostał ją lodowatymi

smugami, ale nie zwolniła, dopóki nie dotarła na skraj lasu — wypluwały z siebie głośniki samochodowego zestawu stereo.

Dotarł do farmy, zaparkował przy wierzbie i przez chwilę stał, obserwując otoczenie.

„Oto co się stało… Dzieci zostały złożone w ofierze… Więc to jest tajemnica wyspy…"

Płakała bez skrępowania. Upadła na błotnistą ziemię i uderzyła w nią pięściami.

— Poświęcone dla dobra wyspy… dla tej pieprzonej wyspy! — krzyknęła, przeklinając tę skałę leżącą daleko od wybrzeża.

Stała tak przez kilka minut, opłakując los dzieci i zaciskając pięści ze złości. Potem otworzyła prawą rękę. Duży klucz wciąż tam był.

Damien wyłączył silnik i pobiegł przez błoto do drzwi, ignorując wielką wierzbę i jej długie cienkie gałęzie miotane przez wiatr. Po wejściu na werandę zerwał pieczęcie, wyjął teczkę z dokumentami, którą chował bezpiecznie pod połą kurtki, i wślizgnął się do środka.

Inspektor ruszył prosto do piwnicy. Stęchły, zgniły zapach wydawał się wyraźniejszy niż poprzedniego dnia.

Na szczycie schodów Damien włączył latarkę i zszedł na dół z takim szacunkiem, jakby wchodził w głąb grobowca. Trzymał przed sobą jak kompas zdjęcie nagiej ściany.

Usiadł na materacu, żeby znaleźć się dokładnie w miejscu, w którym zostało zrobione. Nie odważył się dotknąć ciężkiego łańcucha, który leżał obok niego. Zamknął oczy i przypomniał sobie słowa Sandrine:

Dwudziesta trzydzieści siedem.

Tej nocy na schodach nie rozległy się kroki.

Zostałam sama.

Opuszczona przez bliskich, ponieważ w moim więzieniu nie rozległa się syrena policyjna…

Dwudziesta trzydzieści siedem.

Drzwi się otworzyły i poczułam aromat gulaszu wymieszany z zapachem czekolady, o której nigdy nie zapominał…

Dwudziesta trzydzieści siedem…

Ale czas jest pojęciem względnym…

Zdołałam naliczyć tylko sto, zanim ściana stała się pusta i bezużyteczna jak zegar bez wskazówek.

Damien wstał i oświetlił latarką ścianę przed sobą, szukając na niej jakiegokolwiek śladu.

Nic.

Jego dłoń przesunęła się po betonie i zawisła nad szorstkimi krawędziami. Nie znajdując nic rozstrzygającego, cofnął się o metr, aby spojrzeć na ścianę. I znów: żadnego widocznego śladu, żadnej dziury po gwoździu, a nawet żadnego koła narysowanego przez kurz i czas.

Damien uświadomił sobie, co właśnie odkrył, a zgnilizna stawała się coraz silniejsza, jakby podniecona tą niemożliwą prawdą.

„Ach, ach, ach, niegodny ojcze… Teraz się zabawimy… Mówiłem ci… Czas jest twoim wrogiem… Zapytaj Mélanie, co o tym myśli. Miała mnóstwo czasu, by ze mną potańczyć…"

— Dwudziesta trzydzieści siedem… — szepnął inspektor, odpędzając diabelski głos. — Ale przecież tu nigdy nie było zegara…

TRZECI ZNAK NAWIGACYJNY

DZIECI

Mein Sohn, was birgst du so bang dein Gesicht?

JOHANN WOLFGANG GOETHE, ERLKÖNIG

* * *

„O! nie tak trwożnie do mnie się tul".

JOHANN WOLFGANG GOETHE, KRÓL OLCH

1

Sandrine obserwowała kątem oka dwie postaci opuszczające pokój.

Kiedy drzwi się zamknęły, patrzyła przez okno, jak krople deszczu spływają po szybie. Przypomniała sobie, że robiła to wielokrotnie w piwnicy: wpatrywała się w deszcz padający za oknem, wyobrażała sobie, że tam stoi i wystawia język, by docenić tę świeżość, jak drży, gdy jego lodowaty dotyk wędruje po szyi…

Już jako dziecko uwielbiała biegać w ulewach nadchodzącej zimy. Deszczowa pogoda ożywiała ją bardziej niż hipnotyczne pieszczoty letniego słońca, którego ciepłe ramiona najpierw ją usypiały, a następnie porzucały na brzegu, apatyczną i bezużyteczną. Te kilka razy, kiedy matka poszła z nią na basen miejski, Sandrine spędziła w głębokiej wodzie, próbując poprawić swój rekord w nurkowaniu bezdechowym, podczas gdy matka, która bardzo rzadko smakowała radości pływania, wolała się opalać na jednym z wielu dostępnych leżaków.

— Musiałaś odziedziczyć to ciągłe pragnienie bycia rybą. Jesteś całkiem jak twój ojciec…

W ten sposób matka usprawiedliwiała niewidzialną granicę, która dyskretnie rosła i poszerzała się między nimi dwiema. Granica ta różniła je w prostych przyjemnościach, ale także w ważnych wydarzeniach życiowych. W końcu powstała między nimi ściana o wiele bardziej nieprzenikniona niż mury piwnicy, do których nadgarstek Sandrine był przykuty przez prawie piętnaście lat.

„Twój ojciec".

Każdy jej błąd, każda kiepska ocena, każde niedopuszczalne zachowanie miały dla matki tylko jedno wytłumaczenie: jej ojca. Matka zrobiła z niego totem oczywistej wymówki, wyciągając go z kapelusza swojej złej woli, kiedy czuła się bezsilna i nie rozumiała, dlaczego jej dziecko nienawidzi matematyki, dlaczego nie może jeść i się nie poplamić lub z jakiego dziwnego powodu ignoruje korzyści płynące ze słońca i opalania. Gdyby mogła zobaczyć Sandrine przykutą do tego obskurnego materaca, z pewnością powiedziałaby, że córka zawsze lubiła występować na scenie. Że skłonność do wielkiego show ma po ojcu, głupkowatym i gadatliwym szarlatanie, któremu pozwoliła na zbyt wiele przedstawień, zanim zniknął, zamykając za sobą drzwi ich mieszkania.

Sandrine próbowała walczyć z przytłaczającą ją sennością, wreszcie jednak zamknęła oczy.

„Tylko po to, żeby pomyśleć" — powiedziała sobie.

Wiedziała, że czas ucieka.

Wkrótce ten policjant zacznie drążyć, była o tym przekonana. Chociaż miała pewność, że nie dała nic po sobie poznać, wyczuła w nim dziwne światło, w którym tańczyły nie tylko wątpliwości, ale także coś innego: okrutna tęsknota za prawdą.

Zastanawiała się, skąd pochodzi ta iskra. Przez jakie próby przeszedł, jaka ciemność powoli gasiła ogień jego życia, aż zredukowała go do gorejącego żaru w głębi oczu?

Młodą kobietę ogarnął mrok. Czuła konsekwencje swojej ucieczki, a leczenie, jakie zastosowano w szpitalu, nie pomagało jej w jasnym myśleniu. Otworzyła oczy i poczuła się zaniepokojona światłem w sali szpitalnej. Natychmiast migrena znowu zaczęła narastać z tyłu głowy. Sandrine zawahała się jednak, czy zamknąć powieki. Wiedziała, że jeśli

sobie na to pozwoli, znów znajdzie się w piwnicy, znosząc opresje swojego kata.

Oczywiście była też druga część prawdy, ta, której im nie opowiedziała. Ale ona nigdy nie pojawiała się w jej snach. Pojawiał się tylko czas przetrzymywania, nigdy reszta. Tak jakby jej mózg blokował drzwi nieświadomości, aby ją chronić, nawet podczas odpoczynku. Sandrine stwierdziła, że tak będzie lepiej. Jeśli chciała wszystkich przekonać, to sama musiała zapomnieć o tym fragmencie historii, musiała być przekonana, że to się nigdy nie wydarzyło, że to tylko wytwór wyczerpanego umysłu.

Ale czy jej uwierzą?

A co, jeśli policja dowie się o tej reszcie?

Jak by sobie poradziła, gdyby została zmuszona do opuszczenia swojego prawdziwego schronienia, tego, które właśnie opisała psychiatrze?

Bez wątpienia trafiłaby za kratki.

Czy mogła podjąć takie ryzyko po ucieczce z własnego więzienia?

Nie.

Pozostało jedno rozwiązanie: wyspa.

— Tak, wyspa — wymruczała.

Dlaczego by tam nie wrócić? Na zawsze. Króla Olch tam nie było, zabiła go, dowodzi tego zdjęcie, które pokazała jej psychiatra. Teraz wszystko na pewno jest inne: niebo, roślinność… i dzieci. Czy wróciły? Czy udało im się uniknąć utonięcia i czy otoczyłyby ją gromadą, śpiewając o miłości?

Oczywiście będzie tam zawsze ten kot włóczący się po nocy i nikt nie zdoła go znaleźć. Ale od tamtego czasu mógł się zgubić i umrzeć samotnie pod jakimś krzakiem…

Ten pomysł zaczynał się jej podobać.

„Wrócić tam, oto rozwiązanie".

Wiedziała, jak to zrobić, była tam tyle razy przez lata, kiedy zamknięta w szarych ścianach piwnicy czuła, jak jej duch odlatuje do innego życia. To było tak, jakby miała moc powracania do wyblakłego snu. Nawet jeśli wówczas wyspa nie przedstawiała snu idealnego, skoro wciąż czaił się tam cień Króla Olch, młoda kobieta była przekonana, że teraz, gdy pozbyła się swojego upiora, który leżał z roztrzaskaną czaszką, to miejsce ulegnie zmianie.

W końcu czym staje się koszmar, gdy pozbawiasz go przerażającego potencjału? Po prostu snem.

Sandrine wyobraziła sobie drzwi blokhauzu. Wyciągnęła rękę, żeby je pchnąć i spojrzeć na zewnątrz. Zapach soli, drzew owocowych i ogrodów warzywnych ogarnął jej zmysły.

„Tak jest, musiałam o nich zapomnieć, żeby wydostać się z piwnicy i nie utknąć jeszcze na wiele lat między ścianami. Ale teraz mogę wrócić, mogę schronić się tutaj, na wyspie, bez ryzyka spotkania się z Królem Olch czy z dzikim kotem. Nie boję się już niczego. Mogę nauczyć się tam mieszkać, odizolowana od wszystkich, chroniona przed prawdą…"

Sandrine zasnęła z tą myślą, podczas gdy piosenka z szafy grającej ze snu unosiła się łagodnie w pokoju.

2

Damien długo stał twarzą do ściany. Nie rozumiał jeszcze do końca konsekwencji swojego odkrycia, ale sam fakt znalezienia niespójności w historii Sandrine zmroził mu krew. Chodził po piwnicy, omijając numerowane etykiety, które koledzy umieścili na podłodze. Każda z nich wskazywała ważny element do analizy. Materac, łańcuch, wanna, położenie ciała…

Inspektor wszedł po schodach i dotarł do kuchni, w której umieszczono kolejne tabliczki. Zapach karmy dla kotów mieszał się z innymi, bardziej tajemniczymi. Damien chodził po pokojach, błądząc bez celu w ciemności i kurzu; jego umysł nie zdołał się wydostać z tej piwnicy bez zegara. Na dworze deszcz nieustannie walił w dom. Damien miał wrażenie, że pada od lat.

„Dlaczego ofiara miałaby kłamać? Czy może to tylko przeoczenie, jedno z tych wspomnień, które jej mózg uśpił, żeby ją chronić? Ale dlaczego akurat zegar? Jak może czuć się zagrożona przez ten śmieszny przedmiot?" — zastanawiał się, otwierając różne szafki.

Miejsce zostało już przeszukane, ale dochodzenie przerwano po zmroku. Do oględzin pozostały jeszcze strych i budynki gospodarcze. Powinni byli to zrobić dzisiaj, ale komisarz uznał za bardziej przydatne, by funkcjonariusze usuwali stare akta, niż aby ponownie udali się na miejsce zbrodni, która nie wymaga innych wyjaśnień niż podane przez ocalałą. Dla przełożonego Damiena Sandrine została porwana i udało jej się uciec.

W trakcie ucieczki zabiła swojego oprawcę. Sprawa zamknięta. Ustalenie okoliczności łagodzących bądź ich braku należy teraz do sądów.

Damien już miał wyjść, kiedy zobaczył kilka kluczy wiszących na gwoździach wbitych w ścianę. Patrzył na nie, świecąc latarką, i wziął najmniejszy z nich, będący, jak się domyślił, kluczem do skrzynki na listy.

„Nigdy nie wiadomo" — powiedział sobie, wychodząc na deszcz.

Minął wierzbę płaczącą i otworzył metalową skrzynkę. Znalazł tam dwa listy z firmy energetycznej i brązową kopertę przyklejoną do dna, jakby podmuch wiatru przedarł się przez otwór i wcisnął ją jak najgłębiej. Adres gospodarstwa został napisany odręcznie, bez informacji o nadawcy na odwrocie. Inspektor zawahał się przed otwarciem, wiedząc, że jeśli rozerwie kopertę, złamie prawo, ale mimo wszystko postanowił to zrobić. Zresztą jeśli byłaby to nieistotna przesyłka, nie trzeba by nikomu wspominać o jej istnieniu…

Wyjął list od Konfederacji Rolniczej z Pays de Caux w Normandii. Było to zaproszenie do udziału w charakterze wystawcy w corocznych targach bydła.

— Taaaa… — szepnął, wsuwając list do tylnej kieszeni spodni i pozostawiając dwa pozostałe w skrzynce. — Zniknięcie tej koperty nie zakłóci dobrostanu Wszechświata…

Wówczas jego uwagę przykuł ukradkowy ruch z prawej strony domu. Trwało to tylko sekundę, ale Damien był pewien, że coś widział. Powoli podszedł do frontowych drzwi, w których mała postać zniknęła, by schronić się przed deszczem. Idąc po śladach mokrych łap aż do kuchni, inspektor był zaskoczony, że zwierzę porusza się tak naturalnie i bez strachu w czyjejś obecności. Kot wskoczył na krawędź zlewu, wychłeptał resztki wody z dna i zbiegł po schodach do piwnicy.

„Ten kot czuje się tutaj jak w domu. Idzie prosto do materaca, żeby się na nim zwinąć, z pewnością uspokojony wciąż obecnym zapachem osoby, która go głaskała.

Ale czy Sandrine nie powiedziała, że wszystkie koty zostały utopione?"

3

Następnego dnia Véronique przyjechała o ósmej rano na szpitalny parking. Noc była krótka. Lekarka późno położyła się spać po kilkukrotnym wysłuchaniu nagrania, zrobieniu wielu notatek, szczegółów do wyjaśnienia i spisaniu „opatrunków", które zamierzała założyć na następnej sesji terapeutycznej. Pierwszym z elementów do ustalenia była prawdziwa tożsamość Sandrine. Odkrywając jej imię i nazwisko, można by odwrócić proces depersonalizacji, rozpoczęty w wyniku przebytych doświadczeń. Psychiatra mogłaby wtedy ostrożnie uświadomić ofierze, co ta przeżyła, aż do pełnego zrozumienia sytuacji. Potem nastąpiłaby praca nad akceptacją, która niewątpliwie byłaby najdłuższym i najbardziej bolesnym etapem.

Véronique weszła do swojego gabinetu, włożyła fartuch lekarski, sprawdziła e-maile i po raz ostatni przeczytała notatki sporządzone w nocy. Oczywiście tego ranka nie wszystkie karty zostaną wyłożone na stół. Potrzeba by kilku godzin analizy, aby wyczerpać wszystkie tematy, ale czuła się całkiem pewna siebie. Fakt, że ofiara tak szybko się poddała, świadczył o bardzo cennym w terapii pragnieniu przetrwania.

Wyszła z gabinetu i poszła do pokoju Sandrine. Chciała jak najszybciej z nią porozmawiać. Normalnie odczekałaby czterdzieści osiem godzin przed ponownym przepytaniem pacjentki, ale stan młodej kobiety poprzedniego dnia był dość satysfakcjonujący i pozwalał na przyśpieszenie całego procesu. Ponadto, choć Véronique przyznawała się do tego tylko połowicznie, ona również chciała, aby inspektor uzyskał informacje

potrzebne do zakończenia sprawy. Znała go dopiero od kilku dni, ale doskonale rozumiała, że ta historia głęboko go rozstroiła.

Po drodze marzyła już o reszcie dnia, o relaksującej kąpieli i o najnowszej powieści Davida Malleta, którą kupiła, ale której nie miała czasu przeczytać. A może po kieliszku dobrego wina spisałaby z taśmy rozmowę z Sandrine, na którą właśnie się wybiera, nie będzie tego odkładać na „po urlopie"…

Kiedy otworzyła drzwi, Sandrine właśnie się obudziła, a jej umysł był wciąż zamroczony lekami. Brązowe włosy okalały jej twarz niczym płatki kwiatu uschniętego z braku słońca. Véronique przywitała się z nią przyjaźnie, zapytała, jak się czuje i czy nie przeszkadzałoby jej, gdyby porozmawiały o tym, co powiedziała poprzedniego dnia. Młoda kobieta zgodziła się i poprosiła, aby lekarka usiadła na krześle obok łóżka.

— Dobrze. Dużo myślałam o tym, co pani wczoraj powiedziała — zaczęła Véronique tonem pełnym entuzjazmu i motywacji.

— Wczoraj?

— Tak, w obecności inspektora Boucharda.

— Nie pamiętam, żebyśmy się wczoraj widziały — oświadczyła Sandrine.

Véronique milczała. Obserwowała pacjentkę i czekała, aż jej wspomnienia się obudzą. „Może przyszłam zbyt wcześnie. Zmęczenie, leki, ostatnie wydarzenia… To wszystko musiało ją poruszyć, choć chyba nie do tego stopnia, by spowodowało niewielką amnezję…"

— A jednak tak było. Inspektor pokazał pani zdjęcie.

— Zdjęcie? Nie…

— No dobrze, proszę się nie martwić. To całkowicie normalne, wspomnienia wrócą w naturalny sposób — zapewniła ją Veronique.

Wspomniała o zdjęciu ze względu na jego ładunek emocjonalny, wystarczająco silny, by pobudzić mózg i wyrwać go z letargu. Była zaskoczona, gdy odkryła, że nie miało to wpływu na Sandrine. Postanowiła trochę mocniej wcisnąć pedał gazu.

— Na zdjęciu było ciało człowieka…

— Naprawdę?

— Tak. Tego, którego wskazała pani jako swojego oprawcę, Króla Olch…

— Och, skądże. — Sandrine parsknęła śmiechem, odwracając twarz w stronę rozmówczyni. — To niemożliwe. Króla Olch tu nie ma, jest na wyspie…

— Czy pani wie, dlaczego leży pani w szpitalu? — zapytała nerwowo psychiatra.

Atmosfera w pokoju nagle się zmieniła. Véronique poczuła się zdezorientowana. Nadzieja na szybkie wyleczenie zniknęła, a ona patrzyła na Sandrine, mając dziwne wrażenie, że siedzi przed inną osobą.

— Tak. Z powodu wyspy. — Młoda kobieta uśmiechnęła się chłodno.

— Tylko dlatego? Nie pamięta pani piwnicy ani innych rzeczy?

— Król Olch był na wyspie, wciąż tam jest, zabił dzieci — wyjaśniła stanowczo, a w jej oczach błysnął strach.

— Sandrine, sądziłam, że…

— On nigdy nie opuścił tej skały, rozumie pani? *Kogo tam w nocy unosi koń?*

Véronique usłyszała ze zdumieniem, jak pacjentka recytuje wiersz. Następnie Sandrine posępnym, monotonnym głosem opowiedziała o swoim pobycie na wyspie, wygłaszając tę samą historię co wtedy, gdy przybyła do szpitala, bez piwnicy i łańcucha, bez gwałtów, tak jakby to nigdy się nie wydarzyło.

„To niemożliwe… Nie po wczorajszych odkryciach…"

Psychiatra z niepokojem zastanawiała się, jaki inny potwór nagle zepchnął Sandrine z powrotem do jej starego schronienia.

4

Godzina dziewiąta.

Damien właśnie pił swoją czwartą filiżankę kawy, kiedy postanowił ponownie posłuchać obu taśm.

Poprzedniego dnia, po znalezieniu kota i postawieniu przed nim miski karmy wygrzebanej z jednej z szafek, inspektor wrócił do komisariatu i zajął się drobnymi sprawami. Ukrywanie przez kilka godzin całej tej historii o schronieniach dobrze mu zrobiło. Odwiedziło go też dwóch kolegów, którzy subtelnie podpowiedzieli mu miejsce, do którego chcieliby zostać przeniesieni. Damien zanotował ich preferencje i zapewnił, że porozmawia z komisarzem, niczego im nie obiecując. Wola funkcjonariuszy oczywiście miała wpływ na ich kolejny przydział, ale przede wszystkim był on uzależniony od potrzeb w regionie.

Następnie pozdrowiwszy strażników, wrócił do domu, posłał czułe spojrzenie fotografii córki i spróbował zasnąć. Podobnie jak poprzedniej nocy udało mu się to bardzo późno. Był pewien, że pominął ważny element, że przeoczył wskazówkę, która mogłaby rzucić więcej światła na tę dziwaczną sprawę.

Tego ranka, zdeterminowany, by pozbyć się dokuczliwych wątpliwości, przybył do komisariatu, mając jeden cel: rozszyfrować prawdę.

Zamknął drzwi do swojego gabinetu, zostawiając za nimi kolegów, którzy wciąż ustawiali pudła na korytarzu, i zagłębił się w różne wersje wygłaszane przez Sandrine. Nie odkrył jeszcze, o co chodzi, ale kiedy

słuchał, jak ofiara opowiada, przez co przeszła, przelotne wrażenie, identyczne z tym, które nie pozwalało mu zasnąć przez większość nocy, podpowiadało mu, że jeszcze jakiś element nie zgadza się z dwiema opowieściami. Szukał między wierszami, w słowach i intonacji, czując narastające napięcie.

Co przegapił? Jaki szczegół przeoczył?

Pod koniec drugiej taśmy kliknięcie przycisku STOP magnetofonu zasygnalizowało zatrzymanie odtwarzania. Damien długo siedział bez ruchu, zagubiony między wyspą a piwnicą, walcząc o wyjście z tych schronień i ukazanie prawdy. Był przekonany, że Sandrine nie ujawniła wszystkiego. Wystarczyło posłuchać, jak kobieta deklamuje swoją historię niczym doskonale wyuczoną, ale wypowiadaną bez przekonania poezję, by domyślić się, że nie mówi wszystkiego.

Ale gdzie kryje się prawda?

Między którymi zdaniami, w których słowach?

Damien czuł się, jakby walczył z nierozwiązywalnym problemem. Nie tylko nie opanował wszystkich zawiłości wiedzy psychologicznej, której ta sprawa wymagała, ale nie miał też pojęcia, od czego rozpocząć poszukiwania. Będzie musiał walczyć własną bronią, myśleć jak glina i szukać konkretnej wskazówki.

Włożył pierwszą kasetę i ponownie zaczął słuchać.

Valérie zamaszystym ruchem rzuciła kijek. Szybował łukiem, przeciął szare chmury, a następnie opadł z powrotem na piasek…

Gdy głos Sandrine wymawiał słowa, Damien ku własnemu zaskoczeniu szeptał je prawie równo z nią, tak jakby te zdania stanowiły przedłużenie jego własnych myśli.

Powiązania między tymi dwiema historiami były oczywiste: kobieta, która spacerowała samotnie po plaży jak Sandrine, gdy znalazł ją biegacz,

ciała topielców jak zwłoki kotów, którym nadała imiona dzieci, wyspa, pojęcie wolności jako lustrzane odbicie jej uwięzienia… Nie było jednak żadnej wskazówki, która mogłaby być przydatna w śledztwie.

„Po kostki w gównie, oto gdzie jestem".

Sandrine wpatrywała się z przykrością w swoje tenisówki, na wpół zatopione w błocie wymieszanym z krowim łajnem.

Farma. Moment historii, w którym odkryto jedyne dwa konkretne elementy: Wernsta i zegar.

Po kilku sekundach Damien nagle przerwał odtwarzanie. Przewinął taśmę i włączył nagranie.

Tam. Gdy Sandrine stoi na polu obok farmera, obserwując krowy oznaczone swastykami.

W jego głowie zaczęły nerwowo rozbrzmiewać dwa słowa:

„Targ bydła".

Cholera jasna…

To właśnie ta niespójność.

Wstał i sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Koperta, którą znalazł w skrzynce na listy Wernsta, wciąż tam była. Wyjął kartkę i przeczytał na głos pierwsze zdanie, podpisane przez niejakiego Andrégo Dubreuila, przedstawiciela Konfederacji Rolniczej Pays de Caux:

Mamy zaszczyt zaprosić Pana do udziału w targach bydła Étretat, które odbędą się 21 i 22 czerwca w Halle aux Blés.

Cholera.

Damien włączył drugą kasetę, tę, na której Sandrine opowiadała o swoim uwięzieniu, i poszukał właściwego fragmentu.

Czasami mój kat wyjeżdżał na kilka dni. Nie wiedziałam dokąd…

Dlaczego wcześniej nie dostrzegł tej analogii? Chwycił słuchawkę telefonu, wybrał numer widoczny na papierze firmowym i czekał, aż ktoś odbierze.

— Dzień dobry, Konfederacja Rolnicza Pays de Caux — odezwał się kobiecy głos.

— Dzień dobry, mówi inspektor policji Damien Bouchard z komisariatu w Villers-sur-Mer. Czy mogę porozmawiać z panem Dubreuilem?

— Przykro mi, ale w tej chwili go nie ma. Czy mogę panu jakoś pomóc?

— Chciałbym uzyskać informacje o jednym z uczestników waszych targów, panu Wernście.

— Ach tak, to jeden z naszych stałych bywalców! Przyjeżdża co roku, żeby zaprezentować swoje zwierzęta.

— Zna go pani? — zapytał pospiesznie.

— Nie osobiście, ale ponieważ zajmuję się przydzielaniem miejsc wystawowych, dość często widywałam jego nazwisko na listach. Pan Dubreuil może panu o nim opowiedzieć, zna wszystkich. Rolnicy to jedna wielka rodzina! Będzie za godzinę. Proszę zostawić mi swój numer telefonu, poproszę, żeby oddzwonił.

Damien podał numer telefonu komisariatu i odłożył słuchawkę. Zamknął oczy, żeby dokonać podsumowania. Czy zmęczenie sprowadziło go na złą drogę? Najpierw zegar, teraz ta druga niespójność… Ale dlaczego Sandrine miałaby tak kłamać?

Inspektor widział tylko jeden sposób, aby dowiedzieć się prawdy: przesłuchać ofiarę. Skonfrontować ją z kłamstwami, wyrwać z jej schronienia. Jeśli łzy lub płacz zakłócą ciszę szpitala, to trudno. Odpowiedzi były potrzebne szybko, zanim komisariat się opróżni, a sprawa zostanie powierzona innej ekipie.

Wstał, żeby napić się kawy, gdy ktoś zapukał. Antoine wsunął głowę za próg, nie czekając na odpowiedź.

— Szefie?

— Tak, Antoine? Potrzebujesz pomocy przy pakowaniu? — zażartował, kiedy zobaczył jego zarumienione policzki i podwinięte rękawy koszuli.

— Eee… nie… Psychiatra…

— Co psychiatra?

— Jest tu i chce z panem pomówić — poinformował Antoine.

Véronique weszła i usiadła naprzeciwko Damiena. Jej blada twarz i wyraźne cienie pod oczami zdradzały brak snu. Blond włosy, zwykle związane w krótki kucyk, zwisały niedbale po obu stronach twarzy. Gdy tylko usiadła, zapaliła papierosa i zaciągnęła się nerwowo.

— Przeprowadzka? — zdziwiła się.

— Tak, w pewnym sensie — odparł wymijająco Damien. — Czemu zawdzięczam tę wizytę?

— Mamy problem — stwierdziła chłodno Véronique.

— Co się dzieje?

— Sandrine. Nie pamięta naszego wczorajszego spotkania. Uważa, że to się nigdy nie wydarzyło. Właśnie rozmawiałam z nią przez godzinę i żadne wspomnienie nie pojawiło się na powierzchni.

Damien zaniemówił. Właśnie wówczas, kiedy miał wrażenie, że w końcu robi postępy, że odkrył element, który może przyśpieszyć śledztwo, regres dramatycznie skomplikował ciąg dalszy i pozbawił go jakiejkolwiek możliwości przesłuchania Sandrine w celu poznania prawdy.

— Leki? — zaryzykował, starając się zachować spokój.

— Oczywiście, że nie — zapewniła psychiatra. — Dawki są precyzyjnie dobrane, dokładnie tak, aby uniknąć utraty pamięci lub

jakiegokolwiek innego efektu ubocznego. Ale to nie wszystko: wróciła na wyspę.

— Na wyspę?

— Tak, do swojej pierwszej wersji bez żadnej wzmianki o piwnicy i uwięzieniu. Gdybym nie miała nagrania, mogłabym pomyśleć, że tamta rozmowa mi się przyśniła.

— Jak mogła zapomnieć o naszej wizycie? Cholera!

— Na początku pomyślałam o nagłym zmęczeniu, ale to by nie wystarczyło do wymazania tak bardzo emocjonalnej rozmowy — przyznała Véronique, również przygnębiona tym, co się stało. — Nie gawędziliśmy przecież o pogodzie czy banałach. Pokazaliśmy Sandrine zwłoki jej oprawcy i to ją poruszyło do tego stopnia, że powiedziała nam, przez co przeszła, bez konieczności zadawania jakichkolwiek dodatkowych pytań!

— Więc jak to możliwe?

— Jest tylko jeden powód, dla którego Sandrine wraca i szuka schronienia na wyspie. W obecnej rzeczywistości nie czuje się bezpiecznie. Ona się boi.

Damien obserwował Véronique. Lekarka spuściła wzrok i była myślami gdzieś daleko od tego biura. Po raz pierwszy, odkąd się poznali, inspektor pomyślał, że odkrył w jej zachowaniu brak wiary w siebie. Doszedł do wniosku, że Sandrine nie była jedyną, która się bała.

— Pokazaliśmy jej zdjęcie oprawcy leżącego na ziemi, z czaszką rozbitą kamieniem. Kogo mogłaby się teraz bać?

— Nie wiem, inspektorze. Ale ten strach jest wystarczająco silny, by narzucić jej regres — odparła Véronique.

— Jak długo to potrwa?

— Przypuszczam, że dopóki strach nie minie. Wracamy do punktu wyjścia. Odkrycie w piwnicy uwolniło ją tylko na kilka godzin.

Inspektor zapalił papierosa. Nie palił przez wiele lat, ale wrócił do nałogu wkrótce po zniknięciu Mélanie. Od tamtej pory nieustannie obiecywał sobie, że pozbędzie się tego paskudnego uzależnienia.

— Czy… czy brała pani pod uwagę możliwość, że nas okłamała? — zapytał ostrożnie.

— To znaczy?

— Nie wiem… że ukrywa część prawdy…

— Dlaczego pan to sugeruje? Myślę, że dostrzegłabym jakieś ślady mitomanii — zaczęła się bronić lekarka. — Ponadto przedmioty, które znaleźliście w piwnicy, dowodzą, że to się wydarzyło.

— Nie mówię o mistyfikacji, ale o prostych kłamstwach. Odkryłem niespójności w jej ostatniej historii…

— To normalne, że szczegóły mogą być… modyfikowane lub osłabiane przez ból — przerwała mu Véronique. — Są to zwykle minimalne nieścisłości, drobne omyłki, które umysł koryguje w miarę postępu terapii.

— Nie chodzi o drobną omyłkę…

Zdanie zawisło w pokoju na kilka sekund, zamrożone w powietrzu, niczym prawda, którą uznaje się z wahaniem.

— W porządku. Jakie niezbite dowody pan odkrył? — Westchnęła, przeklinając swoją postawę specjalistki, która nie lubi, gdy ktoś jej się przeciwstawia.

— W piwnicy nie ma zegara — powiedział inspektor, patrząc na Véronique. — I nie ma dowodów, że kiedykolwiek tam był. To ważna część jej historii: zegar, godzina dwudziesta trzydzieści siedem… Skąd mogła wiedzieć, o której dokładnie schodził jej oprawca, skoro nie miała żadnej wskazówki na ten temat?

— Jest pan pewien?

— Tak. Godzinami szukałem, grzebałem wszędzie, na wszelki wypadek nawet w koszu… ale nic.

— Dlaczego miałaby to wymyślić? — zapytała zdziwiona psychiatra. — To znaczy świadomie, ponieważ według pana ona nas okłamuje.

— Nie wiem, ale nie to jest najbardziej niepokojące. Właściwie jedyny zegar, jaki tam zauważyłem, to ten wiszący w salonie.

— Na pewno?

— Tak. Więc jeśli w piwnicy nie było zegara, jedynym wyjaśnieniem, skąd znała dokładną godzinę wizyt Wernsta, jest to, że…

— …że przebywała nie w piwnicy, tylko w salonie — szepnęła Véronique, marszcząc brwi. — To nie ma żadnego sensu!

— Myślałem o tym przez cały ranek i część nocy. Czy to możliwe, że… Jeśli założyć, że Sandrine nie kłamie… Czy to możliwe, że jej wspomnienia z piwnicy są także… schronieniem?

— Drugie schronienie? Ale przed czym?

— Przed prawdą. Chociaż nie wiem jeszcze, czym jest ta prawda.

— Ale co mogło ją spotkać bardziej traumatycznego niż to, czego już doświadczyła? Mówimy o nastolatce, która była więziona przez lata! Jej historia pasuje do tego, co pan odkrył w piwnicy! Łańcuch, martwe koty, jego krew! Wyjaśniła nam to wszystko!

— Oprócz zegara.

— To może być przeoczenie! Jakiś… przedmiot, który wyobraził sobie jej mózg, aby utrwalić wszystkie wspomnienia! Jedna z cegieł, z których zbudowała schronienie!

— Jest coś jeszcze — oznajmił Damien poważnym tonem. — Mówiła nam, że nie wiedziała, dokąd jej kat wyjeżdżał na kilka dni.

— Tak, rzeczywiście — przypomniała sobie psychiatra.

— W jego skrzynce na listy znalazłem zaproszenie na targ bydła.

— Targ bydła… — powtórzyła. — Tak, być może… To by wyjaśniało jego nieobecność, w regionie organizuje się kilka takich wydarzeń.

— Wiedziała o tym. Tu też nas okłamała. Doskonale wiedziała, dlaczego Wernst wyjeżdża.

— Jak może pan tego dowieść?

Damien wstał, wziął kasetę z pierwszą rozmową z Sandrine i nacisnął przycisk PLAY.

— Ponieważ mówi o tym w swoim pierwszym schronieniu.

5

Obserwowała chłopa, który stojąc kilka metrów przed nią, przezornie obuty w wysokie gumiaki, wskazał grubym palcem stado krów za ogrodzeniem z drutu kolczastego.

— Co powiedziała policja? — zapytała, robiąc zdjęcie zwierząt.

— Że to na pewno dzieciaki. Że dla zabawy… Ale co mam zrobić na targach?

— Targach?

— Tak, na targach bydła. Jest już za tydzień — powiedział z lekkim akcentem.

6

Sandrine się udało.

Wróciła na wyspę.

Stała twarzą do oceanu, plecami do kanciastej bryły starego blokhauzu. Nie było już widma jej babci ani dzieci w wodzie. Wydawało się nawet, że krajobraz nabrał kolorów i porzucił szarawe odcienie.

Młoda kobieta weszła do lasu. Poczuła się bezpiecznie. Bujne olchy pieściły ją swoimi liśćmi, a gęsta trawa uginała się pod jej krokami. Żaden inny odgłos nie przeszkadzał jej w drodze. Sandrine poczuła dobrostan, coś, czego nie zaznała od lat. Dotarła do skraju drzew i ujrzała dom Suzanne. Okna były szeroko otwarte, by wpuszczały przyjemne ciepło, które przepędziło deszcz i złowieszcze chmury. Cicha piosenka ze starego gramofonu dotarła do Sandrine i poprowadziła ją do wejścia.

Parlez-moi d'amour…

Sandrine otworzyła drzwi i zobaczyła swoją babcię siedzącą przy stole z filiżanką czekolady w dłoniach.

— Jest i dla ciebie — powiedziała Suzanne, wskazując drugą filiżankę stojącą przed pustym krzesłem.

Sandrine uśmiechnęła się i usiadła naprzeciwko babci.

— Co tu robisz, kochanie? — zapytała starsza pani.

— Ukrywam się, babciu. Na wyspie jestem bezpieczna.

— A w piwnicy nie byłaś bezpieczna?

— Nie, niewystarczająco. Oni odkryją prawdę. To nie było pewne schronienie.

— Czy pamiętasz bajkę Trzy małe świnki, którą ci opowiadałam, gdy byłaś dzieckiem? — zapytała Suzanne.

— Tak, babciu.

— Zrobiłaś to samo co one. Zbudowałaś sobie chatkę ze słomy, ale psychiatra ją zdmuchnęła i zabrała cię z wyspy.

— Nie wiedziałam, że ją spotkam. Miałam nadzieję, że policja mi uwierzy. Wyspa mi wystarczała. Tyle razy się tam chroniłam przez te lata… Jeśli dla mnie była realna, dlaczego nie miałaby być dla innych? Nie sądziłam, że zlokalizują farmę i znajdą ciało. Kiedy ta lekarka położyła przede mną zdjęcie, zrozumiałam, że jestem w niebezpieczeństwie, że wyspa nie pozwoli mi wyjaśnić łańcucha i krwi. Więc powiedziałam im prawdę…

— Część prawdy — poprawiła Suzanne.

— Tak, część.

— Potem inspektor zniszczył drugą kryjówkę, drewnianą, wątpiąc w twoje słowa.

— Wyczułam jego podejrzenia już od pierwszego spotkania. Musiałam przekształcić rzeczywistość w akceptowalną wersję, przekonać go i uratować siebie. Przekazałam trochę prawdy i miałam nadzieję, że tym go usatysfakcjonuję. Ale chyba mi się nie udało… Przestraszyłam się i wróciłam — wyznała młoda kobieta.

— Trzecie schronienie jest właściwe. Nikt nie będzie cię szukał po raz drugi na wyspie. Blokhauz jest z betonu…

— A wilk nie był w stanie wygonić trzech małych świnek z domu z kamienia i betonu… — dodała Sandrine, przypominając sobie bajkę.

— Zgadza się — potwierdziła Suzanne z miłym uśmiechem. — Bez względu na to, czego się dowiedzą, nie mogą cię tu dopaść. Czy jesteś gotowa, aby mi powiedzieć, co się naprawdę wydarzyło?

— Tak. To będzie nasz sekret, babciu.

— Obiecuję.

— Wiesz, nie miałam wyboru. Chciałam je wszystkie ocalić, tak jak ty chciałaś je uratować przed utonięciem. Ale nie mogłam.

— A jednak jeden z kotów uciekł…

— Wypuściłam go… Czy to jego słyszałam, kiedy dotarłam na wyspę? Tego dzikiego kota, którego nikt nie może złapać?

— Być może, kochanie. Ale w tym schronieniu jest tylko nieszkodliwym syczeniem, przerażonym duchem. W rzeczywistości, jeśli ten kot jeszcze żyje…

— Mógłby spowodować mój upadek, mógłby wszystko wyjaśnić…

— No już — zachęciła ją Suzanne. — Nie myśl o tym więcej. Nikt nie może cię tu dosięgnąć. Chodź, opowiedz mi swoją historię, a potem zjemy kolację.

— Dzieje się to lata po moim porwaniu — zaczęła Sandrine, trzymając w dłoniach kubek z czekoladą. — Jestem w piwnicy, tak bardzo za tobą tęsknię, odkąd umarłaś… Zostawiłaś nas na tydzień przed tym, jak ten człowiek mnie zamknął, i mimo upływu czasu myślę o tobie każdego dnia. Wyobrażam sobie twoją przeszłość na tej wyspie i wymyślam swoje nowe życie. Wierzę w to tak mocno, że czasami czuję na twarzy powiew morskiej bryzy. Zapominam o swoim oprawcy i jego śmiesznych jękach. Łańcuch już nie istnieje, symbolizują go blizny, które usilnie zakrywam bransoletą. Pracuję jako dziennikarka, babciu, w niewielkiej gazecie, ale jestem pewna, że kariera nadejdzie później. Nadal nie żyjesz, ale twoi przyjaciele opowiedzą mi o tobie i udowodnią, że nie jesteś tą osobą, którą opisywała

moja mama. Właśnie przypłynęłam na wyspę. Paul zaprasza mnie na kolację. Podobam mu się, czuję to. Dzieci i ich tragedia jeszcze nie istnieją, włączę je później do mojego wszechświata. Są tam koty, ale nie nadaję im imion, żeby się nie przywiązywać. Ledwo ich dotykam. Drzwi kuchenne nadal są uchylone. Wydaje się, że nic się nie zmieniło, a jednak już nic nie będzie takie samo…

7

…mój oprawca stał się delikatniejszy. Przychodził zaspokoić żądze, ale rzadziej. Często schodził do piwnicy, siadał i głaskał koty. Potem odchodził i znikał aż do następnego dnia.

Od czasu do czasu słyszałam, jak mówił coś u góry. Nie wiedziałam, czy przemawia do mnie, czy też słowa były tylko więźniami, którzy wymknęli się z jego myśli.

Pewnego wieczoru przyniósł mi tacę i wyszedł.

Pięć minut później wrócił z drugim posiłkiem i usiadł na podłodze niedaleko mnie. Jedliśmy w absolutnej ciszy. Po prostu uśmiechał się do mnie nieśmiało, przeżuwając. To była moja pierwsza kolacja z nim. Po raz pierwszy mogłam bez drżenia wpatrywać się w jego oczy. To było dziwne uczucie: mieszanka stłumionego gniewu i wdzięczności. Po posiłku wstał i zapytał, czy nadal jestem głodna. Odpowiedziałam, że nie.

Chciałam, żeby zadał mi więcej pytań, żeby rozmawiał ze mną o wszystkim i o niczym, pragnęłam czuć się mniej samotna, mniej nieistotna. Tak się nie stało tego wieczoru. Ale następnego dnia po raz kolejny zjedliśmy razem kolację…

— Wiesz, nie chcę cię skrzywdzić. Po prostu… po prostu mam tę potrzebę, ukrytą głęboko w środku, która budzi się co jakiś czas i zmusza mnie do… wiesz czego…

Przytaknęłam. Nie chciałam mu zaprzeczać, nie chciałam, żeby odszedł i zostawił mnie samą, abym musiała stawić czoła ciszy. Czy czuł we mnie

to pragnienie? Czy mimo wszystko mnie rozumiał? Został, dopóki nie skończyłam jeść. I gdy tylko jego postać zniknęła na szczycie schodów, żałowałam, że już odszedł. Jego regularne wyjazdy budziły we mnie przykre poczucie opuszczenia, a to, że zostawiał mnie po kolacji, sprawiło, iż powróciłam do stanu bezużyteczności, niegodna towarzystwa. Znałam to uczucie aż za dobrze. Moja matka często mi je narzucała.

Od tego momentu już mnie nie dotykał. Nie dlatego, że mnie nie chciał, tylko dlatego, że tak postanowił. Domyślałam się, że walczył ze swoją potrzebą, kiedy wychodził z piwnicy, zanim jeszcze skończył posiłek, a jego kroki na drewnianych schodach były cięższe niż zwykle.

Odtąd co wieczór jadaliśmy razem kolację. Nasze rozmowy obejmowały coraz więcej tematów: mówiłam mu o moich kolegach z liceum, a on opowiadał mi o pracy na farmie… Jego spojrzenie stało się łagodniejsze, a zachowanie delikatniejsze. Jego życzliwa niezgrabność różniła się od brutalnej dzikości naszych pierwszych wspólnych lat. Nawet kilka razy mnie rozśmieszył i byłam zszokowana, gdy po raz pierwszy od dłuższego czasu usłyszałam oznakę swojej radości, o której zapomniałam, że istnieje.

Kilka miesięcy po tym pierwszym wspólnym posiłku zapytał mnie, czy chcę zjeść z nim kolację.

W kuchni.

Wyszeptał propozycję z pewną niezręcznością w głosie, jakby zapraszał mnie na bal maturalny. Uśmiechnęłam się. W końcu mogłam opuścić to miejsce, poszerzyć horyzont mojego więzienia, nawet jeśli to pomieszczenie, dzięki jego obecności i naszym rozmowom, ograniczało mnie coraz mniej. Wyjął z kieszeni pęk kluczy, uwolnił mój nadgarstek, po czym wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wejść po schodach.

Nikt nigdy nie zachowywał się tak wobec mnie. Moja mama nigdy nie podawała mi ręki, żeby przeprowadzić mnie przez ulicę lub po prostu iść razem. Byłam dla niej tylko symbolem chwili nieuwagi, niechcianej ciąży, wstydu podobnego do tego, jaki odczuwały te strzyżone powojenne kobiety. Prawdopodobnie dlatego policja nigdy mnie nie szukała. Czy mama chociaż zgłosiła moje zaginięcie? Czy może radując się tym pomyślnym zrządzeniem losu, zadowoliła się wypłakiwaniem fałszywych łez?

Gdy wchodziłam po schodach, zdałam sobie sprawę, że na zewnątrz nikt na mnie nie czeka. Jedyną osobą, która kiedykolwiek okazywała mi miłość, byłaś ty, babciu. Ale nie należałaś już do tego świata. A teraz jedynym człowiekiem, który okazywał mi uczucie, był on. Trzymał mnie za rękę tak delikatnie, jakby chronił pisklę, które wypadło z gniazda. Był moim oprawcą. Ale wspomnienie przemocy z czasem zanikło, zacierając moje postrzeganie tego, co nie do zniesienia, zagłuszając moje przekonania i mój bunt.

Nikt na mnie nie czekał na zewnątrz.

Nikt…

Dał mi dużo więcej swobody.

Nie byłam już przykuta łańcuchem. Żelazna bransoleta spoczywała na betonie jak relikt minionej przeszłości, bezradna kończyna potwora zgładzonego przez rycerza. Zaznaczyłam swój ślad w jego świecie, dyskretnie, spędzając coraz więcej czasu u jego boku. Oswoiliśmy się jak dwie zranione życiem bestie, które postanowiły przetrwać razem. Pozwolił mi gotować dla siebie i bez obaw jadł przygotowane przeze mnie dania. Wyjaśnił mi, że na świecie na zewnątrz nie dzieje się tak, jak powinno. Że farma to rodzaj schronienia. Żałował, że tak bardzo mnie skrzywdził. Jego szczerość i skrucha przytłoczyły mnie do tego stopnia, że zaczęłam się

zastanawiać, czy wina nie leży po mojej stronie, bo oceniłam go zbyt szybko.

W końcu pewnego dnia zaprowadził mnie do frontowych drzwi i otworzył je przede mną. Wyciągnął rękę i powiedział słowa, których nigdy nie spodziewałam się z jego ust:

— Jesteś teraz wolna. Możesz iść i tracić czas na szukanie życia, którego już nie ma, albo możesz mi wybaczyć. Przysięgam, że nigdy więcej cię nie skrzywdzę. Te drzwi zawsze pozostaną otwarte, żebyś mogła wyjść lub wrócić.

Przez długą chwilę wpatrywałam się w nie. Już od miesięcy dzieliliśmy nasze codzienne życie bez strachu i nieufności. Wolna. Wolna po co? Żeby wędrować bez celu? Żeby iść na posterunek policji i donieść na człowieka, którego nie uważałam już za zagrożenie, lecz za jedyną boję, której można się trzymać?

Na zewnątrz będę sama. Znowu.

Podczas gdy tutaj…

Powoli, ale stanowczo zamknęłam drzwi i wróciłam do kuchni, żeby dokończyć przygotowywanie tarty z jabłkami, którą robiłam dla niego.

I to nie była rezygnacja.

Tylko akceptacja.

Mijały miesiące. Czasami ze sobą sypialiśmy, ale tylko kiedy tego chciałam. To poczucie mocy dało mi nową i bardzo przyjemną pewność. Miałam wrażenie, że role się odwróciły. Z początku byłam zaskoczona rosnącym między nami dystansem seksualnym, obawiając się, że wynika to z braku zainteresowania, ze znużenia moim ciałem, które zmieniało się w ciągu lat. Czułam się zagrożona, w zawieszeniu, ponieważ wydawało mi się, że stałam się dla niego bezużyteczna. Ale wytłumaczył mi, że jego

potrzeba po prostu zniknęła, że nie czuł już wściekłości w głębi brzucha, która sprawiła, że tak bardzo mnie ranił.

Z nieoczekiwaną przyjemnością brałam udział w codziennych pracach. Każdego ranka zabierałam jajka z kurnika, pomagałam karmić krowy lub zbierałam warzywa. Nigdy nie odwiedzali nas żadni goście, a jeśli już ktoś przyjechał, mogliśmy zauważyć samochód na drugim końcu drogi prowadzącej na farmę wystarczająco wcześnie, abym mogła się ukryć i usunąć wszelkie oznaki mojej obecności w domu. Jedynym miejscem, do którego nie mogłam się udać, była obora, ponieważ sąsiadowała z polami, które do niego nie należały, i ktoś mógłby mnie tam zobaczyć. Ten budynek, znajdujący się na końcu podwórza, symbolizował linię, której nie wolno mi było przekraczać, aby zachować moje tutejsze życie w tajemnicy.

Poza tym mogłam się swobodnie poruszać, obserwować niebo, oddychać świeżym powietrzem i chronić się przed słońcem w cennym cieniu wysokiej wierzby tuż za drzwiami. Bez dalszych ograniczeń i bez strachu oswoiłam swój nowy wszechświat. Przyrządzałam gulasze, czytałam nowe powieści, które mi kupował, zajmowałam się przemeblowywaniem, stopniowo i nienachalnie, żeby nie poczuł się nieswojo. Pozwalał mi na to i nigdy nie przeciwstawiał się moim wyborom. Był rozbawiony, widząc swoje stare medale wiszące w salonie. Był zaskoczony, gdy zobaczył wszystkie książki odkurzone i zebrane w biblioteczce, obok tych, które mi dał.

Czy byłam szczęśliwa? Tak, wtedy tak myślałam.

Nawet kilkanaście kotów, które swobodnie wchodziły do domu i z niego wychodziły, nie okazując mi najmniejszego zainteresowania, stało się dla mnie mniej odrażających.

Nie wiem, ile lat tak spędziliśmy. Czas naprawdę nie był już ważny. Jego względność została wymazana przez odprężające i uspokajające życie

codzienne. Nawyki, rytuały, życzliwość, tak wiele znaków nawigacyjnych, które kierowały moim dobrostanem każdego dnia i których mogłam się trzymać, aby wymazać braki odczuwane w dzieciństwie.

Co wieczór o dwudziestej trzydzieści siedem, po kolacji, wkładał gumiaki i szedł zagonić zwierzęta do obory. Zabierał resztki naszego posiłku, żeby zanieść je kurom i świniom. Widziałam, jak niknie w mroku, by wrócić godzinę później, wyczerpany pracą w gospodarstwie. Był jednak na tyle odważny i silny, by następnego dnia wstać i bez narzekania zacząć od nowa.

Ale któregoś wieczoru cały ten wszechświat się zawalił.

Siedziałam na sofie i słuchałam radia, kiedy usiadł obok mnie.

— To wróciło — powiedział zmęczonym głosem.

Wyznał mi ze spuszczoną głową, że jego potrzeba, o której myślał, że zniknęła, dręczy go coraz częściej. Wiedziałam bardzo dobrze, o czym chciał rozmawiać. Czułam to od kilku tygodni. Widziałam to w nocy, kiedy już prawie zasypiałam i czułam, jak ciężko wzdychając, odsuwa się ode mnie, ale także w dzień, gdy jego oczy omijały moją sylwetkę. Wyjaśnił mi, że ta potrzeba tkwiła w nim od zawsze, odkąd był nastolatkiem, jak nieuleczalna choroba.

Zapewnił mnie, dał słowo, że nigdy więcej nie zmusi mnie do poddania się temu, przez co przeszłam, że wolałby umrzeć. Ale jego rozgorączkowane spojrzenie, kiedy opowiadał o tamtym okresie, mówiło mi, że ten ponury pasażer, który rozpalił jego zmysły, był znacznie potężniejszy, niż mój towarzysz był skory przyznać.

Tak więc powoli, dyskretnymi sugestiami zaszczepił mi w głowie możliwość innego rozwiązania. Takiego, które pozwoliłoby mi dalej żyć tak, jak żyłam od opuszczenia piwnicy, wolna i bez bólu, i które zapewniłoby mu coś, co zaspokoi jego potrzebę bez konieczności dotykania

mnie. Przekonywał, że jestem wystarczająco silna, że jesteśmy wystarczająco silni, aby przejść tę próbę. Każdego dnia coraz bardziej mnie namawiał, tłumacząc, że to jedyna możliwość, że od tego zależy nasze szczęście, że te dzieciaki, które rodzice trzymają ciągle za ręce, i tak nigdy nie dorosną. Że pozostaną owinięte płaszczem ojca jak ci podróżni z wiersza Goethego, delektując się dobrostanem, którego pozbawiono mnie przez całe dzieciństwo.

Kiedy stajemy się potworami, babciu?

Czy to z tchórzostwa? Ze względu na instynkt przetrwania? Z miłości?

Nie wiem, dlaczego się nimi stajemy.

Ale wiem, kiedy założyłam ciemny, mglisty płaszcz Króla Olch.

To była niedziela. Nie było go od dwóch dni, pojechał na targi, na których zamierzał sprzedać część swoich zwierząt. Zegar w salonie wskazywał dziewiętnastą, kiedy usłyszałam, że za farmą zatrzymuje się ciężarówka do przewozu bydła.

Chwilę później wszedł do domu.

Nie spojrzałam na niego. Nie miałam odwagi.

Odwróciłam się plecami, płacząc z powodu swojej słabości.

Zszedł więc do piwnicy, niosąc w ramionach śpiące dziecko.

8

„Ponieważ mówi o tym w swoim pierwszym schronieniu".

„To niemożliwe".

Véronique nie umiała sobie poradzić z ciężarem tego odkrycia.

Czy przeżycia z piwnicy naprawdę mogły być kolejnym schronieniem, cieniem prawdy narysowanym przez umysł przestraszony do tego stopnia, że pragnął się tam ukryć?

Nigdy nie miała do czynienia z tak realistyczną projekcją. W relacjach ofiar zawsze był jakiś dziwny element: wymyślony przyjaciel, przemiana kata w mitycznego potwora, takiego jak Król Olch, duchy, niewyjaśnione odgłosy lub pojawienie się nieistniejącej osoby lub miejsca… Ta fantastyczność była sama w sobie symbolem chęci ucieczki od rzeczywistości, szalona dla każdego obserwatora, ale jednocześnie istotna i mająca uzasadnienie z psychiatrycznego punktu widzenia.

Ale w piwnicy, w drugim schronieniu, wszystkie opowiedziane wydarzenia sprawiały wrażenie wiarygodnych i dalekich od fantazji. Czy to możliwe, że zegar stanowi jedyną fikcyjną część tej historii? A jeśli tak, to czy jest również jedyną drogą do poznania prawdy?

Rozmiar zadania nie martwił Véronique. Terapia może trwać długo, ale proces przebiega tak samo, niezależnie od tego, czy istniało jedno schronienie, czy więcej.

Nie. Tym, co ją dręczyło, było pytanie, kto lub co stało za tą ucieczką.

Im więcej o tym myślała, tym mniej była pewna, że chce zmierzyć się z prawdą.

Zrozumiała, że jest przytłoczona barierami, jakie postawił mózg Sandrine, że nie będzie w stanie ukończyć terapii bez wsparcia bardziej doświadczonego kolegi po fachu.

Milczała, oczekując, aż Damien przedstawi jej wyjaśnienia, których nie miał.

— Cóż… Pomyślę o tym wszystkim — powiedziała z powagą, wstając. — Jutro skontaktuję się z kolegą, który z pewnością będzie mógł coś rozjaśnić. To… niepokojące. Złożoność tego systemu przetrwania jest dla mnie bezprecedensowa…

— Rozumiem, Véronique, ufam pani. Proszę się nie poddawać. Czy przychodzi pani do głowy jakiś szczegół, na który powinienem zwrócić uwagę, taki jak zegar lub targi?

— Nie — odpowiedziała, stropiona tym, że nie potrafi pomóc inspektorowi. — Na razie nic…

— Nie szkodzi. Pani zadaniem jest uzdrawianie ofiar, a nie odkrywanie prawdy. To moja praca. Proszę się zbytnio nie angażować. Jeśli piwnica stanowi drugie schronienie, to prawda, która się z niej wyłoni, może się okazać jeszcze bardziej koszmarna.

— Zdaję sobie z tego sprawę, inspektorze, ale w pewnym momencie też będę musiała uleczyć tę prawdę, a jedynym sposobem na dostosowanie terapii jest stawienie czoła rzeczywistości, otwarcie drzwi schronienia, które mnie do niej doprowadzi. To trochę jak taniec z diabłem: nikt tego nie chce, ale na każdego w życiu przychodzi kolej…

— Mówię to, żeby panią ostrzec. Ta historia jeszcze się nie skończyła, a to, co ujawni, raczej nie rozjaśni naszych nocy. Proszę po prostu zachować dystans.

— A pan? — zapytała, oglądając się na progu. — Czy naprawdę chce pan zatańczyć z diabłem?

— Miałem już okazję i odwróciłem się plecami. Nie popełnię ponownie tego samego błędu.

Véronique pożegnała Damiena i wyszła z biura. Rozstali się, nie przeczuwając, w jakich okolicznościach zobaczą się po raz kolejny. Ale grobowa cisza, która towarzyszyła im przez te kilka sekund, kiedy żadne nie znalazło właściwych słów, nie wróżyła dobrze.

Inspektor zaczekał, aż drzwi się zamkną, zanim zapalił papierosa. Nie jadł jeszcze obiadu, ale nie był głodny, tak jakby jego ciało było zbyt pochłonięte tą tajemnicą, by czuć jakąkolwiek potrzebę poza rozszyfrowaniem tej historii. Żałował, że nie potrafił uspokoić młodej psychiatry. Ale jak mógł to zrobić, skoro sam czuł się zagubiony, nie wiedząc, jak przedrzeć się przez drzwi prawdy?

Około godziny czternastej z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu.

— Inspektor Bouchard — odezwał się, podniósłszy słuchawkę.

— Dzień dobry, inspektorze, mówi Dubreuil. Moja sekretarka powiadomiła mnie o pańskim telefonie. W czym mogę pomóc?

— Czy zna pan niejakiego pana Wernsta? — zapytał Damien, biorąc kartkę i długopis.

— Oczywiście, znam Franka Wernsta.

— Może mi pan trochę o nim opowiedzieć?

— Cóż… — zaczął Dubreuil. — Jest człowiekiem skromnym i miłym. Nigdy nie opuszcza naszych targów, jego zwierzęta cieszą się dobrą renomą, zwłaszcza krowy mleczne. Spodziewamy się go w przyszłym miesiącu. Jego miejsce jest już zarezerwowane, mimo że nie opłacił jeszcze składki członkowskiej.

Damien uważał, żeby nie wspomnieć o śmierci farmera. Prasa nadal nic nie wiedziała o morderstwie, nie trzeba było więc jej niczego ułatwiać, informując cywila, który bez wątpienia nie utrzymałby języka za zębami. „Rolnicy to jedna wielka rodzina".

— Czy zna pan daty jego udziału w targach, dokładne lokalizacje jego stanowiska oraz nazwiska kupujących? Chciałbym porozmawiać z osobami, które się tam z nim zetknęły.

— Oczywiście, ale… co się dzieje? Czy coś mu się stało?

— Przepraszam, panie Dubreuil, ale w tej chwili nie mogę o tym rozmawiać.

— Dobrze, mam nadzieję, że to nic poważnego.

— Proszę mi przefaksować te informacje — kontynuował Damien, zanim jego rozmówca spróbował dowiedzieć się czegoś więcej. — Bardzo dziękuję za pomoc.

— Z przyjemnością, inspektorze, w razie potrzeby jestem do dyspozycji.

— Jeszcze jedno pytanie. Od jak dawna odbywają się wasze targi?

— Od dwudziestu pięciu lat bez przerwy — oznajmił z dumą Dubreuil. — Z wyjątkiem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku.

— A co się wtedy stało? Czy chodziło o kryzys na rynku mięsa hodowanego na hormonach?

Damien przypomniał sobie skandal, który wstrząsnął sektorem rolniczym kilka lat wcześniej. Ujawniło, że dużo cieląt hodowanych we Francji było karmionych hormonami oraz trzymanych w przerażających i niehigienicznych warunkach. Nastąpił gwałtowny spadek sprzedaży mięsa, w wyniku czego wielu rolników zbankrutowało. Branża wciąż nie doszła do siebie i nadal cierpiała z powodu tego skandalu.

— Pan jest nietutejszy, inspektorze, mam rację?

— Rzeczywiście, zgadza się — przyznał Damien, nie precyzując, skąd przyjechał ani z jakiego powodu.

— W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, ostatniego dnia targów, zaginęło dziecko, syn jednego z naszych wystawców. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci tym nieszczęściem, wszyscy znaliśmy małego Fabiena. Z szacunku dla rodziny postanowiliśmy nie organizować targów w następnym roku, mieliśmy nadzieję, że dziecko wkrótce zostanie odnalezione. Ale policja nie trafiła na żaden ślad. Rodzice chłopca byli świeżo po rozstaniu. Rozumie pan, ciężki rozwód. Brutalny ojciec, alkoholik, gospodarstwo ledwo wiązało koniec z końcem… Typowa sytuacja na wsi. Zatem postawiono, a następnie przyjęto hipotezę o ucieczce, pozostawiając nas w iluzji, że mały prawdopodobnie wróci. Lecz słuch po nim zaginął.

— I to z tego powodu w kolejnym roku targi się nie odbyły?

— Tak, ale także dlatego, że ojciec chłopca powiesił się sześć miesięcy wcześniej.

Damien ponownie podziękował dyrektorowi i rozłączył się niezadowolony. Coś go dręczyło, coś, czego wciąż nie mógł dostrzec. Treść rozmowy spisał na kartce, aby nie zapomnieć o żadnym ważnym punkcie:

* * *

Od kiedy targi = od 25 lat

1982 = wydarzenie odwołane, ponieważ 1981 = zaginięcie dziecka Ojciec popełnia samobójstwo (przemoc, alkoholik, rozwód) Wernst jest nadal obecny jako wystawca. Od kiedy? (do sprawdzenia na liście przesłanej faksem przez Dubreuila)

Powściągliwy, ale miły (do sprawdzenia, skontaktować się z innymi osobami obecnymi na targach — wystawcami, sprzedawcami)

Dzieciaka nigdy nie znaleziono. Prawdopodobna ucieczka

Imię dziecka: Fabien

Fabien.

To jest ten szczegół.

Imię.

Damien niecierpliwie otworzył teczkę Sandrine i przejrzał notatki, które sporządził po powrocie do komisariatu.

— Cholera — zaklął, czując, że w jego uchu pojawiają się pierwsze wibracje głuchego głosu.

Przekartkował raport dotyczący pierwszego schronienia, tego na wyspie. Przypomniał sobie, że zrobił listę podanych przez ofiarę dzieci z obozu letniego. Sandrine mówiła o dziesięciorgu obozowiczach, ale nie podała wszystkich imion.

Tutaj.

Dzieci wojny. Mieszanej krwi. Ofiary Króla Olch.

Fabien.

Ten, który chronił innych, oznaczając pokoje rysunkiem.

„Mówiłem ci, że będziemy się dobrze bawić, niegodny ojcze".

9

Trzy dni, babciu, trzy dni… Cały ten czas zajęło mi zrozumienie.

Wieczność.

Pierwszego wieczoru, w dniu jego przyjazdu, nie poszłam zobaczyć dziecka. Nie mogłam się ruszyć ani mówić. Wiem tylko, że położył je w piwnicy, usłyszałam dzwonienie łańcucha i szczęk zamka.

Następnego ranka jednak to ja musiałam zanieść mu śniadanie.

Zniosłam tacę bez słowa, nawet nie patrząc na to dziecko, odtwarzając zachowanie mojego byłego kata. Po prostu wpatrywałam się w podłogę, postawiłam tacę z posiłkiem i wbiegłam po schodach, aby uciec przed jego obecnością. Zamknęłam drzwi do kuchni, żeby nie słyszeć jego łez, a potem, opierając się o zlew, zacisnęłam pięści, aż poczułam, jak paznokcie wbijają mi się w skórę.

„Nie płacz, nie łam się, pamiętaj, co ci powiedział…"

— Niedługo, tylko kilka dni, żeby moja potrzeba minęła… To dziecko nie zasługuje na życie. Odwrotnie niż ty, bo to życie nie zasługuje na ciebie. Zrozumiałem to. Nikt by się nie podniósł po tym, przez co przeszłaś z mojego powodu. Nikt nie potrafiłby przebaczyć. Jesteś wyjątkowa, świat zewnętrzny na ciebie nie zasługuje. Z dzieckiem jest inaczej. Jest bezużyteczne. To ulotny słaby płomyczek, który wkrótce zgaśnie i którym nikt nie będzie się przejmował. Jest tu po to, żeby pomóc nam żyć razem. To naczynie na moje potrzeby, zwykłe naczynie, którego jedynym zadaniem jest uwolnienie mnie.

„Pierwsze dni są najtrudniejsze… Wciąż trudno ci się z tym pogodzić, ale wkrótce, z biegiem czasu, zdasz sobie sprawę, że to jedyne rozwiązanie. Jeśli masz wątpliwości, posłuchaj swojej piosenki, tej o miłości, i pomyśl o naszym szczęściu. Wszystko, co istnieje poza farmą, jest tylko światem, nad którym wisi zagłada… Ale my schroniliśmy się tutaj… Ta farma jest naszym schronieniem… Czy nie o tym zawsze marzyłaś, Sandrine? Jaki jest więc sens myśleć o dziecku z piwnicy? Po co narażać tę równowagę i stabilność, której nigdy wcześniej nie zaznałaś?"

Posłuchałam jego rad.

Parlez-moi d'amour.

Dziesiątki razy. Gdy słyszałam dochodzący z piwnicy płacz, zwiększałam głośność i wykrzykiwałam słowa piosenki niczym rozkazy wydawane tej części mnie, która wciąż wątpiła…

Parlez-moi d'amour.

10

Czy to był zbieg okoliczności?

Z pewnością. Ale niepokojący zbieg okoliczności.

Nie należy lekceważyć faktu, że człowiek, który porwał i więził młodą dziewczynę i którego znaleziono martwego w piwnicy, był obecny pięć lat temu przy zaginięciu innego dziecka. Ponadto w obu opowieściach pojawiło się imię zaginionego.

Czyżby dzieci wymienione w schronieniu Sandrine istniały naprawdę? Czy w tamtym miejscu, zagubione pośród meandrów zranionego i przerażonego umysłu, pojawiają się prawdziwe duchy? Czy to możliwe, że dzieci też były, podobnie jak zegar, jednym z tych znaków nawigacyjnych ucieczki przed rzeczywistością?

„Okej, Fabien to pospolite imię" — rozważał Damien, starając odeprzeć potworną myśl, która w nim narastała. „Może to tylko zbieg okoliczności, ale ta historia jest tak szalona, że…"

Przejrzał rejestr osób zaginionych w Normandii. Policja nie dysponowała scentralizowaną dokumentacją zaginionych nieletnich. Istniały akta regionalne, ale zdjęcia zaginionych rzadko przekraczały granice administracyjne, aby przekazano je innym komisariatom w kraju. Inspektor sprawdził, czy wśród imion nie ma imion dzieci obecnych w schronieniu Sandrine. Fabiena nie było w rejestrze, ponieważ — jak wyjaśnił mu Dubreuil — sprawa została zaklasyfikowana jako prawdopodobna ucieczka. Damien nie znalazł też żadnego innego imienia

z wyspy. Poczuł ulgę, ale miał świadomość, że nie przekreśla to jego teorii: w całym kraju, we wszystkich regionach odbywały się liczne targi bydła, których nie mógł sprawdzić przy swoich ograniczonych możliwościach i kolegach zajętych przenosinami.

Od razu wiedział, do kogo się zwrócić. Chociaż przez lata się nie widzieli i wymieniali tylko parę słów przez telefon, był pewien, że przyjaciel nigdy nie odmówiłby mu pomocy. Udowodnił to przecież, chodząc po ulicach w poszukiwaniu Mélanie, a następnie odwiedzając codziennie Damiena, aby sprawdzić, co u niego, a także upewnić się, że nie zrobi głupstwa, gdy wieczorem, w samotności pustego domu, zza łez i wyrzutów sumienia usłyszy śmiech zaginionej córki…

Inspektor wziął głęboki oddech, zanim podniósł słuchawkę.

Podążanie tym tropem przerażało go bardziej niż cokolwiek innego. Bo jeśli naprawdę chciał zweryfikować możliwość, że dzieci istniały, a Wernst był ich katem, musiał przede wszystkim opuścić własne schronienie, które stworzył, by ewentualnie uciec przed przeszłością, przed możliwością, że jedno z dwóch niewymienionych przez Sandrine imion zaczyna się na literę M.

— Halo!

— Patrice?

— Cześć, Damien.

— Coś nowego?

— Nie, nadal nic.

— Trudno, może niedługo.

Zwykle rozmowa kończyła się w ten sposób. Tym razem Patrice się zdziwił. Damien nigdy nie kontaktował się z nim w tak krótkim odstępie czasu. Zazwyczaj dzwonił co miesiąc, a tym razem od ich poprzedniej rozmowy upłynęły zaledwie dwa dni.

— Patrice?

— Tak?

— Czy mógłbyś mi pomóc w jednej sprawie?

— Oczywiście! Damien, wszystko w porządku? — zaniepokoił się przyjaciel.

— Podam ci listę imion — kontynuował inspektor, nie odpowiadając na pytanie. — Powiesz mi, czy przychodzą ci na myśl dzieci uznane za zaginione? Może nie w regionie, ale gdzie indziej… Stare sprawy, o których słyszałeś…

Podyktował imiona. Za każdym razem, gdy wymawiał imię, Patrice powtarzał je szeptem, szperając w pamięci, próbując sobie przypomnieć, czy na seminarium lub podczas zwykłych rozmów między kolegami wspomniał o nim jakiś policjant. Damien ze swojej strony modlił się, by jego teoria była błędna. Zamykał oczy i oddychał z ulgą za każdym razem, gdy imię nie zaalarmowało przyjaciela.

— Poczekaj… Julie?

Rozwarł powieki i poczuł na ramionach ciężar niewidzialnej postaci.

„Tik-tak, tik-tak…"

— Owszem, jedna Julie zaginęła w Vendée tego lata — potwierdził Patrice. — Sprawa wywołała poruszenie, wydarzyło się to w nadmorskim kurorcie podczas wakacji… Tak, w Saint-Hilaire-de-Riez. Ale ciało znaleziono na plaży, a winowajca został aresztowany. Pamiętam, bo mój brat był w okolicy na urlopie i mi o tym opowiedział.

— Nie, chodzi mi tylko o zaginięcia, których nie wyjaśniono.

— Okej… W tej chwili nic nie przychodzi mi do głowy. Pogadam z kolegami. Te dzieciaki naprawdę zniknęły?

— Nie… To raczej… przeczucie — odpowiedział wymijająco inspektor. — Jeszcze nie potrafię tego wyjaśnić, to z pewnością fałszywy

trop. Chciałem go tylko skonsultować z tobą.

— Jasne. Do usług, Astronauto!

— Chciałem… Chciałem zapytać o coś jeszcze.

— Słucham.

— Kiedy Mélanie zniknęła… czy w regionie odbywały się targi rolnicze?

— Targi rolnicze? — powtórzył Patrice, zaskoczony tym dziwacznym pytaniem.

— Tak, targi, na których hodowcy sprzedają…

— Damien, wiem, co to są targi rolnicze. Nie pamiętasz? Raz czy dwa poszliśmy tam po pracy na jednego… Przed… no wiesz.

— Gdzie to było? — wyszeptał Damien. Zaschło mu w gardle.

— W Sancoins. Te targi należą do najważniejszych w regionie Centre. Dlaczego o to pytasz?

Opadł na oparcie krzesła. Poczuł, że zbiera mu się na płacz. Mnóstwo obrazów rozbiło się o skałę zapomnienia: Mélanie, Berry, czarownice, lasy, kanał, diabeł.

„Jak mogłem zapomnieć? Sancoins… Małe miasteczko położone około trzydziestu kilometrów od Saint-Amand. Niebezpiecznie bliska odległość między potencjalną ofiarą a jej oprawcą…"

Fabien, a teraz Mélanie. Dwoje dzieci, dwa prawdopodobne cele Wernsta. Ale nie ma ciała ani konkretnej wskazówki. Tylko łańcuch przypuszczeń, które komisarz zmiótłby ze stołu, zamykając teczkę Sandrine. Przede wszystkim konieczne było potwierdzenie obecności Wernsta w środkowej Francji w tym okresie.

— Damien? Jesteś tam?

— Tak, Patrice… przepraszam. Czy mógłbyś zrobić dla mnie coś jeszcze? Skontaktuj się z izbą rolniczą w Bourges i sprawdź, czy w roku zaginięcia Mélanie uczestniczył w tych targach pewien człowiek. Muszą mieć listę wystawców. Znają cię i udzielą ci tych informacji.

— Oczywiście. Na pewno wszystko w porządku? Masz dziwny głos…

— Wszystko dobrze, nie martw się — zapewnił inspektor. — Możesz szybko do mnie oddzwonić?

— Daj mi godzinę. Jak on się nazywa?

— Wernst. Frank Wernst.

— Zapisałem. Damien?

— Tak?

— Powinniśmy częściej do siebie dzwonić… Częściej niż raz w miesiącu. Wiesz, Linda czasami nas odwiedza. Już cię nie obwinia… Odbudowała swoje życie i już nie uważa, że jesteś odpowiedzialny za to, co się stało…

„Naprawdę? Więc kogo obwinia teraz?" — zastanawiał się Damien, przypominając sobie, że była żona zawsze rzucała w kogoś kamieniem i że nie powstrzymała się przed tym od pierwszych godzin zniknięcia. Początkowo tolerował jej wyrzuty, tłumacząc sobie, że to strach i rozpacz. Ale gdy dni upływały, a Mélanie nadal nie odnaleziono, krytyka Lindy stawała się coraz ostrzejsza. Tak ostra jak nóż, który przy każdym jej słowie przebijał serce ojca zrozpaczonego tym, że nigdy więcej nie zobaczy córki.

— Mówi tylko, że czasami mężczyźni tańczą z diabłem, a często to on się przy tym uśmiecha…

11

Przez kilka następnych dni starałam się robić to samo: przynieść tacę, zignorować jego obecność, wejść na górę i zapomnieć. Mechaniczne i szybkie ruchy, pozbawione człowieczeństwa. To był jedyny sposób na walkę z poczuciem, że stałam się potworem. Musiałam ograniczać do minimum chwile spędzane z dzieckiem, dopóki o nim nie zapomnę, dopóki nie stanie się nieistotnym elementem mojego życia.

Tak się jednak nie wydarzyło, babciu.

Drugiego wieczoru o dwudziestej trzydzieści siedem Frank zszedł z posiłkiem i kubkiem czekolady do piwnicy. Schowałam się w jadalni, pomieszczeniu najbardziej oddalonym od kuchni i dziecka, aby włączyć radio i zająć myśli programem historycznym nadawanym codziennie o tej porze. Nieważne, jak bardzo starałam się przekonać samą siebie, wmawiać sobie, że miał rację, że nasze szczęście posiada moc, która unicestwi wszystkie moje wyrzuty sumienia. Nie udało mi się.

Jednak pułapka nieustannie się zamykała. Każda mijająca minuta usypiała we mnie ostatnie buntownicze myśli, nadgryzając moją psychikę jak cierpliwy potwór, zmniejszając znaczenie dziecka do powłoki cielesnej, jeszcze bardziej tłumiąc światło tego płomyczka…

Tematyka audycji dotyczyła eksperymentów przeprowadzanych przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej. Pomyślałam o tobie, babciu. Znałaś tę wojnę i ją przeżyłaś. Poczułam smutek z powodu twojej

nieobecności. Chciałam, żebyś mnie przytuliła i powiedziała, co mam robić, oraz żeby płacz dziecka ucichł.

Tak pojawiło się rozwiązanie.

Minęło dużo czasu, odkąd byłam na wyspie.

Od kiedy mnie już nie dotykał. Od kiedy strach odszedł.

Musiałam tylko wrócić, schronić się tam, aby zapomnieć o tym, co działo się tutaj. Dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej?

Zamknęłam oczy, słysząc w tle głos prezenterki radiowej, która opowiadała o Lebensborn, „źródle życia", a także o różnych eksperymentach przeprowadzanych przez nazistów podczas okupacji na żołnierzach, cywilach i dzieciach… Jeden z zaproszonych gości wspominał o sierocińcu w dworku Boiseries w Oise, który w ostatnich miesiącach wojny służył jako szpital położniczy dla francuskich kobiet będących w ciąży z niemieckimi żołnierzami. Dom i budynki gospodarcze należące do rodziny Menier, właścicieli słynnych fabryk czekolady i batoników kakaowych o tej samej nazwie, zostały zarekwirowane, aby zorganizować tam „program doskonałych dzieci". Ten zbieg okoliczności sprawił, że się uśmiechnęłam: to była marka czekolady, którą podawał mi codziennie mój były kat.

„Czekolada Menier, dobrostan Wszechświata".

Poczułam, że odchodzę. Jakbym spadała na dno studni, wiedząc, że mój upadek zostanie złagodzony bawełnianą tkaniną życzliwości. Kiedy otworzyłam oczy, siedziałam naprzeciw Paula na pokładzie Lazarusa. Morze było spokojne i bezpieczne, słyszałam dochodzące ze sterówki przekleństwa starego wilka morskiego Simona. Byłam szczęśliwa, że spotkałam młodego intendenta. Szczęście połączone z poczuciem winy, bo radując się, miałam niedorzeczne wrażenie, że zdradzam mężczyznę zajętego w piwnicy. Ale nadal słuchałam go z uśmiechem, pozwalając, by

malował przede mną portrety mieszkańców. Zapomniałam o farmie i o dziecku.

Obudziłam się w chwili, gdy postawiłam stopę na pomoście.

Wernst właśnie usiadł obok mnie na kanapie, jego obecność wyrwała mnie z zamyślenia. Milczał przez chwilę, aż jego oddech wrócił do normalnego rytmu, po czym wstał, żeby wyłączyć radio.

— Te programy… Tak jakbyśmy ich potrzebowali… Czy oni nie zdają sobie sprawy, że nie ma wierniejszego towarzysza niż wojna? Że kiedy ją poznajesz, to na całe życie?

„Tak" — pomyślałam. „Złe wspomnienia i koszmary prześladują nas przez całe życie. Poczucie winy też. Ale znam schronienie, gdzie mogę uciec od tego wszystkiego… To wyspa, na której nic i nikt mnie nie dosięgnie…"

Tyle że nadszedł dzień trzeci.

12

Patrice oddzwonił dwie godziny później.

— Wernst był obecny tamtego roku na targach w Sancoins — oznajmił.

Spokojny ton jego głosu i staranność, z jaką wypowiedział to zdanie, nie pozostawiły wątpliwości.

Damien słuchał przyjaciela, odsuwając od siebie jego słowa i ich sens.

Usłyszał śmiech Mélanie.

Zobaczył, jak córka się uśmiecha.

Wpatrywał się w jej puste łóżko, w którym spał wiele nocy, mając nadzieję, że Mélanie przyjdzie i go obudzi, rozbawiona, że jego stopy wystają poza materac.

Bucefał mówił dalej, obrazy się rozmyły. Wyjaśnił, dlaczego zajęło mu to więcej czasu, niż się spodziewał:

— Pozwoliłem sobie poszukać targów, na których pojawiał się jako wystawca. Ustaliłem przynajmniej część z nich, bo ten facet musiał brać udział mniej więcej w dwudziestu imprezach rocznie.

Patrice działał skutecznie. Natychmiast zadzwonił do izby rolniczej w Bourges, która potwierdziła obecność Wernsta na targach, podając, że sprzedał tam trzy krowy. Policjant zapytał, czy istnieje krajowy rejestr targów bydła, a jego rozmówca podał mu dane kontaktowe FFMBV, Francuskiej Federacji Rynków Bydła Żywego. Stamtąd Patrice uzyskał pełną listę wydarzeń krajowych.

— To nie wygląda dobrze, Damien. Ani trochę.

— Słucham cię — odezwał się z trudem inspektor.

— Skontaktowałem się z dziesięcioma gminami. W czterech opłakiwano zaginięcie dziecka w ciągu ostatnich dziesięciu lat: w Albi w siedemdziesiątym dziewiątym, w Grenoble w siedemdziesiątym ósmym, w Breście też w siedemdziesiątym ósmym i w Clermont-Ferrand w osiemdziesiątym. Żadnego z tych dzieci nie odnaleziono, a ten facet był obecny na targach w każdej z tych gmin. Chyba już czas, byś mi to wyjaśnił, nie sądzisz?

Damien z przerażeniem pojął, co właśnie powiedział mu przyjaciel. Jego lęk, który z początku był tylko szeptem, ledwie intuicyjnym odczuciem, zamienił się w coraz bardziej słyszalne wycie, mrożące krew w żyłach jak krzyki dzieci chcących uratować się przed utonięciem.

— Dwa dni temu znaleźliśmy na plaży młodą kobietę — zaczął. — Nic nie pamiętała, tylko wyspę i obóz letni, na którym przeprowadzano eksperymenty na dzieciach. Opiekująca się nią psychiatra zdiagnozowała u niej liczne objawy zespołu stresu pourazowego. Według lekarki ta opowieść o wyspie i dzieciach jest tylko rodzajem „schronienia", by uciec od rzeczywistości traumatycznego przeżycia. W końcu udało nam się zdobyć zaufanie ofiary i powiedziała nam prawdę. Była więziona przez całe lata i udało jej się uciec, zabijając oprawcę: Franka Wernsta.

— O cholera! A co Mélanie ma wspólnego z tą historią?

— W swoim pierwszym opowiadaniu Sandrine, ofiara, podała imiona dzieci obecnych na obozie letnim. W sumie miało ich być dziesięcioro, ale wymieniła tylko osiem imion. Jedno z nich to Fabien; tak samo nazywał się dzieciak, który zaginął na targach rolnych niedaleko stąd, gdzie był też obecny Wernst. A inne imiona to te, które ci wcześniej podałem.

— Szlag… Myślisz, że to pozostałe ofiary tego człowieka? I że Mélanie jest jedną z nich?

— Nie wiem, ale on znajdował się niedaleko mojej córki, kiedy zaginęła. Mélanie może być jednym z dwojga niezidentyfikowanych dzieci.

— Mówiłeś o tym komisarzowi?

— Porozmawiam z nim. Dzięki temu, co mi właśnie powiedziałeś, wiemy, że pięcioro dzieciaków jest powiązanych z podróżami Wernsta. To nie może być kwestia przypadku… Potem wrócę na farmę, na której mieszkał ten człowiek. Jeśli przebywały tam jakieś dzieci, to muszą być po nich ślady.

— Nie została przeszukana? — zdziwił się Patrice.

— Nie w całości. Zespoły ograniczyły się do głównych pomieszczeń, deszcz nie pozwolił im rozszerzyć przeszukania na budynki gospodarcze.

— Cholera, Damien, to szalona historia… Ta młoda kobieta musiała widzieć dzieci. Cztery zaginięcia, o których ci powiedziałem, pochodzą z ostatnich dziesięciu lat!

— Wiem, ale problem polega na tym, że ona niczego nie pamięta, znów schroniła się w myślach na swojej wyspie, jakby chciała się ukryć przed całym tym horrorem.

— Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

— Zrobiłeś już wystarczająco dużo. Dziękuję i… przepraszam, że odszedłem.

— Porozmawiamy o tym innym razem, Damien. Informuj mnie o śledztwie i bądź ostrożny.

— Tak zrobię.

Inspektor wstał, zebrał zawartość akt i bez pukania wszedł do biura komisarza.

— Znalazłem coś nowego.

— Nowego? W jakiej sprawie? — Fourier był zdziwiony, widząc Damiena wpadającego do jego gabinetu w ten sposób.

— Nieznajomej z plaży. — Inspektor chciał podnieść głos, by uświadomić przełożonemu, jak pilna jest sytuacja, ale się powstrzymał.

Fourier przeglądał papiery rozłożone na biurku. W rogu pokoju leżała sterta akt czekających na zabranie.

— Powiedział mi pan wczoraj wieczorem, że wyznała prawdę i że wkrótce dostanę pełny raport! — odparł komisarz, marszcząc brwi z wyrazem niezrozumienia.

— Zmieniła wersję.

— To jakiś żart? Którą wersję? Cholera jasna, prosiłem, żeby pan załatwił tę sprawę możliwie jak najszybciej!

— Wróciła na wyspę, nie pamięta już, że została porwana.

— Ale o czym ty…

— Panie komisarzu, potrzebuję wszystkich dostępnych ludzi.

— Słucham?

Fourier otworzył szeroko oczy, gdy usłyszał tę prośbę. Zgoda, zarządzał małym i skazanym na zamknięcie komisariatem. Trzeba przyznać, że jego ludzie nie byli najlepszymi francuskimi policjantami. Byli po prostu poważnymi ludźmi, szczęśliwymi, że stacjonują w jednym z najspokojniejszych zakątków Francji, z dala od porachunków rywalizujących gangów i handlu narkotykami z obszarów metropolitalnych. Ale komisarz umiał rozpoznać, gdy w oczach któregoś z policjantów zajaśniało przekonanie. I nigdy nie widział u nikogo, by ten blask żarzył się z taką determinacją.

— Pojawiły się nowe fakty — powiedział pospiesznie inspektor. — Jeśli są prawdziwe, mamy wielką, bardzo poważną sprawę. I proszę mi

wierzyć: jeśli uda mi się zakończyć tę historię, nikt nie zakwestionuje zasadności istnienia naszego komisariatu. Ale w tym celu potrzebuję wszystkich obecnych dziś ludzi, aby poszli przeszukać farmę.

— Cholera, Damien, ma pan pięć minut, żeby mi wszystko wyjaśnić.

Inspektor podał wszystkie szczegóły. Pierwsze schronienie, prawda, epizod w piwnicy, który według niego był drugim schronieniem, zegar, targi rolne z udziałem Wernsta, zniknięcie Fabiena i Mélanie, inne imiona…

Fourier słuchał uważnie Damiena, jego skupiony wzrok wciąż jednak zdradzał niedowierzanie. Komisarz zadał wszystkie pytania, jakie przyszły mu do głowy. Na każde z nich inspektor udzielił odpowiedzi wiodącej z powrotem do dzieci i Wernsta.

— Naprawdę pan myśli, że…

— Im więcej czasu mija, tym bardziej jestem o tym przekonany… Musimy działać szybko.

Jego przełożony już się nie wahał. Wezwał cały zespół i zadzwonił do komisarza oddziału w Caen, prosząc go o posiłki i ekipę z psami. Spotkał się jednak z odmową. Inna operacja w Calvados wymagała obecności psów, a także ekipy techników kryminalistyki.

— Kurwa, można by pomyśleć, że nasz komisariat jest już zamknięty! — krzyknął Fourier, odkładając słuchawkę. — Chodźmy, poradzimy sobie bez nich.

Poprosili pozostałych członków brygady, by poszli za nimi, i zostawili tylko oficera dyżurnego, nierozumiejącego, co się dzieje.

— Niedługo wrócimy, proszę przekierowywać wszystkie ważne połączenia na moje radio! — zawołał komisarz, zanim zniknął w deszczu.

Kiedy wsiedli do radiowozu, spojrzał na Damiena i powiedział, zanim odpalił silnik:

— Inspektorze, nawet jeśli ta historia może uratować nam tyłki, mam szczerą nadzieję, że jest pan na złym tropie…

Pół godziny później na końcu wiejskiej drogi pojawiły się samochody policyjne. Ich niebieskie migające światła przebijały deszcz, rozdzierając szare niebo elektryczną poświatą.

— Znajdźcie mi dowód na obecność dzieci w tej budzie! Jakikolwiek! — ryknął komisarz.

Policjanci rozdzielili zadania. Największa grupa sprawdzała główny budynek, podczas gdy parę mniejszych zespołów rozeszło się w mżawce ku budynkom gospodarczym. Generatory prądu wydały głośny dźwięk w ciszy apatycznego wiejskiego krajobrazu. Kilka ptaków odleciało, stado krów odważyło się spojrzeć, po czym ponownie skupiło się na ziemi, a kilka kur rozproszyło się bezładnie.

Damien przeszukiwał salon. Nie chciał wracać do piwnicy. Unosząca się tam woń śmierci nie opuściła go tak naprawdę od ostatniej wizyty. Szukał śladów kota, ale nigdzie go nie widział.

„Przyśnił mi się?" — zastanawiał się, wyciągając szuflady z wielkiej drewnianej szafy i rozkładając je na podłodze. Opróżnił też wszystkie szafki. Inspektor nie wiedział, czego tak naprawdę szuka: zdjęć, rysunków, przedmiotów… ale powyjmował wszystko, co tylko się dało.

— Proszę spojrzeć, inspektorze.

Damien podszedł do wiszącej na ścianie drewnianej ramy, którą wskazał mu kolega.

— Niemieckie medale — stwierdził policjant.

— Nie ma wierniejszego towarzysza niż wojna… — mruknął Damien, przypominając sobie słowa Sandrine.

— Słucham?

— Nic, Wernst zapewne był kiedyś żołnierzem. W wieku szesnastu lat zostawało się przymusowo wcielonym do Wehrmachtu. Sandrine podkreśla w swojej historii, że mówił z lekkim akcentem. A jego nazwisko nie jest francuskie.

Kolejna ramka otaczała czarno-białe zdjęcie pochodzące niewątpliwie z okresu powojennego. Ukazywało uśmiechniętego młodego Wernsta z krótkimi włosami. Mężczyzna stał na brzegu stawu, trzymając w prawej dłoni dużą łopatę wbitą w ziemię. Podwinięte rękawy koszuli odsłaniały zarys jego umięśnionych przedramion, naprężonych niczym ręce antycznego greckiego posągu.

„Dzieciaki nie miały żadnych szans przeciwko człowiekowi takiemu jak on" — pomyślał Damien, patrząc na sugestywny obraz siły farmera.

Minęły dwie godziny. Policjanci nadal przewracali do góry nogami wszystko, co można było sprawdzić, coraz bardziej wątpiąc, czy uda im się znaleźć jakąś wskazówkę. Sypialnie, kuchnia, łazienka, spiżarnia… Wszystkie pomieszczenia zostały obejrzane i przetrząśnięte. Szafki wypluwały zawartość na podłogę, ścianki działowe odbijały echa uderzeń mających odkryć potencjalne skrytki, lodówka, biblioteczka i inne meble, przesuwane silnymi ramionami, odsłaniały tylko kurz i brud, w którym stały od wieków. Dużo uwagi poświęcono także podłodze. Liczne dywany i pozostałości ich mieszkańców wszelkiego rodzaju zostały zwinięte i wyniesione na zewnątrz. Zbadano dokładnie listwy przypodłogowe z litego dębu, ale nie zdradziły istnienia żadnej kryjówki, która mogłaby pomieścić ciała dzieci.

Noc z wolna pojawiła się na horyzoncie jak głodna bestia ostrożnie zbliżająca się do zranionej ofiary.

— Coś musi tu być, to po prostu niemożliwe! — zirytował się Damien.

Odrzucił myśl, że popełnił błąd, że nie szukał we właściwym miejscu i we właściwym czasie. Odepchnął pamięć o tych twarzach w Berry, które mu zarzucały, nigdy nie mówiąc tego wprost, że nie potrafił znaleźć swojej córki. Wydawał się głuchy, kiedy głos byłej żony krzyczał do niego z odległej czasoprzestrzeni, że jego wybory i decyzje stały się główną przyczyną utraty Mélanie, że to on miał czekać na nią tego dnia przy bramie gimnazjum i że nie powinien był zgłaszać się na ochotnika na to szkolenie w Paryżu. Odepchnął również od siebie ostatni uśmiech Mélanie, tę radość, kiedy dwa dni przed zaginięciem córki podarował jej czerwone buty, o których marzyła od miesięcy.

„Nie teraz, to nie czas, skup się…"

Nagle zza budynku rozległo się wołanie. Wszyscy obecni mężczyźni zamarli.

— Tutaj, do cholery, tutaj!

Damien wybiegł na zewnątrz, starając się ominąć kałuże błota, i dołączył do grupy, która zebrała się już w pobliżu obory. Drewniana konstrukcja, wysoka jak dom, z dwiema ścianami bocznymi z solidnych desek, rozciągała się mniej więcej na dwadzieścia metrów. Woń bydlęcych odchodów i wilgotnej słomy z boksów dla krów sprawiała, że powietrze było ciężkie, tak jakby zapachy te z biegiem czasu przesiąknęły to miejsce, i wywoływała uczucie duszności.

— Tutaj!

Inspektor spojrzał na koniec obory i zobaczył drewnianą drabinę znikającą we włazie w suficie.

— Na górze!

Wszedł po drabinie i prześlizgnął się przez mały otwór. Oparł się na obu rękach, żeby podciągnąć się na strych, otrzepał spodnie z kurzu i włączył latarkę. Musiał się schylić, żeby nie uderzyć się w plątaninę belek nad

głową. Wiszące pajęczyny dzieliły przestrzeń, a brak okien powodował, że atmosfera była zatęchła. Damien szedł wśród składowanych niedbale przez lata rozmaitych przedmiotów, kierując się w stronę latarek oświetlających nieruchomo kąt, którego jeszcze nie widział.

— Co to jest? — zapytał, gdy dotarł wreszcie do komisarza i innego funkcjonariusza. — Co znaleźliście?

Ale żaden z nich nie miał siły odpowiedzieć. Po prostu patrzyli na Damiena z głęboką rozpaczą w oczach.

13

Wiesz, babciu, jestem przekonana, że czas wszystko zużywa.

Miłość, życie, uśmiech i złość. Poczułam to, kiedy napotkałam spojrzenie tej dziewczynki. Zużycie. Mojego człowieczeństwa, mojego rozumu, mojej duszy.

To nie powinno było się wydarzyć.

Przynieść tacę, zignorować jej obecność, wrócić na górę, zapomnieć o niej i udać się na wyspę. Taki był plan. Ale kiedy się nachyliłam, żeby postawić przed nią posiłek, usłyszałam jej szept:

— Zna pani imiona kotów?

Podniosłam głowę, zaskoczona, że zwraca się do mnie tak łagodnie. Spodziewałam się słów zabarwionych nienawiścią i złością.

— Nie mają imion — odpowiedziałam przejętym głosem, choć pragnęłam, by brzmiał stanowczo i oschle.

— Ależ mają… — zaoponowała.

— Nigdy nie nadałam im imion.

— A jednak je mają — stwierdziła, zanim połknęła pierwszy kęs.

Ta smarkula była piękna. Długie brązowe włosy, jasne piegi rozrzucone na twarzy jak gwiazdy na letnim niebie, tęczówki jak dwie studnie wypełnione złotem… Podczas gdy jadła, stałam długo w zachwycie, obserwując ją czule i walcząc z chęcią wzięcia jej w ramiona.

Kiedy skończyła, skuliła się pod ścianą, przyciągając kolana do klatki piersiowej.

— Tęsknię za tatą… — wyznała.

— Przykro mi… — powiedziałam z trudem, poruszona tym zdaniem, które zbyt często odbijało się potem echem w mojej głowie.

— Powtarzał mi, żebym nigdy nie traciła nadziei — ciągnęła dziewczynka. — Powiedział to, kiedy w końcu kupił mi te buty, których pragnęłam od miesięcy. „Widzisz, kochanie, nigdy nie trać nadziei!" Więc nie tracę nadziei. Wiem, że przyjdzie i mnie uratuje.

— To bardzo piękne wspomnienie — odparłam, czując łzy cisnące się do oczu.

— Twój tata też ci tak mówił?

— Nie wiem…

— Lubię mówić o moich rodzicach. To tak jakby byli tu ze mną.

Poprosiłam ją zatem o więcej szczegółów na temat matki i ojca. To sprawiło jej przyjemność i Mélanie opowiedziała mi o nich z dumnym spojrzeniem. Nigdy nie spotkałam dziecka dumnego ze swoich rodziców. Czy po prostu żyłam w złym wszechświecie? Czy moje przekonania nie były jedynie wynikiem nieudolności, błędnych interpretacji zaszczepionych mi przez matkę niezdolną do wychowania dziecka i przez chłopa oferującego mi fałszywą wolność?

Opowiedziała mi historie ze swojego regionu: przesądy, które zmarli przekazywali żywym, dreszcze pojawiające się u spacerowiczów zagubionych w nocnej mgle, niewidzialna, ale mimo to dostrzegalna obecność czarownic za plecami, książki, które przywoływały to, o czym nikt nie mówił, *La Mare au diable*, *Les Clous de Satan*… Przyznała, że dużo o tym myślała, odkąd tu przybyła, i że ten przerażający świat wydawał

się jej teraz najcenniejszym schronieniem, znacznie mniej wrogim niż rzeczywistość.

Podniosłam tacę i ruszyłam ku schodom. „Proces jest w toku" — pomyślałam. „Ona sama szuka schronienia… Oto czary dzieci… Wzywać duchy, aby zapomnieć, bawić się czasem i jego względnością, aby przetrwać nieprzystosowanie wszechświata, myślącego tylko o tym, by je pożreć…"

Odwróciłam się, nieudolnie próbując ukryć łzy, a kiedy znalazłam się w połowie schodów, powiedziałam do niej:

— Jeśli chcesz, mogę ci przynieść kilka książek lub talię kart.

— A czy mogłabym prosić o kredę?

— Kredę? Nie wiem… Jeśli znajdę. Ale po co? — zapytałam, zaintrygowana tym wyborem.

— Żeby dodać tu trochę koloru. Żeby słońce było widoczne. Żeby narysować koty — wyjaśniła nieśmiało.

— To… to bardzo dobry pomysł.

Wernst wyszedł na cały dzień i miał wrócić dopiero wieczorem. Wiedziałam, że to mu się nie spodoba, ale byłam pewna, iż potrafię sprawić, by zrozumiał, że nie wpłynie to na nasze codzienne życie, że to zwykły prezent, taki sam jak książki, które przyniósł mi pewnego dnia.

Godzinę później wręczyłam jej stare pudełko kredy, które znalazłam w jednej z wielu szuflad w salonie. Uśmiech dziewczynki rozgrzał moje serce i przełamał ostatnie lody.

Musiałam porozmawiać z Wernstem. Przekonać go. Powiedzieć mu, że nie chciałam takiego życia, że nasze szczęście od tego nie zależy. Mógł mnie brać tyle razy, ile chciał. Nie trzeba było kolejnego ciała, należałam do niego. Więc niech ją uwolni. Nic nie powie, kazalibyśmy jej to przysiąc.

Co do mnie, obiecałabym mu, że nigdy go nie opuszczę, nigdy nie schronię się na mojej wyspie, zamieszkam tutaj, będę mu wystarczać jak poprzednio… Jeśli naprawdę mnie kocha, zrozumie, byłam o tym przekonana…

Ale, jak mówiłam, babciu, czas zużywa wszystko.

Szczególnie mężczyzn…

Na cały dzień zostawiłam otwarte drzwi do kuchni, żeby dziewczynka mogła słuchać muzyki w domu, tak jak ja. Koty skorzystały z okazji, aby zejść do piwnicy i dotrzymać jej towarzystwa. Te zwierzęta, których nadal głęboko nienawidziłam za bezczelną, beztroską swobodę, jaką wykazywały, spędzały popołudnie u jej boku. Zdumiało mnie, jak szybko ją przyjęły. Osiągnięcie tego zajęło mi więcej czasu.

Innym powodem, dla którego nie lubiłam kotów, było rosnące zainteresowanie nimi ze strony ich pana. Często w ciągu ostatnich kilku miesięcy, kiedy kładłam się spać, on zostawał z nimi, głaszcząc je, rozmawiając z nimi, poświęcając im całą uwagę, której mnie coraz bardziej pozbawiał.

Gdy trochę później zeszłam na dół, aby przynieść dziewczynce obiad, okazało się, że zdążyła pokolorować ścianę, do której była przykuta. Oszołomiona, zobaczyłam gigantyczną tęczę spowijającą promieniste słońce, kwiaty z różnobarwnymi płatkami, las dających poczucie pewności drzew, a obok dom z otwartymi oknami. Przez kilka minut siedziałam bez ruchu, urzeczona blaskiem tych kolorów, których szare ściany nigdy wcześniej nie poznały.

Ale tym, co mnie uderzyło, do tego stopnia, że musiałam postawić tacę na ziemi, aby nie rozlać zawartości, były dzieci. Kreski jako kończyny i kółko jako głowa, tak jak rysowałam przed laty, licząc dni. Nad każdą

postacią imię. Wszyscy trzymali się za ręce, tworząc idealny rząd. Przed każdym dzieckiem leżał kot, wydawało się, że śpi spokojnie.

— Czy to twoi przyjaciele? — zapytałam zaskoczona, zbliżając się do ściany.

— Nie — odparła, patrząc na mnie.

— Więc kim są te dzieci? A ty gdzie jesteś?

— Jestem tutaj. — Wskazała palcem jedną z postaci.

— I poniżej to twoje imię?

— Tak.

— Mélanie?

— Tak.

— Fabien, Julie… chodzili z tobą do szkoły?

— Nie.

Jej uwaga pozostała skupiona na mojej twarzy. Miałam nieprzyjemne wrażenie, że dziewczynka spodziewa się ode mnie reakcji, a ja nadal nie wiedziałam jakiej.

— Czyli wymyśleni przyjaciele?

— Nie. To są inni.

— Inni? Jacy inni? — zdziwiłam się, czytając różne imiona.

— Inne dzieci, które zabił Król Olch.

14

Véronique wróciła do domu po rozmowie z Damienem.

Przez cały czas żałowała, że zostawiła inspektora tak nagle. Tyle o nim słyszała. O córce i jej zniknięciu, o jego przybyciu tutaj… Nie odważyła się jednak poruszyć tego tematu. Czy to dlatego czuł się przy niej tak nieswojo? Czy bał się, że ona zobaczy w nim tylko niegodnego ojca, o którym mówiły plotki?

Ale co on z kolei myśli o niej? Czy trudności w znalezieniu klucza do odblokowania umysłu Sandrine spowodowałyby, że Véronique zostałaby uznana za niekompetentną? Bardzo dobrze odczytała spojrzenie Damiena, kiedy spotkali się po raz pierwszy. To był ten sam przekaz, który widziała wielokrotnie we wzroku swoich rozmówców, pacjentów czy lekarzy, gdy objęła stanowisko w szpitalu.

„Za młoda, żeby mieć wystarczające doświadczenie. Ale w odległym miejscu, takim jak Villers-sur-Mer, będzie miała czas na naukę…"

A teraz, zaledwie dwa lata po przybyciu, ta kobieta pojawiła się ze swą niespójną opowieścią, aby rzucić lekarce w twarz to, czego swoim zdaniem Véronique nie musiała już udowadniać współpracownikom.

Psychiatra próbowała przetrawić ostatnie ustalenia inspektora. Drugie schronienie? Ale przed kim Sandrine miałaby się chronić? Czy w jej historii był drugi Król Olch, inny potwór, którego Véronique nie dostrzegła? Czy to możliwe, że tak się pomyliła?

Zrozumiała, że Damien nie wierzył w to, co powiedziała im ofiara Wernsta. W pewnym sensie miała mu to za złe, ponieważ potraktowała jego wątpliwości jako kwestionowanie jej skuteczności jako psychiatry. Ale czy jego zadaniem nie było wątpić we wszystko, dopóki nie dowie się prawdy?

Nalała sobie kieliszek wina, wypiła go jednym haustem i ciężko westchnęła. Na zewnątrz deszcz uderzał gwałtownie w budynek naprzeciwko jej domu. Chociaż było jeszcze wcześnie, światło przefiltrowane przez chmury dawało tylko nierealną ograniczoną widoczność. „Jak na tej pieprzonej wyspie" — prychnęła Véronique, nalewając sobie drugi kieliszek wina, który wypiła z większym umiarkowaniem.

Chciała ponownie zanurzyć się w słowach Sandrine, poszukać schematów, rozwinąć teorie, udowodnić słuszność psychologicznych zaleceń, których naucza się studentów, pokazać wszystkim, że jej diagnoza była słuszna… Ale musiała przyznać, że nie miała siły. Nie teraz, nie po takim rozczarowaniu.

Véronique dopiła wino i poszła do łazienki. Zdjęła ubranie, odkręciła kurek i usiadła na brzegu wanny, myśląc o tym, co mówił Damien. Dlaczego czuła się tak nieswojo? Czy to dlatego, że ona też zaczęła wątpić w swój osąd, a tym samym w słowa pacjentki? Jeśli Sandrine kłamała, świadomie lub nieświadomie, cel Véronique pozostał ten sam: udowodnić pacjentce, że już nic jej nie grozi. Ale jak to zrobić, skoro ani inspektor, ani ona nie potrafili zrozumieć przyczyny tego strachu…

Zamknęła oczy i rozważała argumenty Damiena. Ale gdy tylko próbowała sobie przypomnieć ich rozmowę, słowa Sandrine mieszały się ze słowami policjanta, przeplatając się i tworząc absurdalny dialog.

* * *

Ona nas okłamuje.

Dwudziesta trzydzieści siedem.

Czas to pojęcie względne.

Nigdy nie było zegara.

Pusta i bezużyteczna jak zegar bez wskazówek.

Targ bydła.

Czasami mój kat wyjeżdżał na kilka dni. Nie wiedziałam dokąd…

Véronique weszła do wanny i postanowiła zapomnieć na chwilę o wydarzeniach z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Rozprostowała nogi, delektując się przyjemnym ciepłem na skórze, i wreszcie zanurzyła głowę, odkładając pytania na później.

„Zrelaksuj się, odetnij się od tego wszystkiego, jak uczą na psychiatrii. Nie musisz niczego nikomu udowadniać… Już popełniłaś błąd, zbliżając się za bardzo do ofiary, posuwając się do tego, by ją przytulić… Więc weź się w garść, zapomnij o niej, przynajmniej tego wieczoru, skorzystaj z tej gorącej wody, aby się zrelaksować, i…"

Véronique gwałtownie wynurzyła głowę z wody i odgarnęła włosy do tyłu.

„Cholera! Znak nawigacyjny, pieprzony znak nawigacyjny!"

Poderwała się, pośpiesznie się wytarła i włożyła szlafrok wiszący na drzwiach.

„Cholera, cholera, cholera…"

„Czy przychodzi pani do głowy jakiś szczegół, na który powinienem zwrócić uwagę, taki jak zegar lub targi?" — zapytał Damien, zanim się rozstali.

Ale dopóki nie zanurzyła się całkowicie w wannie, nie była w stanie skutecznie myśleć, czuć, a tym samym pomóc policjantowi. Wyjęła taśmy

ze swojej skórzanej torby i przesłuchała je jedną po drugiej, zwracając uwagę na to, ile razy, zgodnie z jej nową teorią, Sandrine powtórzyła ten ważny szczegół.

…wyrzucanych przez fale…

…czy padał deszcz, czy wiał wiatr…

…morze, zimne i leniwe…

…Deszczowa pogoda…

…zatonęła w lodowatych wodach, zabierając ze sobą dzieci…

…Piłam. Dużymi łykami.

…zwłoki unosiły się jak porzucona pluszowa zabawka w korycie śpiącej rzeki…

Naliczyła nie mniej niż czterdzieści słów lub wyrażeń z tego samego pola leksykalnego. Zagęszczenie słownictwa niewątpliwie nieinteresujące dla ucha policjanta, ale stanowczo zbyt ważne dla psychiatry…

„Znaki nawigacyjne rozmieszczone w całej historii jak kamyki rzucane na drogę w bajce dla dzieci" — zrozumiała i rzuciła się do telefonu, by powiedzieć inspektorowi o swoim odkryciu.

15

— Znasz Króla Olch?

— Tak, on często recytuje mi ten wiersz.

— Kto?

— Ten, który mnie tam dotyka — wyjaśniła, pokazując palcem na podbrzusze. — Chcesz wiedzieć, jakie imiona nadaje kotom?

— Nie…

— Obdarowuje każde dziecko kotem, żeby czuło się mniej samotne… — ciągnęła Mélanie.

— Co?

— Potem, gdy dziecko umiera, kot zostaje z imieniem jako trofeum… Dlatego tak bardzo kocha swoje koty.

— To, co mówisz, nie ma sensu. Nigdy nie widziałam tu innych dzieci… Byłam jedyna…

— Od zawsze ma tajne pomieszczenie.

„Od zawsze ma tajne pomieszczenie".

Wpatrywałam się w dziewczynkę. Co miała na myśli? Zauważyłam jej bose stopy i przeszukałam piwnicę w poszukiwaniu czerwonych butów, o których mi opowiadała. Nie mogłam ich nigdzie znaleźć. Gdzie się podziały? Czy zgubiła je w przyczepie do przewożenia bydła? Wydawało się, że to dziecko dużo wie. Wiersz, dzieci, koty… Podeszły do niej bez lęku, jakby znały ją od dawna…

— Gdzie byłaś, zanim trafiłaś do tej piwnicy?

— W sekretnym pomieszczeniu.

— Do diabła, o jakim sekretnym pomieszczeniu mówisz?!

Wrzasnęłam na nią z całej siły. Musiała zobaczyć we mnie brutalność, ponieważ natychmiast skuliła się jeszcze bardziej pod ścianą. Przestraszyła przy tym koty, które zwinęły się wokół niej, jakby chciały ją chronić.

— O oborze. Mówię o oborze…

16

Véronique połączyła się z komisariatem w Villers-sur-Mer i dowiedziała się, że inspektor Bouchard i wszystkie zespoły biorą udział w interwencji. Zapytała, czy można się z nim skontaktować drogą radiową.

— W jakiej sprawie, proszę pani?

— Chodzi o śledztwo w toku, nieznajoma z plaży znaleziona przedwczoraj — powiedziała.

— Aha… Jeśli pani chce, mogę przekazać wiadomość.

— Wrócili tam, prawda? Na farmę Wernsta. Znaleźli…

— Bez zgody przełożonego nie mogę podać więcej informacji.

— Proszę posłuchać — ciągnęła Véronique, starając się zachować spokój. — Odkrycie, którego właśnie dokonałam, może pomóc zamknąć śledztwo. Trzeba pilnie powiadomić komisarza i inspektora. Więc albo połączy się pan z nimi od razu, albo kiedy wrócą, będzie pan musiał wyjaśnić, dlaczego nie chciał wziąć pod uwagę…

— Dobrze, dobrze, nie musi się pani denerwować, już ich wywołuję…

Po chwili ten sam głos odezwał się ciszej, zaintrygowany odpowiedzią szefa:

— Właśnie rozmawiałem z komisarzem. Mówi, że pomoc psychiatry byłaby mile widziana.

Véronique zapisała adres i pobiegła do pokoju, aby włożyć dżinsy i sweter. Czterdzieści minut później, jadąc w ulewnym deszczu, dotarła do

policyjnego punktu kontrolnego i po podaniu swojej tożsamości ruszyła wyboistą drogą.

Farma powoli nabierała kształtu, samotna pośrodku pól uprawnych jak wyspa zagubiona na środku oceanu. Ponad polami dom przykryty był dachem ciężkich chmur, niczym niepokojącą i nieodwołalną obietnicą nadchodzących bolesnych odkryć. Rozstawione po całym terenie reflektory — nieruchome świetliki — rozbijały zapadającą ciemność swoim sztucznym światłem. Lekarka zaparkowała za samochodem policyjnym, otworzyła parasol i podeszła do pierwszego napotkanego funkcjonariusza.

— Dzień dobry, szukam inspektora Boucharda, to pilne.

— Jest w środku… Ale nie wydaje mi się, by teraz był odpowiedni moment.

— Komisarz pozwolił mi przyjechać, jestem psychiatrą.

— W takim wypadku znajdzie pani ich obu w salonie — wyjaśnił policjant, wskazując wejście do domu.

— Odkryliście coś? — odważyła się zapytać. Obserwowała zmienioną twarz policjanta, który wydawał się obojętny na obmywający go deszcz.

— Niestety tak — mruknął i bez słowa przeszedł na tył budynku.

Véronique pobiegła do domu. Natychmiast powitał ją Antoine i z poważną miną skinął, żeby poszła za nim do kuchni.

— Odkryliśmy ślady, które pozwalają stwierdzić, że przebywały tu dzieci uznane przez komisariaty w całym kraju za zaginione.

— Ile?

— Dziesięcioro.

— Mój Boże… Sandrine nie była jedyna… Dziesięcioro… Tyle co dzieci na obozie letnim…

— Nadal nie wiemy, po co i jak długo tu przebywały ani nawet kiedy to się zaczęło. Ale wiemy, co Wernst zrobił Sandrine, więc…

— Sądzicie, że to samo robił tym dzieciom?

— Tak, to hipoteza, której się wszyscy obawiamy.

— Muszę porozmawiać z inspektorem — poinformowała go Véronique, szukając wzrokiem Damiena.

— Inspektor Bouchard już nie kieruje śledztwem — powiedział Antoine ze spuszczoną głową.

— Dlaczego?

— Jest osobiście zaangażowany — dodał jako wyjaśnienie.

— Cholera, nie może mi pan po prostu powiedzieć, co się tu dzieje?!

— Panno Burel?

Véronique odwróciła się, gdy komisarz wymówił jej nazwisko. Stał wyprostowany w drzwiach i obserwował ją, nie zdradzając najmniejszych emocji.

— Tak, komisarzu?

— Proszę tędy.

Poszła za nim do sypialni. Materac i pościel wepchnięto w kąt. Szuflady zawalały podłogę, a ogromna szafa została opróżniona. Jedyne okno w pokoju było otwarte i wpuszczało rześkie, świeże powietrze, które jednak nie maskowało smrodu pleśni ze ścian. Véronique zauważyła, że kolory powoli blakły, gdy czyste niebo znikało pod grubą warstwą chmur. Ale dostrzegła również, że twarz Fouriera także się odbarwia. Jego skórę pokryła szarość, podobnie jak ręce i włosy.

Nie mogła przestać myśleć o wierszu Goethego, a zwłaszcza o dwóch wersach:

Widzę, mój synu, to wierzby stare

Tak dziwne kształty przybrały szare.

Komisarz usiadł ciężko na materacu. Znała tego mężczyznę tylko z kilku aluzji, jakie zrobił Damien, ale natychmiast zauważyła w nim ogromne zmęczenie, zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Jak bardzo Sandrine zajęła myśli tego policjanta? Ile nocy snuł rozważania tylko o niej? I do którego kręgu piekła zaciągnęła go, żeby uczynić tak bladym i wyczerpanym?

— Co się dzieje, komisarzu?

— Cóż… znaleźliśmy dowody na strychu obory.

— Jakie dowody?

— Łańcuch, materac jak w piwnicy. I dziesięć par butów ukrytych w walizce, numery od trzydzieści pięć do trzydzieści siedem… — wyjaśnił Fourier.

— Dzieci…

— Za kilka godzin przyjadą technicy. Na pewno odkryją rzeczy, które nie pozostawią już miejsca na wątpliwości.

— A… a Damien? Antoine powiedział mi, że nie prowadzi już sprawy… Co to znaczy?

— Znaczy to, że czasami diabeł dobrze się bawi, podążając za swoją zdobyczą niezależnie od odległości. Czy wie pani, że inspektor miał córkę Mélanie? — zapytał komisarz ze znużeniem.

— Tak, słyszałam tę historię jak wszyscy w Villers.

„Historia, której nie opowiada się dzieciom — pomyślała psychiatra — ale która jest szeptana na korytarzach szpitala, w kawiarni, w alejkach między straganami na targu. Opowieść przekazywana z ust do ust, tajemnica mówiona cichym głosem jak haniebne określenie: niegodny ojciec. Odszedł i porzucił pamięć o swojej córce. Niegodny ojciec".

— Wernst porywał ofiary, kiedy jeździł na targi rolnicze w całej Francji. Bez wątpienia w drodze powrotnej zamykał dzieci w przyczepie dla bydła. Technicy to potwierdzą, badając pojazd. Damien odkrył ten trop i oczywiście sprawdził, gdzie był Wernst w dniu zaginięcia Mélanie. Okazało się, że tego dnia uczestniczył w targach, odbywających się jakieś trzydzieści kilometrów dalej…

— Mój Boże… Chce pan powiedzieć, że…

— Znaleziono buty, które dziewczynka miała na sobie w dniu uprowadzenia — ciągnął Fourier. — Czerwone buty ze starannie napisanym pisakiem permanentnym „M" po drugiej stronie języka. To Damien oznaczył je w ten sposób, stary odruch policjanta: sprzęt, identyczny dla wszystkich, zmusza nas do podjęcia takich środków ostrożności, aby nie pomylić naszych rzeczy. Dlatego musiałem odsunąć Damiena od sprawy. I dlatego pozwoliłem pani tu przyjechać. Będzie potrzebował pomocy w ciągu kilku najbliższych dni…

Komisarz wstał i położył pulchną dłoń na ramieniu Véronique. Patrząc mu w oczy, lekarka domyśliła się, ile łez popłynie, gdy policjant wróci do domu i zostanie sam z tą tragedią. Sama z kolei stłumiła swój ból i ukryła go w schronieniu zwanym profesjonalizmem.

— Czy mogę się z nim zobaczyć?

— Tak, proszę za mną.

Damien siedział na krześle w salonie, wpatrując się w okno i okolicę za nim. Było coraz trudniej zobaczyć tam cokolwiek, gdy deszcz lał się z nieba. Véronique powoli podeszła, usiadła przed inspektorem i położyła rękę na jego dłoni.

— Damien, tak bardzo mi przykro…

Na końcu drewnianego stołu walizka pełna butów czekała, aż policjanci zapakują jej zawartość do przezroczystych plastikowych toreb przeznaczonych dla techników kryminalistyki, ale także przedstawią ją rodzicom w celu identyfikacji. Véronique tylko przelotnie spojrzała na te przedmioty, ale natychmiast tego pożałowała. Przypomniało jej to reportaż o przyjętym przez Niemców „ostatecznym rozwiązaniu". Pokazano w nim stos należących do żydowskich ofiar obozu koncentracyjnego butów, które tworzyły pouczającą piramidę śmierci.

„Nie ma wierniejszego towarzysza niż wojna… Kiedy ją poznajesz, to na całe życie…"

Leżące przed Damienem czerwone buty jego córki pozostały na zawsze nieruchome, a sznurowadła rozwiązane.

— Damien?

— Szukałem jej tygodniami — odezwał się inspektor słabym głosem. — Wszędzie: w lesie, na ulicach, w opuszczonych domach, w parkach… A była właśnie tutaj, na tej farmie. Myślałem, że uciekam przed bólem, ale zbliżyłem się tylko…

— To nie pana wina, nie mógł pan wiedzieć, że ten drań…

— W regionie, z którego pochodzę, mówi się, że duchy prowadzą żywych. Że wpływają na ich działania. Dla zabawy albo wręcz przeciwnie, żeby im pomóc. Mélanie niewątpliwie doprowadziła mnie aż tutaj. Wszyscy mają mnie za niegodnego ojca. Tego, który rezygnuje z nadziei na znalezienie swojej córki i który oddala się od jej wspomnienia na kilkaset kilometrów. Ale ona przecież zrobiła to po to, żeby mnie do siebie przyprowadzić.

— Damien, chodźmy stąd. Zapraszam do mnie, porozmawiamy. Nie powinien pan być sam — doradziła psychiatra głosem mającym zabrzmieć uspokajająco.

— Żałuję, że Wernst nie żyje. Mam za złe Sandrine, że go zabiła, a tym samym zniweczyła możliwość, bym to zrobił własnymi rękami… Mówiłem pani, że ona nie mówi całej prawdy.

— Tak, miał pan rację — odparła z żalem Véronique, posyłając mu słaby uśmiech.

— W tej chwili moi koledzy szukają ciał. Nie mogę im pomóc.

— Wiem, komisarz mi to wyjaśnił.

Inspektor nagle zdał sobie sprawę z obecności lekarki w miejscu zbrodni, gdzie normalnie nie mógł się dostać żaden cywil. Spojrzał na nią zdziwiony.

— Véronique, co pani tu robi?

— Komisarz… poprosił mnie, żebym przyszła i pana wsparła. Byłam w domu i…

Psychiatra przypomniała sobie prawdziwy powód swojej obecności na farmie. Wydarzenia sprawiły, że znak nawigacyjny, który odkryła, zanurzając się w wannie z ciepłą wodą, całkowicie wypadł jej z głowy. Czy nadszedł czas, aby się tym podzielić? Czy nie powinna zamiast tego skoncentrować się na żałobie, którą przeżywał w tym momencie siedzący naprzeciw niej mężczyzna? Czy powinna rozmawiać o tym tylko z komisarzem? „Nie" — zdecydowała, jeszcze bardziej ściskając dłoń inspektora. „Damien poszedł ze mną do schronień Sandrine i zapłacił wysoką cenę. Jeśli ktoś ma usłyszeć moją hipotezę, to właśnie on…"

— Myślę, że odkryłam znak nawigacyjny…

Zdawało się, ze wzrok Damiena rozjaśnił się słabą iskrą życia. To drgnienie z początku ją zaskoczyło, ale szybko zdała sobie sprawę, że inspektor nie odkrył śmierci swojej córki dopiero teraz, po znalezieniu butów. Domyślił się tego już dawno, kiedy nadzieja na uratowanie Mélanie zniknęła z powodu poszukiwań bez odpowiedzi, bezsennych nocy i dni bez

światła. „Ten człowiek właśnie otrzymał potwierdzenie tego, czego się obawiał, ale wiedział, że to nieuniknione. Jest ojcem, który będzie mógł przeżyć żałobę, już nigdy nie uciekając od rzeczywistości. To doświadczony przez życie człowiek stojący przed lustrem, gotowy stanąć twarzą w twarz ze swoim odbiciem i odkryć w nim prawdę…"

— W którym schronieniu?

— W obu: w piwnicy i na wyspie.

— Proszę mówić.

— W całej swojej historii Sandrine wiele razy nawiązuje do wody: deszcz, morze, topienie dzieci, kotów… Myślę, że to jest zamierzone, że część jej nieświadomości chce nam poprzez ten motyw przesłać wiadomość.

— Rzeczywiście, nie zauważyłem tego… — przyznał Damien, przypominając sobie słowa Sandrine.

— I nie wiem, co to znaczy — kontynuowała psychiatra. — Ale jest niespójność w związku z wodą, kiedy Sandrine jedzie na wyspę i znajduje dom swojej babci… Używa zresztą słowa „dziwne".

— Nie pamiętam tego.

— Pomiędzy planem notariusza Béguenau a tym, co Sandrine widzi z boku domu… — Wskazała mu, żeby go nakierować.

— Nie kojarzę…

— *Dziwne. Na mapie od notariusza widnieje budynek gospodarczy po tej stronie domu…* — wyrecytowała Véronique.

Damien zmarszczył brwi, słuchając tego fragmentu.

— Tak, zgadza się — powiedział. — Teraz to pamiętam. Czy według pani ta niespójność to drzwi do prawdy?

— Nie wiem, ale jeśli znajdziemy dopasowanie, może nam to pomóc zrozumieć, co Wernst zrobił z dziećmi — wyjaśniła Veronique.

— Czy to możliwe, że brakujący budynek przedstawia oborę? Wernst ukrył w niej jedyny dowód, którego nie chciał się pozbyć. Zabójcy często przechowują rzeczy osobiste ofiar jako trofea… Cholera…

— Co się stało?

— Buty. Sandrine nam je wskazała.

— Jak to?

— Kiedy opuszczała farmę Wernsta po przeprowadzeniu z nim wywiadu! Chwileczkę… Tak, przypominam sobie: *Zamknęła za sobą drzwi wejściowe i schyliła się, żeby włożyć tenisówki. Zatrzymała się w pół ruchu, gdy zauważyła, że zostały wyczyszczone przez gospodarza.* To tak jakby nie rozpoznała własnych tenisówek, jakby uwaga, jaką poświęcił im rolnik, sprawiła, że poczuła się nieswojo… Oto znak nawigacyjny, który powinien był nas ostrzec!

— Do diabła, ile szczegółów przegapiliśmy?

— Sandrine przywołuje ten element niemal mimochodem. Jak mogliśmy zgadnąć, że w tym prostym zdaniu, nieprzyjemnym uczuciu jest część prawdy? — Damien jakby odczytywał wątpliwości w umyśle lekarki. — A jeśli chodzi o wodę… Musi mieć bardzo duże znaczenie, skoro Sandrine wielokrotnie o niej mówi.

— Zatem jeśli obora odpowiada „pomieszczeniu, w którym przechowuje się trofea", co może przedstawiać wyschnięty staw? I jeśli…

— Co?

— Symbolika! Najpierw zniknięcie z planu budynku gospodarczego, a potem wyschnięty staw…

— Do czego pani zmierza? — zapytał Damien, który nie rozumiał nagłego wybuchu entuzjazmu Véronique.

— Co zauważamy, patrząc na wyschnięty staw?

— Eee… nie wiem… Że nie ma w nim wody?

— Zgadza się! Ale nie to, że po prostu jej nie ma. Woda zniknęła! Zniknięcie! Ten staw symbolizuje zniknięcie!

Damien podskoczył, przewracając krzesło.

— Topił dzieci! Jak na wyspie! To w ten sposób Wernst się ich pozbywał! — zawołał i wybiegł na zewnątrz.

17

— Co jest w oborze?

— Inne rysunki, namalowane przez inne dzieci.

— Skąd to wiesz? Przyjechałaś kilka dni temu i…

— Ponieważ tam byłam. Bardzo długo… Wystarczy wspiąć się po drabinie i przejść na tył strychu, żeby nas znaleźć.

Wbiegłam po schodach. Wernst mógł przybyć w każdej chwili, słońce już niebezpiecznie chyliło się ku horyzontowi. Wyszłam z domu, okrążyłam wierzbę i skierowałam się do obory, nie martwiąc się tym, że ktoś mnie zobaczy. „To niemożliwe, ta smarkula gada bzdury" — powtarzałam sobie, sięgając po drabinę. Dotarłam na strych i doszłam na jego koniec, omijając różne przechowywane tam przedmioty, skryte w plątaninie cieni. Dojrzałam świetlik z tyłu pomieszczenia. Przechodzące przez niego słabe światło gasnącego dnia było niczym latarnia morska i niespodziewanie prowadziło mnie od włazu, przez który się wdrapałam, do wnęki. Wtedy to zobaczyłam: materac. Identyczny jak ten, na którym spędziłam tyle nocy. Upadłam na kolana. Zakończony metalową bransoletą łańcuch podobny do tego, który owijał przedtem mój nadgarstek, zwisał ze ściany i ciągnął się po podłodze,.

— To niemożliwe — szepnęłam. — Niemożliwe…

Powoli podniosłam głowę, żeby przyjrzeć się ścianie.

Narysowano na niej, kamieniem lub czymś takim, rozrzucone w kilku miejscach postacie. Bez koloru. Tylko szare linie i koła. Imiona były zapisane różnym charakterem, różnymi małymi rączkami… Dziesięć imion, w tym Mélanie. Dziesięć kotów…

Zaczęłam z całej siły tłuc w materac. Stłumiłam krzyk, wciskając sobie pięść w usta. „To dlatego ten sukinsyn już mnie nie dotykał! Nie z powodu skruchy, ale po prostu dlatego, że jego potrzeba została zaspokojona bez mojej wiedzy… To dlatego miałam się nie zbliżać do obory! Nigdy nie przestał być potworem… Każdego wieczoru… O dwudziestej trzydzieści siedem… Porywał dzieci, żeby zaspokoić swoje pragnienia, żeby… żeby już mnie nie krzywdzić… Mój Boże… Zrobił to, aby mnie ocalić… Jestem przyczyną tego wszystkiego…"

Moje łzy i drżenie wzmogły się, gdy zdałam sobie sprawę, jakim potworem się stałam.

Opuściłam to przeklęte miejsce, żeby wrócić do domu. Dotarłam do frontowych drzwi i zaczęłam grzebać w wiszących przy futrynie kluczach. Ten otwierający bransoletę łańcucha nie był trudny do znalezienia: był to najmniejszy klucz. Zapamiętałam to, ponieważ miałam okazję go oglądać, kiedy mój kat uwalniał mnie na kilka minut, abym mogła pochodzić po piwnicy. Jego rozmiar zawsze budził we mnie bunt. Taki śmieszny przedmiot ma symbolizować wolność? Gruby, ciężki, solidny klucz byłby bardziej godny szacunku…

Kilka sekund później, gdy schodziłam szybko po schodach, Mélanie spojrzała na mnie z niepokojem.

— Co się dzieje? — zapytała, kiedy włożyłam klucz do zamka jej metalowej bransolety.

— Co się stało z dziećmi?

— On… On je zabił… Utopił je, tak mi powiedział, kiedy krzyczałam pierwszego wieczoru: „Chcesz, żebym cię od razu utopił jak innych?".

— Mój Boże… Musisz uciekać… Wydostać się z tego lasu…

— Jakiego lasu?

— Lasu Króla Olch… Biegnij, nie odwracaj się…

— Ale… a ty?

— Ja też odejdę… Nie martw się.

— Możemy odejść razem… — Dziewczynka się rozpłakała.

— Nie, muszę zabić Króla Olch. Inaczej nigdy nie będę mogła wrócić na wyspę…

— Nie rozumiem…

— Uciekaj, Mélanie. Szybko, zanim wróci… Biegnij schronić się w życiu…

Zawahała się, a potem, domyślając się, że nie ma już nic do dodania, weszła wielkimi krokami po schodach. Na końcu powiedziałam do niej, żeby włożyła na bose stopy moje tenisówki, które stały przed wejściem, a potem biegła dalej i dalej, aby odszukać swoich rodziców, ponieważ nigdy nie powinna wątpić, że na nią czekają.

Krzyczałam, babciu.

Prawie pozrywałam struny głosowe. Waliłam w podłogę tak mocno, że moje knykcie zaczęły krwawić. Obwiniałam się za to, że jestem tak tchórzliwa, że straciłam wszelką nadzieję i że wbrew sobie zostałam katem, którego przeklinałam. Jak mogłam wierzyć mu choćby przez minutę? Jak mogłam uznać tę zbrodnię za normalną i zdusić swoje człowieczeństwo, aby się schronić w ohydnej obojętności i znieczulicy? Nie tylko byłam przyczyną egzekucji dzieci, ale także pochowałam przez te wszystkie lata dziecko, którym byłam. Tę dziewczynę, która uśmiechała się do sklepikarzy; tę, która marzyła, by Paul całował ją i trzymał za rękę; tę, która

miała nadzieję, że jej matka zacznie postrzegać córkę jako naturalne przedłużenie siebie, a nie jako konsekwencję niegodnego ojca.

Pozostałam na kolanach, przyciskając czoło do chropowatego betonu. Mogłam to zakończyć, używając jednego z noży, które były teraz dla mnie dostępne w szufladach kuchennych. Przeciąć żyły, wbić głębiej w blizny pozostawione przez bransoletę, w czasach gdy moje dzieciństwo nie zniknęło jeszcze całkowicie, kiedy ciągnęłam za łańcuch, aż rozharatałam sobie skórę. A teraz ze złością potarłam starymi śladami o podłogę, żeby coś poczuć — oczywiście ból, ale także dający pozór istnienia.

Ponieważ wiedziałam, umarłam w dniu, w którym zgodziłam się dzielić z tym mężczyzną moje codzienne życie. Całe to poczucie bezpieczeństwa, przyprawiające o mdłości szczęście było niczym innym jak więzieniem, miejscem o wiele bardziej niebezpiecznym i ostatecznym niż ta piwnica, która wówczas jawiła mi się jako schronienie przed subtelnym opętaniem mojej duszy wywołanym zaklęciami farmera.

„Ojcze! nie słyszysz tych króla słów?
Co obiecuje po cichu znów".

Wtedy usłyszałam za sobą cichy dźwięk i odwróciłam się. Były tam prawie wszystkie.

Przyciągnięte przez dramat i zapach krwi. Podeszły i otarły się o moje nogi.

Koty. Jego dzieci. Jego trofea.

Wróciłam na górę. Miałam jeszcze jedno zadanie do wykonania, zanim zniknę na wyspie na zawsze. Próbowałam kontrolować drżenie, szperając w szafach w poszukiwaniu dobrostanu Wszechświata. „Niedługo, niedługo tam będę, spotkam cię, babciu, już wyobrażam sobie zacumowanego w porcie Lazarusa, jego lekkie nachylenie podczas wchodzenia na trap…"

Poczułam morską bryzę, gdy Paul stał obok mnie i wskazywał wyłaniającą się z morza wyspę.

Napełniłam miski, wchodząc na pomost, aby dostać się do karczmy.

Dodałam środek uspokajający, gdy odkryłam oprawione zdjęcia starego obozu.

Wróciłam do piwnicy, patrzyłam, jak koty jedzą ostatni posiłek, a gdzieś daleko niewidzialna ręka włożyła monetę do szafy grającej.

Zasnęły szybko, nawet odgłos napełniającej się wanny nie zakłócił ich snu.

Brałam więc je, te jego dzieci, jedno po drugim i zanurzałam w wodzie na kilka minut, dopóki nie zobaczyłam, jak ich ciała unoszą się w zwartej, bezwładnej masie.

„Wyspa. Zapomnieć o wszystkim innym. Schronić się tam. Nic mi nie będzie. Wykorzystać moc dzieciństwa. Znowu stać się tym dzieckiem…"

Parlez-moi d'amour,

Redites-moi des choses tendres…

Kiedy ponownie otworzyłam oczy, zobaczyłam kota na szczycie schodów. Zwierzę uważnie obserwowało piwnicę, nie odważając się zejść dalej, z pewnością wiedziało o śmierci towarzyszy. Postanowiłam oszczędzić dziesiątego kota. Nie zwabiłam go, dałam mu szansę, krzycząc na niego. Pomyślałam o Mélanie. Czy uda jej się zorientować w okolicy i znaleźć drogę do zabudowań? Czy nie zgubi się we mgle, w nocy? Czy uda jej się wydostać z olszynowego lasu?

Zwierzę odwróciło się, żeby wyjść z domu. Zatrzymało się po raz ostatni w wysokiej trawie za oknem i obejrzało się, zanim całkowicie zniknęło.

Godzinę później na podwórko wjechał samochód. Słyszałam, jak Wernst mnie woła, najpierw spokojnie, a potem z rosnącym przerażeniem. Pojawił się na szczycie schodów. Jego twarz była blada. Posłałam mu bezbarwny uśmiech, szary jak ściana za mną, na której Mélanie niedawno namalowała kolorowe szczęście. Zrozumiał bardzo szybko i podbiegł, żeby mnie mocno spoliczkować. Wyciągnął koty z wody, mając nadzieję, że je uratuje.

Ale było już za późno. Statek poszedł na dno, a dzieci utonęły.

Nie potrafię sobie przypomnieć, jak chwytam kamień za wanną. Wiem tylko, że mój oprawca odwrócił się do mnie plecami, i to wystarczyło. Zadałam pierwszy cios. Krew trysnęła i rozlała się po skórze jego głowy. Gapił się na mnie, a w jego oczach pojawił się błysk niezrozumienia. Nie dałam mu czasu na wykonanie ruchu. Natychmiast uderzyłam go kamieniem w czoło. Raz. Drugi raz. Potem uderzałam dalej, a on upadł na ziemię. Nie mogłam przestać. Jego czaszka pękała przy każdym ciosie, zalewając swoją zawartością moje ubranie, moją twarz, beton. Potem długo siedziałam obok niego. A następnie popłynęłam na wyspę. Do ciebie, babciu.

18

Komisarz nie mógł nadążyć za Damienem, który ignorując rozkazy, popędził w kierunku pola. Fourier widział, jak podwładny otwiera bramę na pastwisko i biegnie do stawu.

Inspektor stanął na brzegu, zrzucił buty i kurtkę.

— Damien, co ty, kurwa, robisz?!

— One tam są! — krzyknął, wskazując na ciemny staw. — Utopił je!

— Jak… jak to? Nie zamierzasz chyba…

Za późno. Damien właśnie znalazł się pod wodą.

Wszyscy policjanci zgromadzili się wokół stawu, czekając, aż Damien zmęczy się przeszukiwaniem szlamu. Byli świadomi tego, że ich kolega właśnie dowiedział się o śmierci córki i że czasami lepiej pozwolić mężczyznom podążyć za ich szaleństwem. Véronique stała trochę dalej, niepewna, czy modlić się, by jej teoria była poprawna. Deszcz ustał, ale szare chmury wciąż wisiały na niebie, ciesząc się widowiskiem, gromadząc się nad farmą, by zobaczyć, jak mężczyźni tkwią nieruchomi i milczący niczym stele na swych własnych grobach.

Damien zanurkował kilka razy. Jego sylwetka spowita złotym światłem żarówek znikała w mętnej wodzie i znów się wynurzała, by nabrać powietrza. Trwało to dość długo. Komisarz obawiał się, że inspektor wreszcie się podda i postanowi nie wypływać na powierzchnię. Ale gdy właśnie miał wydać rozkaz wyciągnięcia Damiena, ten podpłynął do nich, wyczołgał się na brzeg i padł czołem w błoto.

— Tam są… tam są worki… ale dla mnie za ciężkie… o wiele za ciężkie — wysapał bez tchu.

Wszystkie reflektory zgromadzono wokół stawu. Policjanci ułożyli na ziemi deski, aby wzmocnić brzeg. Antoine znalazł na strychu stodoły hak i długą linę i zaproponował, że użyje ich jako „haczyka". Zapytał komisarza, czy nie lepiej poczekać na przybycie techników, ale przełożony odrzucił ten pomysł machnięciem ręki, podciągając spodnie do połowy łydek i zdejmując buty.

— Pieprzyć to, jesteśmy sami, zawsze byliśmy sami… Śmiało, inspektorze, proszę je wyłowić…

Damien ponownie zanurkował w lodowatej wodzie, uzbrojony w hak, i zaczepił go na końcu czegoś, co, jak przypuszczał, było jutowym workiem, takim samym jak te, których używano do przechowywania zboża. Policjanci ciągnęli z całej siły, aby wydobyć ciężar z gęstego szlamu.

W ten sposób pierwszy worek powoli przebił się przez powierzchnię wody.

Kiedy technicy przybyli na miejsce zdarzenia, wszystkie worki zostały już wyciągnięte i ułożone na deskach. Policja przeszukała staw łopatami i grabiami z farmy, ale nie znalazła innych.

— Otworzą je — ostrzegł komisarz, patrząc, jak Damien się wyciera i wkłada zapasowe ubranie, które zawsze wozi w bagażniku.

— Jest ich tylko dziewięć…

— Damien… Ciała będą zapewne w stanie rozkładu… Trudno będzie je zidentyfikować.

— Jeśli ich nie rozebrał, ubrania będą pomocne, nawet jeśli są częściowo zniszczone.

— Wiem, ale… nie miej nadziei, że Mélanie…

— Wręcz przeciwnie — przerwał mu inspektor. — Nadzieja jest moim jedynym schronieniem.

Psychiatrze udało się przekonać Damiena, by zaczekał w środku. Dała mu dwie tabletki uspokajające, które niechętnie przyjął, twierdząc, że jest w stanie unieść prawdę. Ale komisarz nakazał, by inspektor pozostał w pokoju.

— Miała na sobie dżinsy i niebieską bluzę z kapturem — powiedział Damien, popijając kapsułki szklanką brandy znalezionej w szafce.

— W porządku — odparła lekarka. — Proszę zostać tutaj, ja zajmę się resztą.

— Véronique?

— Tak?

— Nieźle nas nabrała z tą wyspą…

— Rzeczywiście, nieźle nas nabrała.

Véronique uczestniczyła w otwarciu worków. Patrzyła z odrazą i gniewem, jak technicy cięli płótno i odsłaniali ciała. Zdziwiła się, że rozkład nie był zbyt zaawansowany. Jeden z funkcjonariuszy wyjaśnił jej, że temperatura wody oraz brak żerującej fauny i prądów morskich uniemożliwiły szybkie gnicie.

— Gdyby ciała zostały wrzucone do morza lub rzeki, byłyby nie do rozpoznania — dodał, chuchając w dłonie, żeby się ogrzać.

Około drugiej w nocy dziewięć worków było już otwartych. Technicy pobrali próbki, a następnie ostrożnie umieścili ciała w specjalnych torbach na zwłoki. Godzinę później samochody opuściły posesję i pojechały do najbliższej kostnicy. Pozostali policjanci, oprócz dwóch, którzy właśnie przybyli i pozostali na miejscu do południa następnego dnia, wrócili do

domów, aby spróbować się przespać. Wszyscy przyjęli rozkaz komisarza z ulgą, jakby bali się stracić część siebie, przebywając dłużej na terenie farmy.

— No i?

Po Damienie było już widać następstwa wydarzeń. Jego szara twarz nadawała mu upiorny wygląd. Mózg nie dostarczał już cennej adrenaliny, dzięki której trzymał się tak długo, a leki przestały działać i nie obniżały już jego emocji.

— Nie mogli znaleźć dziesiątego worka. Poszukiwania zostaną wznowione jutro, w biały dzień, przy pomocy profesjonalnego nurka.

— Co z Mélanie?

— Jak na razie… żadnego śladu. Ubrania są całkiem dobrze zachowane — wyjaśniła Véronique, czując w ustach gorzki smak. Żadne nie pasują do tych, które miała twoja córka.

— Musiała uciec… jak ten kot — szepnął Damien.

— Jaki kot?

— Ten, na którego wpadłem wczoraj. Kolejna niespójność. Sandrine powiedziała nam, że Wernst zabił wszystkie zwierzęta.

— Jeśli Mélanie uciekła, Sandrine musi o tym wiedzieć. Jutro z nią porozmawiam.

— Nie powie nic więcej — przerwał jej inspektor. — Bez względu na to, ile damy jej wsparcia i wystarczających dowodów, ona pozostanie na swojej wyspie. Jest inteligentną osobą.

— Skąd ta pewność?

— Bo udanie się tam pozwala jej zapomnieć o całym tym gównie i uchronić się przed rzeczywistością. Czy pani nie rozumie, że schronienie trzyma ją z dala od konsekwencji?

— Słucham?

— To oczywiste, każdy prawnik wniesie o stwierdzenie niepoczytalności. Sandrine nie odpowie za swoje czyny, a zatem pozostanie wolna, umieszczona w placówce, w której ludzie tacy jak pani będą marnować czas na jej leczenie.

— Myśli pan, że stworzyła schronienie świadomie, aby uciec przed wymiarem sprawiedliwości? — zastanawiała się Véronique.

— Może nie do końca, ale na pewno o tym pomyślała… Myślę, że wróciła na wyspę, bo za bardzo zbliżaliśmy się do prawdy. Czuła się zagrożona. Staliśmy się jej Królem Olch.

Véronique pomyślała o swoim pierwszym spotkaniu z Sandrine, które nastąpiło zaledwie godzinę po jej przybyciu do szpitala. Wierzyła w jej pierwszą opowieść, a kiedy ofiara opisała przemoc, której doświadczyła, lekarka poczuła tępy ból w żołądku. Teraz nie wiedziała, co myśleć o tej kobiecie. Żadna teoria nie przygotowała jej na spotkanie z diabłem przebranym za zranionego anioła.

— Co zamierza pan teraz zrobić? — zapytała, siadając obok Damiena.

— Szukać Mélanie i ją odnaleźć.

— Nie ma jej od lat…

— Jestem pewien, że gdzieś się ukryła. W schronieniu, do którego Wernst nie mógł dotrzeć.

— Skąd ta…

Nie zdobyła się na dokończenie zdania. Jak mógł sobie jeszcze wyobrażać szczęśliwe zakończenie? Od początku to wszystko było grą pozorów i oszustwem, żadne światło nie przebijało szarości… Czy potrzeba nadziei jest człowiekowi tak niezbędna? Czy była jedynym rozwiązaniem w obliczu Króla Olch?

— Ponieważ przestałem słyszeć diabła — wyznał Damien, ściskając jej dłoń, jakby chciał ją pocieszyć. — I myślę, że on już ze mną nie tańczy…

OSTATNI ZNAK NAWIGACYJNY

SCHRONIENIE „SANDRINE”

1

WRZESIEŃ 2019

François Villemin zakończył opowieść i obserwował reakcję swoich studentów.

Tak jak się spodziewał, wszyscy milczeli, czekając na dalszy ciąg, który mógł przynieść wyjaśnienie. Jednak sześćdziesięciolatek z wyraźną przyjemnością nic już nie dodał i pozostawił młodych ich własnym myślom. Pochylił się nad komputerem i wyłączył zainspirowany wierszem Goethego obraz Moritza von Schwinda, wyświetlany podczas całej relacji na tablicy multimedialnej. Następnie ustawił się przed audytorium, opierając się o biurko, i popatrzył na słuchaczy, zadowolony z efektu.

— Pytania?

Natychmiast w sali wykładowej podniosły się dziesiątki rąk. Nie mógł powstrzymać uśmiechu wobec tych przyszłych specjalistów, którzy po długich studiach powinni udzielić odpowiedzi. Nie był jednak zaskoczony ich nieumiejętnością przeanalizowania złożonej mechaniki schronienia. Historia, którą właśnie im opowiedział, kryła w sobie tak wiele tajemnic, że nie było możliwe, aby którykolwiek z tych studentów nie potrzebował wyjaśnienia. Pogłaskał brodę sękatymi palcami, po czym wskazał na młodego mężczyznę trzy rzędy wyżej.

— Co się stało z inspektorem? Czy znalazł swoją córkę? — zapytał student, po czym usiadł.

— Ach… — zaśmiał się profesor. — Chce pan poznać koniec historii…

Kilka osób pokiwało głowami. Przez cały czas trwania opowieści w sali panowały cisza i skupienie. Los Sandrine pochłonął wszystkich. A teraz pozostawieni samym sobie stanęli przed schronieniem, do którego nie mieli klucza.

— Gdyby wysłuchał mnie pan uważnie i przeanalizował treść tych zajęć, już by pan wiedział.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zdziwił się student.

— Niech pan pomyśli, a znajdzie pan odpowiedź — odparł Villemin.

Chłopak opuścił rękę i zmarszczył twarz z wyrazem niezrozumienia, a wraz z nim kilku innych.

— Pani w drugim rzędzie…

— Jaka jest prawdziwa tożsamość Sandrine? — spytała nieśmiało, rumieniąc się, młoda dziewczyna.

— Co za niedyskretne pytanie! — zawołał Villemin.

Po audytorium przeleciały stłumione śmiechy, ledwo przykrywając niepokój wywołany niezrozumiałymi odpowiedziami profesora. Starszy mężczyzna należał do tych, którzy przede wszystkim chcieli rozwinąć w studentach umiejętność samodzielnego myślenia. Czasami, a właściwie często, lubił się z nimi bawić, śmiać się z ich niezdolności do znalezienia rozwiązań, które czaiły się przed ich nosami.

— Czy ktoś z was może mi powiedzieć, jaki jest temat dzisiejszych zajęć? Tak?

— Schronienia psychologiczne?

— Właśnie tak, brawo! Zostanie pan uznanym psychiatrą!

Znowu śmiechy, wciąż tak samo niespójne i nerwowe.

— Wszyscy z nich korzystamy — zaczął profesor, sądząc, że nadszedł czas, aby rozwikłać część tajemnicy. Zwykle nie zdajemy sobie z tego sprawy. Schronieniem może być zwyczajny uśmiech. Na przykład, kiedy ktoś was pyta, czy wszystko w porządku, a wy przeżywacie trudny czas, rozstanie, chorobę, cokolwiek… Wówczas odpowiadacie, szukając schronienia za niezręcznym uśmiechem, tarczą, którą wymachujecie, aby wasz rozmówca nie domyślił się waszego wewnętrznego poruszenia. W ten sposób odsuwacie od siebie dramat. „Tak, wszystko w porządku. Spójrz na ten uśmiech, za którym się chowam. Czyż nie jest to wystarczający dowód mojego dobrego samopoczucia?" Kłamstwo również może służyć jako schronienie. „To ty zbiłeś szklankę? Nie, mamo". Dziecko chowa się w kłamstwach, aby nie było zmuszone do stawienia czoła konsekwencjom ze strony rodziców. Gniew, radość… Czytanie książki to kolejny sposób. Ucieczka od codzienności i przeżywanie zastępczych przygód… Ale pisanie książki też nim jest. Za potokiem słów autor często ukrywa swoje najgłębsze lęki i zamyka je, mając nadzieję, że pozbędzie się ich na zawsze. Chroni się w opowieści o swoich najgorszych demonach, żeby już nie spotykać się z nimi w swoim lustrzanym odbiciu. Podziwianie zespołu rockowego, klubu piłkarskiego… agresja i przemoc, aby uchronić się przed własną słabością… nakrywanie się kołdrą, aby nie musieć stawiać czoła nocnym potworom… zbieranie figurek lub zabawa z wymyślonymi przyjaciółmi… narkotyki, alkohol, religia… Wszystko to są schronienia, z których korzystamy w pewnych momentach naszych żyć. Świadomie lub nieświadomie jesteśmy twórcami tego, co pomaga nam przejść trudy istnienia. Słucham?

— Przecież to tylko zwyczajne fałszowanie rzeczywistości, a nie poważne kłopoty czy patologie… — zauważyła studentka.

— To prawda, ponieważ te schronienia są chwilowe i częściowo kontrolowane. Wyobraźcie sobie jednak, że małe kłamstewko zamienia się w serię takich kłamstw, że kłamca nie może już odróżnić rzeczywistości od fantazji.

— Mitomania?

— Zgadza się. A przykładów jest wiele. W przedstawionym przeze mnie przypadku są to schronienia narzucone przez sytuację ekstremalną, to znaczy gwałt i uwięzienie. Wiemy, że to mózg „zmusza" ofiarę do odcięcia się od rzeczywistości poprzez proces neurobiologiczny.

— Ale w schronieniach zbudowanych przez Sandrine występowały też prawdziwe znaki nawigacyjne, rozrzucone przez nią świadomie… — Młoda kobieta wyraźnie zagubiła się w wyjaśnieniach profesora.

— Ach… Sandrine… Intryguje panią, prawda? Więc tak, w tym przypadku część schronienia znajdowała się w ukryciu, wyzwalana przez mózg w okresach intensywnego stresu. Ale kiedy stres ustąpił i znalazła się w tej piwnicy, jej sumienie musiało się schronić gdzie indziej niż w potworności jej położenia. To była jedyna ucieczka od szaleństwa.

— Więc są schronienia, które tworzymy, a inne są nam narzucane?

— Owszem, a Sandrine wykorzystała oba, umieszczając znaki nawigacyjne ze swojego doświadczenia, ze swojej pamięci autobiograficznej, z pamięci semantycznej, takie jak wyspa, wiersz, imiona dzieci… Dzięki temu wszystkiemu wzniosła sobie solidne schronienie. Nie włączyła wszystkich tych elementów naraz. Każdy z nich „doczepiał się" z czasem, stopniowo budując jej kryjówkę, aż stał się wystarczająco solidny, by Sandrine mogła uciec ze swojego położenia. Według relacji trwało to latami. Ale oczywiście wyzwalaczem była przemoc, z jaką się spotkała. Stanowiła, by tak rzec, fundament całego schronienia, jego ramy.

— Im więcej czasu mija, tym bardziej złożone staje się schronienie? — zapytał student siedzący naprzeciwko Villemina.

— W istocie. Jak ze zwykłym kłamstwem: im więcej czasu macie na jego rozwinięcie, tym bardziej możecie je udoskonalić, dodać do niego cegły, aby było wiarygodne. Zastanawiam się, czy w końcu zadacie mi pytanie, na które czekam od końca wykładu.

— Czy będzie pan naszym wykładowcą w przyszłym roku? — zawołał inny chłopak, wywołując szczery śmiech.

— Bardzo zabawne, naprawdę, ale nie o to chodzi… No dalej… Szepnąłem wam to na początku zajęć… Tak? Uwolnij nas od ignorancji, drogi padawanie — rzucił żartem, zachęcając studentkę z tyłu sali.

— Dlaczego nigdzie nie ma wzmianki o tym „schronieniu Sandrine"?

— Alleluja! — zawołał profesor, otwierając ramiona jak Mesjasz. — Oto jest pytanie! Dlaczego nie ma wzmianki o tym „schronieniu Sandrine"? Jak pani uważa?

— Nie wiem… Bo ten przypadek nie został jeszcze opisany? Albo pracujący nad nim psychiatra nie przedstawił jeszcze swoich wniosków?

— A mimo to zaryzykowałbym mówienie wam o tym?

— Rzeczywiście, przepraszam.

— Ale jest pani całkiem blisko odpowiedzi… Prawdziwy powód, dla którego to „schronienie Sandrine" nie pojawia się w waszych książkach ani w internecie, jest następujący: ponieważ ta historia nigdy się nie wydarzyła.

2

Studenci milczeli.

„Ta historia nigdy się nie wydarzyła".

Co profesor miał na myśli? Czy to wciąż ten jego specyficzny humor? Kolejna wskazówka, która sprawi, że zaczną więcej myśleć? Test?

Wszyscy w poszukiwaniu odpowiedzi rozglądali się po sąsiadach, ale widzieli jedynie odbicie własnej dezorientacji.

Villemin postukał w klawiaturę swojego macbooka i wyświetlił zdjęcie na tablicy.

— Co widzimy?

— Rysunek? — zaryzykował młody mężczyzna.

— Cóż, to początek. Rzeczywiście jest to rysunek wykonany przez dziecko. Jak możecie się domyślić, przedstawia wyspę otoczoną błękitnym morzem. A teraz?

Ponownie nacisnął klawisz i pojawił się kolejny obrazek.

— Zdjęcie grupowe?

— Racja, zdjęcie zrobione w dniu urodzin dziewczyny, która jest autorką rysunku. Jest na nim dziesięcioro dzieci w wieku około piętnastu lat. Pozwolę wam sprawdzić i policzyć. I wreszcie trzeci obrazek.

Wiersz Goethego ukazał się dużym drukiem, widocznym dla wszystkich. Usta uczniów wyszeptały tekst, recytując ten fatalny los, tak jak zrobiła to Sandrine w historii, której nie mogli w pełni zrozumieć.

* * *

Ojciec zlękniony czem prędzej gna,
Łkające dziecię w objęciach ma.
A gdy do domu dopadł trwożliwy,
W jego objęciach był syn — nieżywy.

— *In seinen Armen das Kind war tot* — powiedział profesor, przytaczając ostatni wers w oryginale. — Czy odkryliście prawdę, skoro pokazałem wam te trzy znaki nawigacyjne?

Patrzył, jak słuchacze próbują znaleźć klucz do zagadki, którą im zadał. Oczywiście mógł wyjaśnić wszystko bez sztuczek, zademonstrować im diabelską pomysłowość schronień i podnieść zasłonę schronienia Sandrine. Ale po co wykładać, gdyby miał tylko informować, a nie kształcić? Villemin chciał im pokazać, jak bardzo schronienie — nie uśmiechu czy kłamstwa, ale wyszukane schronienie, odpowiedź na intensywny szok emocjonalny, schronienie, którego zbudowanie może zająć lata ofierze pragnącej na zawsze się w nim zakorzenić — może być trudne do odczytania. Często porównywał to do palimpsestu. Słowa pacjenta — czyli schronienie — symbolizowały widzialny tekst, podczas gdy prawda leżała poniżej, poza zasięgiem nieuważnego ucha.

Profesor wiedział też, że żąda od nich zbyt wiele, że ci studenci nie mają jeszcze wystarczających punktów odniesienia, aby odróżnić prawdę od złudzenia. On sam potrzebował dużo czasu, aby poskładać wszystkie elementy w całość. Dziesiątki godzin słuchania, zadawania pytań, długich i przerażających sesji terapeutycznych. Czy ofiara opuściła schronienie, aby zaakceptować prawdę?

„Nie" — żałował były psychiatra, przyznając się do niepowodzenia. „Nadal tam jest"…

— Profesorze?

— Tak?

— Czy te trzy znaki nawigacyjne, które nam pan pokazał, należą do Sandrine?

— Nie do końca.

Lekkie zdumienie ogarnęło całą salę.

— Czy to Sandrine wykonała ten rysunek?

— Nie, ale próbujcie dalej.

— Powiedział pan, że zdjęcie grupowe przedstawia dziesięcioro dzieci. Czy ich imiona są takie same jak imiona ofiar Króla Olch?

— Tak, tak, ma pani absolutną rację.

— Ale jeśli ta historia nigdy się nie wydarzyła, po co pokazywać nam prawdziwy rysunek i zdjęcie?

— Ponieważ wszystko jest pomieszane. Te znaki nawigacyjne przenikają przez prawdę i fałsz, łącząc je. Są prawdziwe, nie wymyśliłem przecież wiersza Goethego!

— Więc należą do kogoś innego! — wykrzyknęła studentka. — To nie Sandrine jest ofiarą. To nie ona przeżyła traumę niezbędną do zbudowania schronienia, o którym właśnie nam pan powiedział.

— A więc czyje są? — Profesor się uśmiechnął.

— Véronique? Komisarza? Nie Wernsta, ponieważ on nie żyje… Jednego z dzieciaków, któremu udało się uciec?

— Jest pani blisko prawdy. Jak pani myśli, jakie traumy mogą doprowadzić do powstania schronienia?

— Oczywiście wielkie cierpienie. Gwałt, porwanie, przemoc fizyczna i psychiczna…

— Zapomniała pani o jednym — zauważył enigmatycznie Villemin.

— Nie rozumiem.

— Schronienia, w których zamykają się ofiary, niosą w sobie część rzeczywistości, ale także część fikcji. W większości przypadków ta fikcja chroni przed traumatycznym wydarzeniem, które ofiara pragnie ukryć. Chciałem wam na przykładzie tej sprawy pokazać, że nie należy ufać słowom i że światła prawdy trzeba szukać w ich cieniu. Element traumatyczny jest kluczem. Tutaj chodzi o żałobę.

— Żałobę? Ale tam nie ma żałoby… Jedyną osobą, która mogłaby być w żałobie, jest Damien, ale to niemożliwe, Mélanie nie została odnaleziona… Poza tym inspektor wydaje się wciąż żywić nadzieję. Fakt, że nie odkrył ciała swojej córki, pozwala mu nadal wierzyć w szanse na jej uratowanie, nawet jeśli są one minimalne… Gdyby Mélanie została znaleziona w worku, to zgoda, moglibyśmy rozważyć hipotezę, że w rzeczywistości jest to schronienie mężczyzny, który stracił córkę. Ale tak nie było.

— A jednak — wyszeptał profesor. — Cała ta historia nie jest schronieniem Sandrine. Ta młoda dziewczyna to tylko część prawdziwej historii, jeden akapit skrywający palimpsest. Ponieważ Mélanie została odnaleziona dawno temu. I to jej ojciec zobaczył ją jako pierwszy… Dlatego pokazałem wam trzeci znak nawigacyjny. *In seinen Armen das Kind war tot…*

3

Las Meillant powoli się budził. Słońce ledwo przebijało się przez potężne dęby szypułkowe, a półmrok drzewostanu, tak sprzyjający legendom z Berry, rozwieszał mgłę na gęstych zaroślach.

Patrice uczestniczył w rozdawaniu kawy, podczas gdy Damien wręczał gwizdki wszystkim obecnym. Znał większość z nich. Przyjaciele, sąsiedzi, mieszkańcy Saint-Amand — wszyscy bezpośrednio lub pośrednio dotknięci tą tragedią. Miasto przeszukano bezskutecznie. Jego arterie, otaczające je pola, opuszczone domy, kanał. Żadne z tych miejsc nie wypluło ciała ani wskazówki dotyczącej kierunku obranego przez dziewczynkę. Jedyną nadzieją był las.

Poszukiwania zorganizowano dwa dni po zniknięciu Mélanie. Zgłosiło się tak wielu ochotników, że brygada musiała im odmówić, aby poradzić sobie ze skoncentrowaniem wysiłków i zarządzaniem zespołami.

— Uformujemy łańcuch z ludzi, a potem oddalimy się od siebie o kilka metrów — wyjaśnił Patrice trzydziestu osobom zgromadzonym wokół niego. — Pójdziemy na północ i będziemy meldować się co godzinę. Las jest duży, ale dobrze utrzymany; przeczesując go w ten sposób, z pewnością niczego nie przegapimy. Jeśli ktoś z was coś znajdzie, użyjcie gwizdka, aby powiadomić resztę. Przygotujmy się i dziękuję wszystkim za przybycie.

Komisarz poczekał, aż linia ochotników wystarczająco się rozciągnie, i zarządził wymarsz. Jak ustalono w trakcie przygotowań, Damien ustawił się po lewej stronie, prawie na końcu.

Inspektor nie spał od dwóch dni. Za każdym razem, gdy zamykał oczy, słyszał, jak córka woła o pomoc. Obwiniał się o to, że nie było go przy niej, że nie był w stanie jej ochronić. Nazywał siebie niegodnym ojcem, żałował, że tak długo odmawiał Mélanie tych czerwonych butów, których pragnęła od miesięcy, że nie przytulał jej częściej.

Orszak ruszył. Zagłębił się w lesie, który wszyscy znali, spacerowali tam, polowali, łowili ryby, nie wyobrażając sobie, że będą musieli tam wrócić w poszukiwaniu zaginionego dziecka. Przez cały ranek ochotnicy wędrowali leśnymi ścieżkami, wkradali się do trzewi lasu, żeglowali po jego wzniesieniach jak pasażerowie tonącego statku po falach szalejącego morza. W południe przegrupowali się i szybko przełknęli kanapki, które podarował piekarz z miasta, a po godzinie wznowili poszukiwania.

Dzień minął bez gwizdka zakłócającego pozorny spokój. Kiedy Damien usłyszał szelest dochodzący z krzaka kilka metrów przed nim, poczuł, jak wali mu serce. Pobiegł natychmiast, ale spomiędzy gałęzi wypłoszył tylko zbłąkanego kota, przestraszonego odgłosem jego kroków. Inspektor obserwował, jak zwierzę wędruje wśród paproci, nie oglądając się za siebie, i zaciskał pięści, by odpędzić powoli ogarniającą go rozpacz.

O osiemnastej trzydzieści Patrice poprosił wszystkich o udanie się w kierunku drogi krajowej, która przylegała do lasu. Stał tam zapewniony przez władze miasta transport, który miał zabrać wolontariuszy. Wszyscy niechętnie odłożyli gwizdki do pudełka i wsiedli do samochodów. Po drodze ostatni raz spojrzeli na las Meillant, mając nadzieję, że jego drzewa nigdy nie spotkały przerażonej dziewczynki, i modląc się, aby schroniła się gdzie indziej. Z tym lasem wiązało się wystarczająco dużo strasznych podań, niepotrzebne było jeszcze jedno.

Damien zaczekał, aż furgonetki znikną, i zapalił papierosa. Palił, zaciągając się długo, i wydmuchiwał dym w kierunku szarzejącego nieba.

— Jutro zaczniemy znowu — zapewnił go Patrice. — Chodź, zaraz zacznie padać.

— Ona gdzieś tu jest, czuję to.

— Damien… Wiem, że to nie jest łatwe, ale musisz wrócić do domu, żeby odpocząć. Padniesz, jeśli nie dasz sobie chwili wytchnienia. Linda też cię potrzebuje.

— Ona już ze mną nie rozmawia — odparł Damien, rozdeptując niedopałek. — Nie mówi tego otwarcie, ale uważa, że odpowiadam za to, co się stało. Nie musiałem jechać na to szkolenie. Uparłem się, a ona prosiła mnie, żebym nie jechał, żebym trochę pobył z córką, żebym odebrał ją po lekcjach, zrobił jej niespodziankę.

— Nie jesteś w żaden sposób odpowiedzialny. Wyrzuć ten pomysł z głowy — poradził Patrice, klepiąc go przyjacielsko po ramieniu. — Jestem pewien, że znajdziemy Mélanie.

— Niedaleko stąd jest staw — przypomniał sobie Damien, obracając się w zachodnią stronę lasu. — Powinniśmy tam pójść…

— Jutro z Orleanu przyjedzie ekipa z psami, a od czwartku nurkowie będą sprawdzać akweny. Skupmy się na lesie i…

— Czy mówiłem ci kiedyś, że mój dziadek był na wojnie?

— Tak. — Patrice się uśmiechnął, wspominając wieczory spędzone przy drinku, na długo przed tym, zanim Damien się ożenił, gdy opowiadali sobie nawzajem swoje życie.

— Nie opowiadał o tym często. A ja jako dzieciak miałem tylko jedno pragnienie: usłyszeć o jego wyczynach. Wyobraziłem sobie, jak biegnie przez pola, omija kule, strzela do niemieckich samolotów… Ale zawsze mówił tylko, że nie ma wierniejszego towarzysza niż wojna. Że kiedy ją poznajesz, to na całe życie.

— Tego nie wiedziałem — przyznał Patrice.

— Wyznał mi też, że kiedyś jeden jedyny raz poczuł strach. Było to pod koniec wojny, kiedy Wehrmacht opuszczał kraj. Dziadek patrolował Oise w poszukiwaniu dezerterów, bo wielu Niemców zauroczyło się francuskimi kobietami i odmówiło ich opuszczenia i powrotu do kraju. Jego jednostce kazano przejść przez las, taki jak ten, tylko w Chantilly. Szli godzinami, zanim zobaczyli wspaniałą posiadłość, która kiedyś należała do rodziny producentów czekolady. Nikogo tam nie zastali, miejsce było opuszczone. Chodzili, przeszukiwali wnętrze. Miejsce wyglądało dziwnie: łóżeczka dla niemowląt, pokoje z zapleczem medycznym, sale lekcyjne… ale nie było mieszkańców. Skierowali się więc w stronę jeziora, które znajdowało się za głównym budynkiem. I wiesz, co tam znaleźli?

— Nie…

— Dzieci. Małe ciałka unoszące się w wodzie, jakby po prostu na niej leżały. Były ich dziesiątki. Żołnierze wyciągali je jedno po drugim. Niektóre dzieci musiały mieć koło czterech lat, inne ledwo się urodziły. Wtedy dziadek się przestraszył. Gdy nosił na rękach zwłoki tych niewinnych istot, wojna przeraziła go jeszcze bardziej niż wtedy, gdy siedział w okopach.

— To okropna historia… — szepnął Patrice, idąc w stronę auta.

— Chcę tylko sprawdzić ostatnią rzecz, zanim pojedziemy.

— Jaką?

— Ten staw, jest niedaleko. A potem obiecuję, że pójdę do domu odpocząć.

Samochód policyjny z trudem posuwał się polną drogą z szerokimi koleinami, która wyglądała bardziej jak miniaturowy wąwóz niż jak prawdziwa droga dla samochodów. Staw powoli nabierał kształtu, odsłaniając ciemną taflę, w której z dumą odbijał się księżyc w pełni.

Pierwsze krople spadły w chwili, gdy dwaj mężczyźni wysiedli z auta. Zapalili latarkę i zaczęli sprawdzać powierzchnię wody. Roślinność w tej części lasu była gęstsza i niejednokrotnie musieli zmieniać trasę, aby nie zatrzymały ich zarośla i aby nie ugrzęźli w błocie. Dęby rosły na przemian z olchami bagiennymi, aż wreszcie utworzyły zwartą, uciążliwą gęstwinę. Noc zapadła, gdy przeszli dwie trzecie ścieżki.

— Powinienem był spędzać z nią więcej czasu…

— Damien, nie zadręczaj się tym.

— *Kogo tam w nocy unosi koń?*

— Co?

— To wiersz. Recytowała go na lekcji w dniu zaginięcia. Pomagałem jej się go nauczyć, ale nie mogła zapamiętać kilku ostatnich wersów. Poradziłem jej, żeby recytowała go w kółko, zatraciła się w nim tak, żeby czuła wilgoć lasu, słyszała widmowy głos Króla Olch… Mam przed oczami to, jak siedzimy na sofie w salonie, z poezją na kolanach. To wtedy przytulałem ją po raz ostatni. Następnego ranka wyjeżdżałem na szkolenie do Paryża. To nie był tylko przelotny uścisk, nie. To był uścisk jak wtedy, gdy była mała i chowała się za mną przy najmniejszym rozczarowaniu lub lęku. Też się nauczyłem tych wersów, aby jej pokazać, że to możliwe. Powiedzieć jej, żeby nigdy nie traciła nadziei. Ale powinienem był spędzać z nią więcej czasu…

— Damien, jesteś wspaniałym ojcem, nie mogłeś wiedzieć, że pewnego dnia… Damien?

W chwili, gdy jego najlepszy przyjaciel zamarł, Patrice zrozumiał. Nie trzeba było krzyków, które potem nastąpiły. Nie trzeba było patrzeć, jak Damien pada na kolana. Powietrze rozrzedziło się do tego stopnia, że komisarz zachwiał się na nogach. Zamknął oczy, próbując utrzymać równowagę. Kiedy otworzył je ponownie, zauważył, że naturalne kolory

uciekły, okopały się w nieznanym miejscu i że zamiast zieleni, brązu i innych odcieni lasu pozostała tylko szarość, podobna do popiołu starannie rozsypanego na tonący świat. Patrice spojrzał na brzeg stawu. Tam, kilka metrów dalej, spoczywało na ziemi nagie ciało Mélanie, które nieprzychylne światło księżyca zabarwiło niemal fosforyzującą bielą. Tułów spoczywał na piasku, jedna ręka była wyciągnięta ku nadchodzącym policjantom, jakby dziewczynka straciła ostatnie siły, by wydostać się z wody i zbliżyć się do nich.

Patrice podszedł powoli, ignorując łzy i strach. Nie mógł jednak powstrzymać gwałtownego skurczu, który zgiął go wpół. Opadł na ziemię z twarzą zwróconą ku zwłokom.

Wspomnienia o Mélanie zalały jego umysł i sparaliżowały go.

Gdy po raz pierwszy zobaczył ją na oddziale położniczym.

Gdy po raz pierwszy wypowiedziała jego imię.

Jej urodziny.

Jej uśmiech.

Tego „wujka", za którego go miała, nie przejmując się tym, że nie łączy ich żadne pokrewieństwo.

Czasy, kiedy czekała w komisariacie, aż jej ojciec skończy zmianę. Siedziała w jego biurze, udając, że odpowiada na wiadomości alarmowe, wyobrażając sobie, jak jej własny zespół wyjeżdża na jej rozkaz na miejsce zdarzenia.

Mélanie.

— Mój Boże — westchnął Patrice, patrząc na zwłoki.

Jej przezroczysta skóra była pokryta wieloma ranami, bez wątpienia spowodowanymi apetytem padlinożerców. Twarz leżała na ziemi. Jej głowę otaczały długie lepkie włosy przypominające wodorosty.

Wstał z trudem, zdjął płaszcz, aby przykryć nim dziewczynkę, po czym niepewnie podszedł do Damiena.

— Tak… tak mi przykro… Da… Damien… Muszę… powiadomić centralę… Nie ruszaj się, zaraz wracam…

Patrice pobiegł do samochodu, żeby połączyć się przez radio.

Jego wiadomość została przerwana przez szloch. Trudno mu było wyartykułować tę prawdę, w którą do końca nie chciał uwierzyć.

Mélanie.

Oficer dyżurny wysłuchał go i zanotował drżącą ręką treść wezwania. Kiedy poprosił komisarza, aby ten potwierdził godzinę znalezienia zwłok, Patrice spojrzał na zegarek. Ulewny deszcz padał na olchy w tym na zawsze przeklętym lesie.

Była dwudziesta trzydzieści siedem.

4

Nie rozległ się żaden szmer, nie było już podniesionych rąk.

Studenci pozwolili, by profesor mówił dalej głosem zabarwionym smutkiem.

— Ta historia jest prawdziwa. A wy już rozumiecie, że to ona stanowi prawdziwą przyczynę powstania „schronienia Sandrine".

Kilka dni po pogrzebie Damien wpadł w głęboką depresję. Próbował się zabić, podcinając sobie lewy nadgarstek, ten słynny lewy nadgarstek… Został umieszczony w specjalistycznej placówce, czekając, aż czas wykona swoją pracę i ból żałoby ustąpi. To właśnie w tym miejscu, w czterech ścianach pokoju, którego opuszczenia odmówił, stworzył schronienie dla swojego smutku. Ojciec Mélanie przebywał tam rok.

Potem, pewnego ranka, kiedy przyszedł do niego psychiatra, Damien opowiedział mu historię Sandrine, tak jak ja opowiedziałem ją wam.

Przypomniał sobie rysunek, który jego córka powiesiła w swojej sypialni, taki jak ten, który wam pokazałem, przedstawiający wyspę.

Wiersz, którego razem się uczyli.

Czerwone buty kupione po tygodniach oczekiwania.

Tamtą piosenkę z okresu międzywojennego, którą tak lubiła.

Jej przyjaciół, którzy zjawili się z okazji jej ostatnich urodzin i których sfotografował.

Burzliwy związek matki Lindy z córką, jego żona nigdy bowiem nie poznała swego ojca.

Wyrzuty, które Linda rzucała mu w twarz, kiedy Mélanie zniknęła.

Dziwne wrażenie, uczucie, że jego żona zwraca się nie tylko do niego, ale także do ducha swojego ojca, nazywając go niegodnym ojcem, tak jak jej matka musiała to czynić lata wcześniej wobec swojego męża. Linda odtwarzała w ten sposób zachowanie matki, tak jak Sandrine odtworzyła zachowanie swojego kata…

Mnóstwo innych szczegółów, które stały się wieloma cegiełkami mającymi wspierać ramy jego traumy.

Wtedy dyrektor szpitala, mój stary znajomy, poprosił mnie, żebym przyszedł i zbadał tego pacjenta. Oddzielenie prawdy od fałszu, znalezienie biograficznych odpowiedników, wykluczenie pozorów i odgadnięcie znaków nawigacyjnych zajęło mi całe lata. Wyjaśniłem Damienowi, jak powstają schronienia, aby były dla niego bardziej konkretne, bardziej zrozumiałe, nie podejrzewając ani przez chwilę, że moje komentarze staną się cegłami, które on położy w swojej utopii. Chciałem się nim zaopiekować, pomóc mu pogodzić się z żałobą i wydostać się ze schronienia.

— Udało się panu?

— Nie, młody człowieku. Zawiodłem. Pomimo trzydziestu sześciu lat, jakie dzielą nas od tej koszmarnej tragedii, Damien nadal przebywa w swoim schronieniu. I myślę, że tam czuje się najlepiej.

— To straszna historia.

— W rzeczy samej. Ale tak samo straszne są uśmiechy, które przesłaniają prawdę. Oczywiście w mniej dramatyczny sposób, ale również skrywają element tragedii. Dla Damiena jego córka wciąż żyje. Udało jej się uciec przed Królem Olch. Damien ciągle jej szuka, sprawdza gazety,

strony internetowe… Codziennie chodzi do altany na plac Carrée w Saint-Amand-Montrond. To tam siedzi godzinami, wystawiony na ciekawskie, czasem zasmucone spojrzenia miejscowych, którzy pamiętają inspektora i jego córkę. A jeśli zapytasz go, czego się spodziewa, po prostu powie ci, że rozmawiają z nim zmarli ze zlikwidowanego cmentarza, nad którym siedzi. I żaden z nich dotychczas nie wyszeptał imienia Mélanie…

OD AUTORA

Król Olch to wiersz napisany przez Goethego w 1782 roku.

Powstało — i nadal powstaje — wiele jego tłumaczeń.

Ten wiersz i jego interpretacja dzielą. Niektórzy widzą w nim przejście z dzieciństwa do dorosłości, kolejni opis choroby (dziecko ma gorączkę i halucynacje), a inny nurt sugeruje, że to miał to być koszmar osoby, która doświadczyła przemocy seksualnej, a Król Olch stanowi symbol pedofilii.

Oczywiście w powieści wykorzystałem te różne wizje.

PODZIĘKOWANIA

Wielkie podziękowania składam Philippe'owi Robinetowi i Caroline Lépée za zaufanie, zachętę i życzliwość.

Mélanie, dziękuję za Twoją pracę i Twoje rady.

Podziękowania należą się również pozostałym członkom zespołu Calmann-Lévy, szczególnie Antoine'owi.

Dziękuję mojej pierwszej czytelniczce Sophie i naszemu małemu królowi Loanowi.

Na koniec bardzo dziękuję również Wam — Czytelnikom moich książek. Przychodzicie na spotkania ze mną na targach lub wysyłacie mi zawsze miłe wiadomości. Wątpliwości, które czasem mnie ogarniają, gdy siedzę samotnie przed ekranem komputera, często znikają dzięki Wam.

Jesteście w pewnym sensie moim schronieniem.

Dziękuję.

Horror 2017 roku według wielkibuk.com

Jożo Karsky wraca do domu rodziców po rozpadzie kilkuletniego związku. Na peryferiach Rużomberka czeka na niego pusty pokój dziecięcy, stare kasety wideo, mróz i wspomnienia. Mnóstwo wspomnień. Kiedy w okolicy zaczynają ginąć dzieci, budzą się demony przeszłości.

Jedna z najpopularniejszych słowackich książek ostatnich lat.

Trybecz, pasmo górskie na Słowacji. Od dziesięcioleci krążą o nim legendy z powodu tajemniczych zaginięć. Niektóre ofiary zostały znalezione martwe. Niektóre zniknęły bez śladu. A jeszcze inne powróciły – ranne i niezdolne do życia. Igor zdobył tytuł magistra. Po pięciu latach wreszcie może zacząć karierę jako… robotnik budowlany. Na swojej pierwszej budowie odkrywa tajemniczy sejf. Znajduje w nim płyty gramofonowe sprzed kilkudziesięciu lat. Słyszy na nich głos człowieka, który przez ponad trzy miesiące błąkał się w górach Trybecza.

Legenda, mistyfikacja czy przerażająca rzeczywistość? Świetna powieść najpopularniejszego słowackiego pisarza. Jozef Karika staje twarzą w twarz z legendą Trybecza.

***Szczelina* zdobyła najważniejszą słowacką nagrodę literacką ANASOFT LITERA w kategorii NAGRODA CZYTELNIKÓW!**

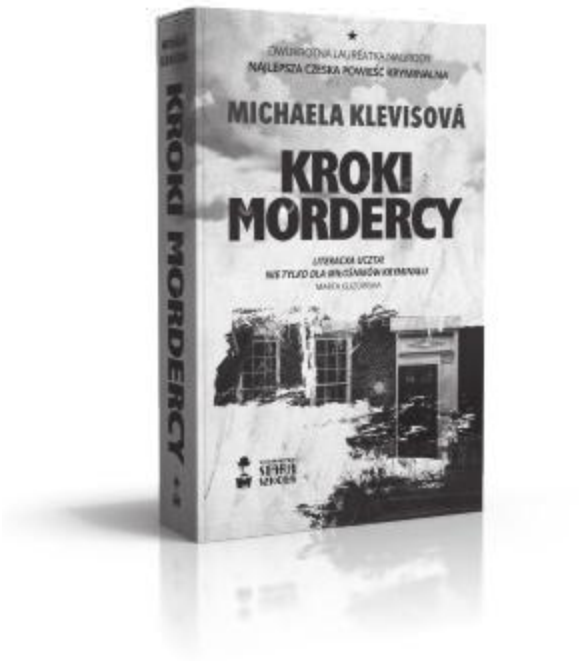

W lasku miejskim na peryferiach Pragi zostaje zamordowana młoda kobieta. Czy jej podobieństwo do córki mieszkającej w pobliżu dziennikarki jest przypadkowe? Śledztwo rozpoczyna inspektor Bergman.

Powieść Michaeli Klevisovej to doskonałe studium psychologiczne i obraz społeczeństwa, w którym pod powłoką pozornej normalności skrywają się tajemnice i pragnienia.

Inspektor Bergman – dwukrotnie rozwiedziony miłośnik kotów, wielbiący porządek i rzeczowość. Empatyczny, stanowczy i systematyczny. W pracy pomagają mu podwładni: Sylwia Rolnik i Adam Danesz.

Kroki mordercy to pierwsza część cyklu z inspektorem Bergmanem.

Anna Walenta to główna scenarzystka najpopularniejszego czeskiego serialu telewizyjnego „Podwórze". Dzięki pracowitości i ambicji odnosi duże sukcesy, lecz pod powłoką wielkomiejskiego blichtru skrywa sekrety, których nie wyjawia prawie nikomu.

Ester Czarna prowadzi pensjonat na peryferiach Pragi. Kiedy pewnego dnia odwiedza ją przyjaciółka Anna, w nocy zostaje popełnione morderstwo. Na jaw zaczynają wychodzić demony przeszłości oraz tajemnice teraźniejszości, a śledztwo prowadzi inspektor Bergman. Jak poradzi sobie w środowisku niekończącego się serialu telewizyjnego, w którym trwa nieustanna walka o władzę i wpływy? Czy mordercą okaże się gwiazda srebrnego ekranu, czy może prawda leży gdzie indziej?

Intryga bez nadmiaru brutalnych scen i z rozbudowaną psychologią postaci to znak firmowy Michaeli Klevisovej – królowej czeskiego kryminału,

dwukrotnej zdobywczyni nagrody dla najlepszej powieści detektywistycznej!

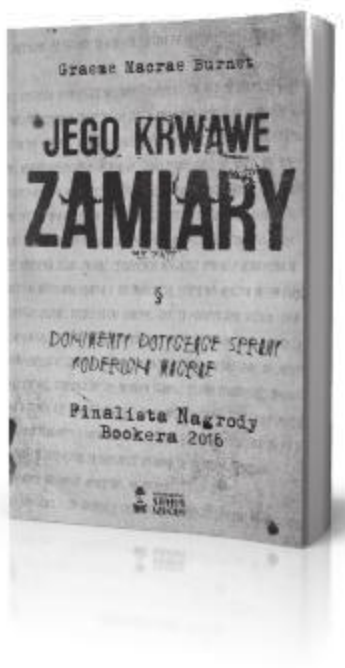

Jedna z najważniejszych powieści grozy ostatnich lat.

Wiele nagród i nominacji. Pierwszy thriller w finale Nagrody Bookera!

Dziewiętnastowieczna Szkocja. Wyżyny zapomniane przez Boga i ludzi. Potrójne morderstwo.

Do zbrodni przyznaje się młody rolnik – Roderick Macrae. Czy naprawdę jest winien? I co tak właściwie oznacza wina? Obrony Rodericka podejmuje się pan Sinclair, prowincjonalny adwokat. Robi wszystko, by dowieść, że Roderick nie zasłużył na szubienicę.

Jego krwawe zamiary to trzymająca w napięciu powieść, która nikogo nie pozostawi obojętnym. W obliczu ludzkiej tragedii autor szuka prawdy o zbrodni. Tylko czy prawda istnieje?

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

- WRZESIEŃ 2019

PIERWSZY ZNAK NAWIGACYJNY. WYSPA

- ROZDZIAŁ 1. 1949
- ROZDZIAŁ 2. SANDRINE LISTOPAD 1986
- ROZDZIAŁ 3. SANDRINE LISTOPAD 1986
- ROZDZIAŁ 4
- ROZDZIAŁ 5. SUZANNE 1949
- ROZDZIAŁ 6. SANDRINE LISTOPAD 1986
- ROZDZIAŁ 7. SANDRINE LISTOPAD 1986
- ROZDZIAŁ 8. SANDRINE LISTOPAD 1986
- ROZDZIAŁ 9. SUZANNE 1949
- ROZDZIAŁ 10. SANDRINE LISTOPAD 1986
- ROZDZIAŁ 11. SUZANNE 1949
- ROZDZIAŁ 12. SANDRINE LISTOPAD 1986
- ROZDZIAŁ 13. SUZANNE 1949
- ROZDZIAŁ 14. SANDRINE LISTOPAD 1986
- ROZDZIAŁ 15. SANDRINE LISTOPAD 1986
- ROZDZIAŁ 16. SUZANNE 1949

ROZDZIAŁ 17. SANDRINE LISTOPAD 1986
ROZDZIAŁ 18. SUZANNE 1949
ROZDZIAŁ 19. SANDRINE LISTOPAD 1986
ROZDZIAŁ 20. SUZANNE 1949
ROZDZIAŁ 21. SANDRINE LISTOPAD 1986
ROZDZIAŁ 22. SUZANNE 1949
ROZDZIAŁ 23. SANDRINE LISTOPAD 1986
DRUGI ZNAK NAWIGACYJNY. KRÓL OLCH
ROZDZIAŁ 1. LISTOPAD 1986
ROZDZIAŁ 2
ROZDZIAŁ 3
ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11
ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15
ROZDZIAŁ 16
ROZDZIAŁ 17
ROZDZIAŁ 18
ROZDZIAŁ 19
ROZDZIAŁ 20

TRZECI ZNAK NAWIGACYJNY. DZIECI
- ROZDZIAŁ 1
- ROZDZIAŁ 2
- ROZDZIAŁ 3
- ROZDZIAŁ 4
- ROZDZIAŁ 5
- ROZDZIAŁ 6
- ROZDZIAŁ 7
- ROZDZIAŁ 8
- ROZDZIAŁ 9
- ROZDZIAŁ 10
- ROZDZIAŁ 11
- ROZDZIAŁ 12
- ROZDZIAŁ 13
- ROZDZIAŁ 14
- ROZDZIAŁ 15
- ROZDZIAŁ 16
- ROZDZIAŁ 17
- ROZDZIAŁ 18

OSTATNI ZNAK NAWIGACYJNY. SCHRONIENIE „SANDRINE”
- ROZDZIAŁ 1. WRZESIEŃ 2019
- ROZDZIAŁ 2
- ROZDZIAŁ 3
- ROZDZIAŁ 4
- OD AUTORA
- PODZIĘKOWANIA

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Les Refuges*

Les Refuges by Jérôme Loubry © Calmann-Lévy, 2019
Copyright © for Polish edition by Stara Szkoła Sp. z o.o., 2022
All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, udostępnianie i rozpowszechnianie całości lub fragmentów bez pisemnej zgody wydawnictwa zabronione.

Wszystkie cytaty z *Króla Olch* Johanna Wolfganga Goethego pochodzą z przekładu Stanisława Budzińskiego.

Projekt okładki: František Hříbal
Redaktor prowadzący: Mirosław Śmigielski
Korekta: Klaudia Kościelska, Ewa Żak

ISBN 978-83-66013-89-6

Wydawca:
Stara Szkoła Sp. z o.o.
Rudno 16, 56-100 Wołów
biuro@stara-szkola.com
www.stara-szkola.com

Na zlecenie Woblink
woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek